

Johanna Nilson

Kochający na marginesie

*Hedvig, mojej pięknej, wrażliwej przyjaciółce, miłującej zapomniane pastele, Nowy Jork u
cioci i tych, którzy poruszają się na marginesie*

Nie jest to dobry dzień na namiętność.

Powietrze jest gorące i duszne, pełne akurat takich pyłków, które zatykają drogi oddechowe Rosie, pulchnej Somalijce, prowadzącej razem z mężem Viktorem kawiarnię Na Marginesie nad kanałem. Neonowo niebieskie litery GINE z nazwy zabrał w nocy jakiś rozbawiony łobuziak i teraz widnieje „Kawiarnia Na Mar sie”. Woda rozkwitła algami, a z pobliskiego warsztatu samochodowego spuszczają ropę. Pijak zleciał z ławki koło klubu żeglarskiego, ale nikt z przechodniów się nim nie przejmuje. Psy srają, ich właściciele olewają sprzątanie, muchy brzęczą, słońce praży, wentylator pod sufitem zepsuł się, a Mirja, najmłodsza córka, wzbudza ciągły niepokój swoimi krótkimi spódniczkami, wysokimi obcasami i naiwną wiarą w przyrodzoną dobroć wszystkich mężczyzn.

Jakby tego nie było dość, Rosa weszła właśnie w klimakterium, co skutkuje obfitym poceniem się i gwałtowną huśtawką nastrojów, a Viktor z dzisiejszą pocztą otrzymał wiadomość, że zrobił mu się guz w żołądku.

Złośliwy.

A jednak to namiętność kipi za ladą w kuchni tego upalnego przedpołudnia.

Rosa z podciągniętą spódnicą i opuszczonymi majtkami rozmiar 48.

Viktor z odsłoniętym tyłkiem rozmiar 44.

Ciemne nogi Rosy obejmują jego nalane plecy, a starannie polakierowane paznokcie wczepiają się w skórę.

Ona jęczy. On stęka. Ona pierdzi i wrzeszczy. On wpija się jej w szyję. On węszy mu pod pachą i zlizuje pot. On wsuwa palec w wałek tłuszczu. Mokro. Ona odwraca się, chwytając za drugi brzeg ludy i przesuwa się w przód i w tył w rytm jego pchnięć.

Ktoś się temu przygląda i uświadamia sobie własną samotność.

Bea, stała klientka od czterech lat. Błada, czarnooka, szczupła. Brązowy koński ogon ściągnięty gumką, grzywka rozczochrana i stanowczo za długa, musi ją ciągle odsuwać. Spiczaste uszy, śliczny nosek, żadnej skazy na ustach, a idealny rząd zębów powinna częściej pokazywać.

Uśmiecha się bardzo rzadko, taką ma wadę.

Czarny ubiór mimo pory roku, wysokie podbicia w płaskich spacerowych butach, na szyi prosty krzyżyk na złotym łańcuszku, który swego czasu nosiła jej mama.

Bóg jest miłością, mówił ksiądz w kościele, kiedy jeszcze chodziła do kościoła.

Dlaczego jednym Bóg skąpi miłości, kiedy inni dostają jej więcej, niż są w stanie udźwignąć?

Nie kochała się z mężczyzną, odkąd skończyła dwadzieścia cztery lata. Teraz ma trzydzieści dwa. Zdarza się, że w nocy próbuje sobie przypomnieć, jak było, ale odnajduje jedynie palące uczucie pustki w ciele. Wstaje wtedy z łóżka, idzie do kuchni i ze wstydem myje wibrator w cielistym kolorze, stawia go wśród naczyń na suszarce, żeby wysechł, a następnie zaparza sobie

filiżankę mocnej czarnej kawy, którą wypija na stojąco, zanim uda się w czerń, by ukraść dla siebie niepamięć i takie czy inne marzenie. Jest złodziejką dysponującą pełnym repertuarem: od prostych kradzieży kieszonkowych do bardziej zaawansowanych oszustw z kartami bankowymi i czekami.

Jest dobra w swoim zawodzie, a przez to ma pod dostatkiem pieniędzy, które wydaje na książki, kawiarnie, swoje zdrowie (czy raczej choroby) i na niewiele więcej.

Cierpi na depresję i dostaje recepty na różne leki od swojego doktora o imieniu Jack, który jest stosunkowo młody i nie ma kobiety. Znalazła go po długim okresie krążenia między różnymi lekarzami, którzy nie dawali jej tego, czego chciała:

Współczucia.

Potrzebowała kogoś, kto słucha, nie przerywając ani nie poganiając, kto jest miły, ale nie pobłażliwy, kto od czasu do czasu dotknie jej z troską i powie „pomogę pani” w sposób budzący nadzieję.

Jack dał jej to wszystko. Na dodatek się zakochała. Nic nie mogła na to poradzić. Wpadła po prostu głową w dół w sen o nich obojgu i nie ma najmniejszej ochoty się obudzić.

Nie ma jednak pomysłu, jak skraść mu serce. Na razie ukradła tylko stetoskop z gabinetu.

Chciałaby, żeby robił z nią to, co Viktor robi z Rosą. Chciałaby móc robić z nim to, co Rosa robi z Viktorem. Dwa odkarmione zwierze, które ocierają się o siebie, a w końcu wyciągają się na upudrowanym mąką stole, gdzie ciasto rośnie na drożdżach jak ciężarna kobieta.

Rosa urodziła czworo dzieci, Viktor jest ojcem całej czwórki. Jej ciemny gąbczasty brzuch pokrywają białe rozstępy. Kiedyś na basenie jakaś kobieta poleciła jej chirurga plastycznego, który usuwa takie rzeczy. Rosa była tak oburzona, że omal nie zemdląła.

Viktor leży teraz na boku i wodzi palcem po kolejnych rozstępach, od lewej do prawej, z góry na dół, jakby czytał brajlem. Potem układa dłoń w miseczkę nad włosami łonowymi Rosy i myśli, jak wiele razy prał jej majtki zabrudzone krwią po menstruacji, jak tarł je gołymi rękami, żeby usunąć najbardziej uporczywe plamy.

Kładzie głowę na jej brzuchu. Ma lekkie mdłości. Mimo to nie zaczął jeszcze chemioterapii.

Bea, która teraz wycofuje się za drzwi tak cicho, jak potrafi, widziała swoją mamę umierającą na raka dwadzieścia dwa lata temu. Wciąż nie otrząsnęła się z żaloby.

Mama miała na imię Ebba i śpiewała jazz na małych i dużych scenach w całym kraju, a niekiedy nawet za granicą. Pisano o niej czasami w gazetach i kilka razy pokazała się w telewizji, mówiąc rzeczy w stylu „muzyka jest moją duszą” i „nie mogę żyć bez śpiewania”, bo to należało mówić, jeśli chciało się dostać stypendium.

Skończyła trzydzieści cztery lata. Podczas koncertu w samym Nalen [Sztokholmski ośrodek kultury. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza)] pojawił się ból głowy, który nigdy nie przeszedł. Pojechała do szpitala, gdzie odkryto, że ma guza mózgu. Lekarze robili, co mogli, ale guz ciągle rósł, ona się kurczyła i na koniec złożyli jej wyniszczone ciało do trumny.

Trumna była czarna, mama była ubrana na biało i miała nałożoną blond perukę. Brzydka, niepasująca. Bea zerwała ją i zobaczyła nagą, pokrytą bliznami czaszkę. Krzyknęła, ujęła twarz mamy i pocałowała. Taką stężałą, zimną, dziwną. Puściła tę obcą twarz i krzyknęła znowu, tym razem ze strachu.

Podszedł tata i ją zabrał. Kiedy ją stamtąd niósł, jego smutek kapał na jej włosy. Pojawiło się w nim poczucie niepewności.

Nigdy więcej nie znikło.

Poczucie niepewności.

Tylko odrobina starego zatrzymała się głęboko we wnętrzu potężnego ciała taty.

Poczucia bezpieczeństwa.

Czasami ma wrażenie, jakby życie nie sięgnęło dalej niż do tamtego dnia, do tamtej chwili. Jest dziesięciolatką w znacznie starszym ciele, która teraz przykucnęła pod szarobiałą ścianą i układa w głowie listę Spraw & Rzeczy do załatwienia przed końcem dnia.

1. Stolik w rogu, 3 szklanki wody z kapką cytryny, 3 kubki kawy, 1 uspokajający sobril, 1 antydepresyjny cipramil, 2 razy żeń-szeń, 3 tabletki multiprettenu na żołądek, kanapka nr 3, 50 str. Sartre'a, zagiąć róg o 45 stopni, przeczytać opiniotwórcze artykuły.

2. Porozkoszować się Ciszą Wentylatora.

3. Szybki spacer przez co najmniej 60 minut + 5 x 3 x 7 stopni schodów, potem szorowanie.

4. Uspokoić tatę rozmową o Moim Dobrym Stanie Zdrowia, a potem uspokoić siebie jedną tabletką sobrilu.

5. Czytanie. Reszta Sartre'a. Kontynuacja z Beauvoir i Jungiem.

6. Upplandsgatan 4, parter, D. Nyström + ew. tunel.

7. Uczcić mamę.

– Zamknięte?

Głos jest na tyle jasny, że mógłby należeć do kobiety, i na tyle ciemny, że mógłby należeć do mężczyzny.

Przed Beą wychynęła para rubinowoczerwonych butów na wysokim obcasie, nad nimi wznoszą się dwie smukłe, nawoskowane kolumienki, a potem pojawia się kloszowa spódnica tego samego koloru co buty i biała stretchowa bluzka odsłaniająca wąską talię pod jędrnymi, spiczastymi piersiami.

Mogłaby to być Mirja, piękna jak modelka córka Rosy i Viktora, ale skóra jest biała, a nie w kolorze karmelu jak u wszystkich dzieci Novakow.

Bea spogląda w górę.

Kobieta? Mężczyzna?

Trans. Bardzo elegancka. Jasne włosy spływają perfekcyjnie na szczupłe ramiona, z których wylania się długa szyja z ledwie zaznaczonym jabłkiem Adama. Twarz umalowana, ale nie w przesadny sposób, jak często bywa u transów. Oczy jasne, wysokie kości policzkowe, skóra

nieznacznie mniej gładka niż u kobiety, paznokcie idealnie spiłowane i polakierowane, a figura, łagodnie mówiąc, godna pozazdroszczenia.

– Zobaczą, czy już skończyli. – Bea wstaje.

Trans unosi starannie wyskubane brwi.

– Sprzątanie – mówi Bea i otwiera drzwi ostrym szarpnięciem, żeby Rosa i Viktor zareagowali, to znaczy, jeśli są w stanie reagować.

Tak. Skończyli.

Wesołe zawołania i rozplomienione policzki. Rosa pokrywa pudrem ślady na szyi i napomina się, że musi wyskubać brwi. Viktor zapina rozporek, na chwilę zdołał zapomnieć, że ma raka. Ekspres do kawy siorbie i bucha parą. Ciasto, spłaszczone podczas miłosnego aktu, rośnie na nowo. Wentylator nadal jest nieruchomy. Ktoś przyszedł.

Rosa przeciąga dłonią po gęstych włosach z siwymi pasemkami i szybko wychodzi do klientów.

To ta czarnooka, smutna, której imienia wciąż nie zna, i trans, która była tutaj tylko kilka razy, a już zdążyła przedstawić się jako Sofia, artystka fotograf, mieszkająca w Sztokholmie od niedawna, czy byliby zainteresowani wystawieniem kiedyś jej zdjęć? Można by o tym pomyśleć, powiedziała Rosa bez zastanowienia, a Sofia wzięła te słowa za obietnicę.

– Dzbanek wody z cytryną – zamawia Bea, pierwsza w kolejce. – Kawę w dużym kubku. Trójkę.

Czyli dużą kanapkę bez masła, sera i szynki, ale za to z sałatą, ogórkiem, pomidorem, kielkami, czerwoną cebulą i wcale nie najmniej ważną odrobiną pietruszki, zapewniającą żelazo i witaminy.

Nie, bez musztardy, zawiesiste produkty zawieszają myśli, podobnie jak mięso, podobnie jak niezdrowe tłuszcze w maśle i serze.

Bea nie może sobie pozwolić na zawieszenie myślenia, ma zbyt wiele problemów do rozwiązania, musi być skoncentrowana i czujna.

Siada przy swoim stoliku w rogu (chce zawsze siedzieć plecami do ściany, żeby nikt nie zaskoczył jej od tyłu, spojrzeniami, rękami) – trans na szczęście nie zdążyła jej ubiec – i wygląda przez szybę, życząc sobie innego życia w innym świecie, po czym przystępuje do pierwszego punktu z Listy Dnia.

Trzy kwadransy później Sofia ściągnęła buty, które są stanowczo za małe na jej stopę w rozmiarze 43. Rozcapierza palce i wachluje się jedną z fotografii z portfolio.

Aron, 77, rybak.

Nie chciał, żeby nazywać go emerytem, rybak nigdy nie przestaje łowić ryb, tak po prostu jest.

Siedzi wyprostowany na krześle, pokryte bliznami ręce spoczywają na kolanach, jest chudy i pomarszczony, ale czysty i schludny, wystroił się w elegancki garnitur, a rzadkie siwe włosy

zaczesał w równy przedziałek.

Uśmiecha się, widać zęby przez zajęczą wargę.

Jako dziecko musiał znosić, że koledzy w szkole wtykali palce i inne rzeczy w dziurę w jego ustach. Krzyczeli z obrzydzenia i zachwytu, kiedy spostrzegli, że da się wcisnąć całą pięćoórówkę. Potem został Skarbonką dla całej szkoły. Nawet niektórzy nauczyciele tak go po cichu nazywali.

Nigdy nie całował się z żadną kobietą, z mężczyzną też nie, jeśli o to chodzi. Płakał, kiedy to mówił, więc przestała fotografować. Zanim wyszedł, powiedział jej, że jest naprawdę wytworną damą.

Spogląda na sufit. Dlaczego wentylator nie jest włączony? Zerka w stronę kuchni. Pachną świeżo upieczone drożdżówki. Gdyby tak kupiła sobie jedną na wieczór. Posypaną kryształowym cukrem. Lubi ten trzeszczący odgłos między zębami, kiedy kruszy się cukier. Lubi również skrzypiące łydki tulipanów. Myśli wtedy o swojej mamie, która sadziła jesienią cebulki tulipanów, żeby wzeszły na wiosnę. Żółte tulipany, czerwone, białe, różowe, dłonie mamy na trzonku szpadla zakopujące cebulki, zręczne, drobne dłonie, błyszczące tłusto przy paznokciach od oliwy, którą je smarowała.

Sofia opuszcza wzrok na swoje dłonie. Takie duże i niezgrabne. Chowa je pod stołem, myśli o wardze Arona i czuje się mniej samotna.

Odwraca ostrożnie głowę i z boku przygląda się Bei.

Jest coś osobliwego w tej szczupłej, ubranej na czarno kobiecie, która pije swoją kawę małymi, precyzyjnie odmierzonymi łykami, a kanapkę je z takim namaszczeniem, jakby chodziło o jakiś rodzaj egzaminu.

Sofia wkłada rękę do torebki, ostrożnie wyciąga mały kieszonkowy aparat i szybko, dyskretnie pstryka niemal bezgłośnie zdjęcie bez lampy.

Bea, która zwróciła uwagę na ruch głowy, ale nie na kliknięcie, doszła już do Punktu Numer Dwa i rozkoszuje się Ciszą Wentylatora.

Była zmuszona zadziałać. Marzła od przeciągu, a skrzypliwy dźwięk doprowadzał ją do szału. Tak więc kilka nocy temu otworzyła kawiarnię, przecięła parę przewodów i problem został rozwiązany. Przy okazji ukradła filiżankę kawy i stuprocentowo spokojną, samotną chwilę przy swoim stoliku. Siedząc tam, myślała, że chciałaby mieć towarzystwo.

Mija kolejny kwadrans, potem Bea wstaje, żeby przystąpić do Punktu Numer Trzy. Rzuca spojrzenie na Sofię.

Ich oczy spotykają się na krótką chwilę.

Bei niemal czarne.

Sofii jasnoszare, albo może niebieskie, albo zielone.

I już Bei nie ma.

Pierwszą rzeczą, jaką Bea ukradła, był różowy portfelik pokryty mieniącymi się naklejkami,

z imieniem „Katja” wykaligrafowanym niebieskim atramentem na imitacji skóry.

Katja, ta ładna, ta bystra, mająca piękną mamę, z której nikt się nie śmiał, nawet kiedy w dzień wywiadówki przychodziła do klasy i siadała z tyłu, żeby posłuchać.

Katja mająca tatę, przed którym nawet Tommy i jego klika czuli respekt, wręcz go podziwiali, dlatego, że był taki silny.

Chodziło nie tylko o siłę fizyczną, ale i o tę wewnętrzną.

Wszystko widział. Nigdy nie zamykał oczu. Nie chował się. Raz zawołał do siebie Beę (podczas klasowej wycieczki, on był oczywiście tym ojcem, z którym wszyscy chcieli jechać) i powiedział:

– Możemy porozmawiać, jeśli chcesz.

Bea stała, wybierając, czy się otworzyć, czy zamknąć. Zamknęła się. Miała już przecież jednego tatę i nie chciała go wymieniać; mimo że nie mogła na niego liczyć, nie chciała go wymieniać.

Zamiast tego ukradła portfelik.

Zrobiła to z zawiści, tak podły był motyw. Wiedziała, że robi źle, ale nie miała wcale ochoty się temu oprzeć. Poza tym leżał niedbale na wierzchu. Aż się prosił, żeby go wziąć. Katja mogła mieć pretensje tylko do siebie.

Schowała się w szkolnej toalecie i opróżniła portfelik z pieniędzy, kart z aktorami, zdjęć koleżanek i tej fotografii przedstawiającej Katię z rodziną. Mama, tata, siostra, brat, powiedzcie cheese, please.

Dlaczego „cheese”?

Dlaczego nie rozciągnięte „criiisis”?

Nie zwykły nastoletni kryzys, ale czarniejszy, niebezpieczniejszy, który nigdy nie minie, tylko będzie się pogłębiał.

Zawinęła opróżniony portfelik w papier toaletowy i włożyła do czarnego woreczka na podpaski i tampony. Tam nikt nie będzie szukał. Tam, w słodko-kwaśnym schowku dziewczęcych kobiet.

Później poszło z rozpędu. Była coraz zręczniejsza, a w domowej piwnicy konstruowała narzędzia potrzebne do bardziej zaawansowanych przestępstw niż kradzież portfela. Posługiwała się wiertarką, lutownicą a nawet spawarką. Nigdy nie była tak ostrożna, jak powinna, bo nie miała nic do stracenia.

W wieku czternastu lat w zasadzie utrzymywała się sama i zaczęła odkładać pieniądze na przyszłość.

Dążyła do tego, by móc sobie kupić wszystko, co będzie chciała, pojechać, dokąd będzie chciała, robić, co będzie chciała.

Wynająć luksusowy apartament na jedną noc.

Podróżować po wszystkich kontynentach i morzach świata.

Uszyć sobie w Paryżu suknię *haute couture*.
Rozbijać się lamborghini na angielskiej prowincji.
Adoptować misia koalę.
Et cetera.

Myślała, leżąc pod kołdrą w wąskim drewnianym łóżku, które zrobił dla niej Kasper, jej tata, rękami bolącymi od miłości do jedyne go dziecka.

Jeśli Kasper nawet domyślał się, co się działo, nie wspominał o tym słowem. Wystarczająco absorbowało go ukrywanie się w swoim pokoju i rozpaczanie, ukrywanie się pod maskami swoich samochodów i rozpaczanie, picie i rozpaczanie albo patrzenie na córkę i rozpaczanie z powodu tej głębokiej przepaści, jaka się między nimi pojawiła.

Rozmawiali ze sobą, ale nie rozmawiali o tym, o czym powinni byli rozmawiać.

Zataczali coraz szersze kręgi wokół smutku i tęsknoty.

Tworzyli jedno tabu za drugim wokół siebie i między sobą. Jakby zaminowywali spustoszoną ziemię zwaną „Rodziną Katalinów”.

Wybuchwały gwałtowne kłótnie, kiedy któreś z nich przypadkiem nastąpiło na jedną z min. Potem na kilka dni, czasami na cały tydzień zapadało całkowite milczenie. W końcu dochodziło do zgody na zasadzie „Udajemy, Że Nic Się Nie Stało, Czy Możesz Podać Mi Sól?”

Bywało, że siedzieli po obu krańcach stołu i tęsknili do siebie tak, że niemal pękały tętnice.

Rozdzielała ich Wina.

To przez ciebie, tato, jesteś słaby, słaby.

To przez ciebie, Bea, odwróciłaś się ode mnie.

Nic się od tamtego czasu nie zmieniło. Stali się tylko starsi, bardziej zmęczeni, zgorzkniali, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej niezdolni, by rozmawiać ze sobą, nie mając się cały czas na baczności.

Przyczyny, że nikt inny nie odkrył, co robiła Bea, były następujące:

1. Odznaczała się wyjątkową smyką, nie tylko do samych kradzieży, ale też przemyślnie zacierała ślady.

2. Uchodziła za grzeczną, małomówną i dobrze wychowaną dziewczynkę, która nigdy nie pyskowała ani nie prowokowała burd. Do tego była wzorową uczennicą, która niemal stale otrzymywała najwyższe oceny ze wszystkich przedmiotów. Dlaczego miałyby kraść? Nie, to było nieprawdopodobne. I podejrzliwe oczy zwracały się w inną stronę: ku nieznośnym chłopakom, ku impertynenckim dziewczynom, ku paczkom buntowniczej młodzieży itd.

3. Żałowano jej. Straciła przecież mamę. Ta okoliczność działała osłepiająco, sprawiała, że większość dostrzegała tylko biedną, pozbawioną matki dziewczynkę, której nie było łatwo w szkole, a mimo wszystko całkiem dobrze sobie radziła, nawet jeśli trzymała się trochę na uboczu. Złodziejką? Nie, nie, ona była ofiarą.

Jak to można się pomylić.

Bea siedzi na skórzanym fotelu z nogami opartymi na podnóżku i pali cygaro marki Havana. Mocne i ostre w smaku i ona sama tak właśnie się czuje.

Mocna. Ostra.

Wciąga dym do gardła, do płuc. Przypomina sobie babcię Heddę przy zlewozmywaku, dokąd zawsze wycofywała się po rodzinnych obiadach, żeby mieć chwilę spokoju. Podwinięte rękawy kwiecistej bluzki. Piersi sterczące pod materiałem, miała duży biust, miseczka D, czego Bea nie odziedziczyła. Bransoletki brzęczały przy najdrobniejszym ruchu, obwisła skóra ramion kołysała się, bywało, że Hedda nuciła jakąś melodię ze szwedzkiej listy przebojów. Kiedy skończyła zmywać, otwierała okno w kuchni, zapalała cygaro (papierosy były dla słabych kobiet i żalonych mężczyzn) i wzdychała przed pierwszym zaciągnięciem się. Zimą, wiosną, latem, jesienią, zawsze ten sam rytuał. Wzrok szybował gdzieś daleko i Bea zastanawiała się, dokąd trafiał.

Czy babcia przemierzała pustynię na wielbłądzie? Czy miała gdzieś kochanka, a może istniał tylko w jej fantazji? Czy chciała rozebrać się do naga i wybiec z krzykiem na deszcz? Albo na słońce, poskakać przez zraszcz? Wytarzać się w liściach? Zrobić w śniegu anioła? Wdrapać się na drzewo, zbudować kryjówkę i się w niej schować?

Babcia, kiedyś taka mocna i ostra. Obecnie toból w domu opieki. Ledwie może się ruszać, żywi się tylko kleikiem, bierze Beę za Ebbę, wydaje się jej, że dziadek Joel baluje z innymi kobietami – bo jak inaczej wyjaśnić, że się nie pokazuje?

Dziadek zmarł rok przed mamą. Babcia i dziadek od strony taty też zmarli, babcia dawno temu, dziadek przed kilkoma laty. Tata oplakuje ich, ale bynajmniej nie w ten gwałtowny sposób, w jaki oplakuje Ebbę. Jej straty nigdy nie przeboleje. Bea jest pewna, że każdej nocy zasypia z płaczem.

Ostatnie zaciągnięcie się cygarem, które znalazła w pudełku schowanym w biurku. Biurko zawierało jeszcze inne interesujące rzeczy.

8 sztuk niepomiętych banknotów o wartości stu euro każdy w kopercie, w której znajdują się również liczne paragony.

Szkło powiększające.

Klucz do niewiadomego zamka.

Obrączka ślubna z inskrypcją *Mia, jestem twój na zawsze. David, 9. 05. 2001.*

Plik świerszczyków.

Wyciągi bankowe potwierdzające przechwałki w metrze.

David Nyström, właściciel tego ponurego pięciopokojowego mieszkania, jest 43-letnim, samotnym brukselskim biurokratą, mającym okropny nawyk rozwodzenia się przez komórkę o swojej wysokiej pensji i błyskotliwej karierze.

Bea podслуchała go w metrze na odcinku Skanstull – Odenplan, poszła za nim do jego

mieszkania, dowiedziała się, co jej było potrzebne, i odczekała do następnego wyjazdu do Brukseli.

Nie jest ofiarą.

Bierze, co chce mieć.

W skórzanych rękawiczkach przegląda jego świerszczyki, wypala kolejne cygaro, zastanawia się, do czego może pasować klucz, dlaczego Mia zwróciła obrączkę i co takiego się wydarzyło w jego dzieciństwie, że zmusza go do chwalenia i chępcenia się, aby czuć się dostrzeganym.

Korzysta ze szkła powiększającego, żeby móc dokładniej obejrzyć nietypowo czułe zdjęcie w świerszczyku.

Ręka mężczyzny na karku kobiety, jakby dla ochrony przed nazbyt gwałtownymi pchnięciami. Usta na jej włosach. Jego członek ociera się o pochwę, prosi o pozwolenie. Wprawdzie ona potwornie się rozkraczyła, ale jednak jest tam jakaś czułość z jego strony, nawet jeśli zagrana.

Bea zamyka oczy i przez chwilę fantazjuje, potem wstaje, chowa rzeczy do plecaka, przechodzi do następnego pokoju i kontynuuje plądrowanie.

Skradając się. Parkiet w jodełkę nie skrzypnął ani razu. Nie zapala żadnej lampy, widzi w ciemności nie gorzej niż kotka.

Włosy zebrała starannie pod czarną czapką, ubranie jest świeżo wyprane, nigdy nie wkłada do pracy dwa razy tego samego ubrania, jeśli go uprzednio nie wyprała.

Nosi zawsze rękawiczki, ale dla pewności wypaliła linie papilarne. Piekielnie bolało i sprawiło jej przyjemność.

Ślady butów? Sporządza gumowe podeszwy, które przed akcją przytwierdza na spodzie butów. Podeszwy są o dwa numery większe od butów i zostawiają jedynie odcisk gładkiej powierzchni.

Większości sztuczek nauczyła się, oglądając filmy i telewizyjne kryminały, a także z czatu, na który czasami wchodzi (czat jest w stanie permanentnej przeprowadzki między tymczasowymi adresami sieciowymi), gdzie element kryminalny dzieli się swoimi tajemnicami zawodowymi.

Jest dumna ze swojej profesjonalnej wiedzy, ale nigdy nikomu nie poleciłaby tego zawodu, gdyż bez żadnych wyjątków wiąże się z moralnym i duchowym upadkiem.

Nie może pozbyć się uczucia, że jest pokryta kleistą błoną, która powoli, ale nieuchronnie ją dusi.

Jest brudna, tak cholernie brudna.

Szuka dalej.

Laptop, nie nowiuteńki, ale powinna dostać za niego przynajmniej tysiąka.

Rolex z wyczerpaną baterią, drobnostka, powinna dostać od pięciu do dziesięciu.

Dwie pary złotych spinek do mankietów, mogą być kłopoty ze sprzedażą, ale złoto to zawsze złoto, zabiera je.

Opakowanie silnych tabletek nasennych w szafce w łazience, mogą się przydać na własny

użytek.

Pięknie oprawiony egzemplarz *Don Kichota* z 1912 roku – Bea zatrzymuje się, przesuwa dłonią po skórze, wertuje kartki.

A gdyby tak kupiła lokal, założyła antykwariat, chodziła w człapiących pantoflach wśród zakurzonych tytułów i poświęcała noce na czytanie, a nie na złodziejskie wyprawy?

I oczywiście byłaby wtedy szczęśliwsza?

Samooszukiwanie się, wyciąga szpilkę, przekłuwa marzenie, chowa *Don Kichota* do plecaka i kontynuuje rabunek.

Książeczka czekowa, Bea uśmiecha się. Brakuje tylko podpisu, próbki charakteru jego pisma i gotowe.

Grzebie w szafkach i szufladach, znajdując w końcu stary kalendarz i popisany notes.

Idealnie. Nie ma tu już nic więcej do zabrania.

Wychodzi tą samą drogą, którą przyszła, drzwiami (z tych łatwych do otwarcia wytrychem, pewnie Nystrom po tym wszystkim założy kratę, jeśli w ogóle odkryje wizytę), które zamyka tak cicho, jak się da.

Dziękuję i do widzenia.

* * *

W tunelu pod torami kolejowymi ściąga wypchany plecak i ciasne rękawiczki, zdejmuje czapkę i potrząśnięciem głowy rozpuszcza włosy, odrywa gumowe podeszwy, które później wyrzuci do pierwszego lepszego śmietnika.

Opiera się o zimny kamienny mur, drżąc teraz ze strachu i oczekiwania.

Chodźcie i weźcie mnie. Skopcie. Potnijcie. Zgwałćcie. Byle mnie ktoś dotknął, z dowolnym uczuciem. Nawet nienawiść jest lepsza od obojętności.

Przejeżdża z łoskotem pociąg, wibracje czuć przez kamienie, Bea jest teraz zimna, zimna i milcząca.

Słyszy, że ktoś nadchodzi, ale kroki obierają inną drogę, oddalają się.

Czeka jeszcze przez chwilę, ale nikt się nie pojawia, nawet złoczyńcy jej nie chcą.

W chwili kiedy Bea znika w bramie nr 187, przed bramę nr 183 zajeżdża taksówka. Otwierają się tylne drzwi. I zamykają. Otwierają się, zamykają. Mirja chce wysiąść, Filip chce, żeby została.

– Nie możemy pojechać do mnie? – mówi Filip. – To zajmie tylko pięć minut.

Dojazd do akademika czy czas do wytrysku?

– Taksometr bije – mruczy taksjusz.

– Dobra, dobra – zbywa go Filip, który nie ma dnia więcej niż dwadzieścia lat.

– Nie, muszę wracać do domu. – Mirja odsuwa jego macające ręce.

Spali ze sobą cztery razy i ani razu nie było dobrze, chociaż próbowała sobie wmówić, że było cudownie, bo słyszała, że tak właśnie ma być.

– Jesteś taka ładna.

Filip odmawia nałożenia prezerwatywy, bo to zabija czułość (jaką czułość?), więc tryska jej na brzuch, chciałby kończyć w jej ustach, ale jak dotąd ona się temu sprzeciwia. Pigulek antykoncepcyjnych ani innego hormonalnego gówna Mirja nie chce brać, boi się, że utyje i zepsuje sobie cerę, a na to przecież nie może pozwolić, skoro ma zostać fotomodelką.

– Możemy się spotkać w inny dzień, okej? – mówi, obciągając minispódniczkę koloru mięty i marząc o porządnych spodniach.

Chce, żeby zostawił ją w spokoju. Chce mieć swoje ciało dla siebie. Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się w barze.

Jego ciało buzuje od testosteronu i podniecenia, zabije ją, jeśli ona sobie pójdzie.

– Nie wyłączę – mówi taksiarz, który zaczyna się niepokoić, czy młodzi w ogóle mają forszę.

– Proszę. – Mirja rzuca zmięte sto koron. – On zapłaci resztę.

Odpycha drzwi, wysiada, bije Filipa po macających palcach, biegnie do bramy, otwiera, wpada do środka, zatrząskuje drzwi i parę sekund później słyszy, jak Filip na nie wpada, zaczyna się dobijać i wołać jej imię.

– Mirja, przecież cię kocham, chcę tylko porozmawiać.

Włożył jej palec, kiedy siedziała na barowym stołku i na wszystko była przygotowana, ale na pewno nie na to.

Filip rzuca się na drzwi, kocha ją przecież, kochają, tę przekłętą dziwkę!

Mirja czuje się brudna, splugawiona, chce wziąć prysznic, wyszorować się do czysta, zasnąć, zapomnieć. Najpierw jednak musi pokonać Przeszkodę Rodzice, którzy jak zwykle siedzą na górze i czekają na jej stanowczo zbyt późny powrót.

Nie.

Nie siedzą tam, blisko siebie na kanapie, i nie piją herbaty z zafrasowanymi minami. Jest tak zawiedziona, że zaczyna płakać.

– Mirja?

Rosa staje w przedpokoju, jest ubrana w aksamitno – brązową podomkę, napinającą się na wałkach tłuszczu, ma błyszczące oczy.

– Wiem, że jest późno, ale nie jestem już dzieckiem! – oświadcza Mirja, która spodziewa się bury. – W ogóle zamierzam wyprowadzić się z domu. Kolega wynajmie mi może swoją kawalerkę w Sumpån. [Potoczne określenie sztokholmskiej dzielnicy Sundbyberg.]

Rosa nic nie mówi, obejmuje tylko córkę, która śmierdzi piwem i papierosami, choć jest za młoda, by mogła je kupować.

Coś się stało.

– Mamo, coś nie tak?

Rosa opowiada, czego dopiero przed wieczorem sama dowiedziała się od Viktora.

– Czy tata umrze?

Rosa nie wie. Mirja krzyczy. Sąsiad z góry (nad – wrażliwy typek, który nie ma nic lepszego do roboty, jak nasłuchiwać Hałasu) łomocze. Viktor leży w łóżku na plecach, trzymając ręce splecione na brzuchu.

– Boże, pomóż mi – szepcze do popękanego sufitu, po czym idzie do Rosy i Mirii i mówi, że chyba wcale nie jest to takie groźne, za kilka miesięcy pozbędzie się paskudztwa, a wtedy świętowaniu nie będzie końca.

Viktor uwielbia zabawy. Stepowanie na stole, rozwiane włosy, podwinięte rękawy koszuli albo w ogóle bez koszuli, papieros w kąciku ust, tłuczone kieliszki do szampana, tańczy, co mu zagrają, hip-hop, walc, salsa, facet rusza w tan, a uśmiech siedzi jak przyklejony.

Rosa i Mirja uśmiechają się.

– Zrobię herbatę – mówi Rosa.

Viktor włącza telewizor, przerzuca przez chwilę kanały i uznaje, że *Policjanci z Miami* będą ciekawszi od telegry.

Rosie drży ręka, kiedy odmierza liście rumianku.

Mirja idzie do swojego pokoju, wyslizguje się z obcisłego nocnoklubowego futerału i wkłada koszulę nocną. Biała miękka bawełna z małymi różowymi kwiatkami. Nagle Mirja wygląda na zdecydowanie za małą na ten makijaż na twarzy (w szafie na najwyższej półce wciąż leżą lalki, zdarza się, że je wyjmuje, rozczesuje im włosy, wiąże im buty, bawi się jak dziecko).

Odruchowo pozuje przed lustrem, przypomina sobie, że mama powiedziała, że do kawiarni kilka razy przyszedł jakiś fotograf.

Potem znowu krzyczy, ale cicho, żeby nie przeszkadzać sąsiadowi.

Trzy razy, dokładnie rzecz biorąc.

Fotograf. Do kawiarni.

Za czwartym razem będzie czas. Wtedy znowu zapyta o wystawę. Dyskretnie przypomni o danym słowie. Tylko kilka zdjęć zawieszonych na dwa, trzy tygodnie. Może zaprezentuje parę najnowszych prac. Robi głównie portrety, nierzadko ludzi, do których społeczeństwo w ten czy inny sposób odwróciło się plecami. Taka seria zdjęć pasowałaby do kawiarni Na Marginesie.

Myśli Sofia, siedząc na sedesie, po ciemku, oddalona dwa kwartały od zduszonego krzyku Mirii, i wyciera członek.

Tak, po ciemku, żeby nie musieć patrzeć, nie widzieć na własne oczy.

Rozbiera się też po ciemku i nakłada spodnie od piżamy. Nadal nie nauczyła się spać w koszuli nocnej, to sterczy i płacze się, kobieta nie powinna być narażona na coś takiego.

Potem zapala biurkową lampkę i siada przy stole służącym jednocześnie za biurko i stół jadalny.

Mieszka w suterenie pistacjowozielonej kamienicy z lat dwudziestych. 32 metry, włącznie z ciemnią, sypialnią, kącikiem kuchennym i toaletą z prysznicem wychodzącym z umywalki.

Nie wolno tutaj mieszkać, ale gospodarz wyraził zgodę za dodatkowe pięćset koron miesięcznie.

Na czarno, tutaj wszystko odbywa się na czarno.

Chociaż w dziurze, z której Sofia pochodziła, też nagminnie kantowano. Nawet pastor zatrudniał na czarno sprzątaczkę, krążyły zresztą pogłoski, że pozwolił sobie z nią na skok w bok. Nie układało się zacnemu pasterzowi i jego małżonce. Polka pojawiła się w porę. Albo nie w porę. I uległa. Pogłoski się rozeszły, pastor zaprzeczał, ale został wymieniony, bo potrzebowano przewodnika z większą charyzmą. Tak uważała Rada.

Przeklęta Rada.

Która orzekła, że Sofia jest chora.

Nie znają swojej Biblii. Jezus nie czynił różnicy między czarnym a białym, biednym a bogatym, dziwką a świętą, żydem a muzułmaninem, kobietą w kobiecym ciele a kobietą w męskim ciele.

Nie znają swojej Biblii. Postępują wbrew Biblii. Łamią nakazy Jezusa.

A mimo to nie ponoszą kary.

W przeciwieństwie do niej:

Milczenie automatycznej sekretarki, pustka wyświetlacza, brak poczty innej niż reklamy, rachunki oraz pisma z urzędu skarbowego i urzędu pracy.

Minęły dwa miesiące, odkąd się tu przeprowadziła, po tym jak w środku nabożeństwa powiedziała członkom zboru, żeby się od niej odpieprzyli. Modlili się w intencji jej wyzdrowienia. Jej rodzice i brat należeli do modlących się najgłośniejszy, bo nie mieli odwagi sprzeciwić się Owczemu Pędowi. To było wstrętne, na samą myśl o tym nadal ogarnia ją paniczny lęk. Przeklęta ich i uciekła, zyskała wolność, ale straciła swoją przeszłość, swoją rodzinę.

Wybiera numer do domu, do mamy i taty. Bez ostatniej cyfry. Wciąż od nowa. Ostatniej cyfry nie.

Zachowała jeszcze odrobinę dumy.

Nie ma zamiaru żebrać o przebaczenie, prosić, by przyjęli ją z powrotem. Teraz ich kolej upaść na kolana.

– Mama!

Stefan.

Takie imię Sofia ma nadal w paszporcie.

– Mama, mama...

* * *

Sofia i Bea, dwa chuderlawe, pozbawione matki dzieciaczki w swoich łózkach.

Sofia, która zaraz zaśnie, leżąca na boku z nogami podciągniętymi do piersi i kciukiem

niebezpiecznie blisko buzi, musi zacząć chodzić na terapię.

Bea, która nie śpi i słucha głosu mamy dobywającego się ze starej winylowej płyty, rok nagrania '79. *My Funny Valentine*, głos odpowiednio zachrypnięty, Ebba zawsze zaciągała się parę razy papierosem przed wejściem do studia.

Trzy lata później zmarła. Ten żywy głos. Oddechy niemal wyczuwalne na skórze.

Włoski podnoszą się na żyłastych ramionach Bei, jasne włoski, nieopisanie liczne, meszek jak cienkie, cieniutkie futro. Skóra pokryta śladami zadrapań. Kiedy Bea bierze prysznic, szoruje się tak mocno gąbką (nie tą gładką stroną), że aż zaczyna krwawić. Wtedy, w środku bólu, odczuwa, że żyje.

My funny Valent... My funny Valent... My funny Valent...

Igła się zacięła, Bea wyłącza gramofon, wyciąga skradziony stetoskop, podchodzi do okna i słucha uderzeń własnego serca. *Bu bum, bu bum, bu bum*, wiatr chłoszcze szybę, za którą widok rozciąga się na kanał i zamek po drugiej stronie, niestety również na autostradę i samochody, których nigdy nie ubywa. Ale tu, na górze, tak bardzo ich nie słychać. Bea mieszka na piątym piętrze, najgorzej mają ci na dole, ale dla pewności kazała wstawić okna z potrójnymi szybami.

Mieszkanie ma sto cztery metry i składa się z czterech pokoi i kuchni. Bea zapłaciła gotówką z oszczędności 1, 4 miliona, w 1997 roku, niewygórowaną cenę, biorąc pod uwagę dzisiejszą wartość – około 3, 5 miliona.

Nie ma pięknego życia, ale chce mieć przynajmniej piękne mieszkanie, wysoko nad tymi szczęśliwymi, nad tymi, którym się udało; to jej zemsta.

Najmniejszy pokój, w którym śpi, kazała wygłuszyć od dołu. Stare domy są urocze, ale izolacja szwankuje, o tym agenci nieruchomości nigdy nie wspominają.

Pozostałe pokoje to jadalnia, gdzie dotąd zapraszała na obiad tylko tatę, gabinet funkcjonujący również jako biblioteka, wysoki na pięć metrów, z panoramicznym oknem wychodzącym na kanał i zamek (Bea udaje, że jest utalentowaną artystką, a pokój służy za atelier) oraz salon z fortepianem, na którym gra tylko z rzadka, rowerem treningowym przed telewizorem i drzwiami na taras, gdzie czasami siada w nocy, tęskniąc za domem.

Do domu. Pokój z niebieską narzutą i rzeczami nadal na swoim miejscu. Nad nim gabinet mamy. Skrzypienie podłogi w nocy, kiedy mama chodziła, nie mogąc zasnąć.

Czasem słychać było słabe tony jazzu, wtedy mama tańczyła.

Czasem słychać było głos taty, budził się od bezsenności mamy i przychodził do niej.

Czasem Bea wymykała się na schody i nasłuchiwała w nadziei, że powiedzą coś ciekawego.

Czasem słyszała, jak się kochali. Wtedy wiedziała, że mama robi na śniadanie gofry, a tata użyje odrobinę więcej *after shave*.

Ma wrażenie, jakby to było wczoraj. Zasypia. Szczęścia przybywa, szczęścia ubywa.

* * *

Trzej chłopcy tłoczą się wokół ławki, trącają pijaka patykiem, chichoczą niepewnie, chcą zostać i uciec zarazem. Czy on naprawdę nie żyje? Patyk w usta, rozwiera szczęki, z brzękiem wylatuje mucha, chłopcy robią zniesmaczone grymasy. A może ma przy sobie pieniądze? Kto odważy się przeszukać mu kieszenie? Nie ja. Nie ja. Nie ja. Ten, kto wyciągnie najkrótszą słomkę.

Przegrywa twardziel. Zbliża się do umarlaka, bliski posikania się ze strachu. Skończy się nocnymi koszmarami. Najpierw kurtka. Klucz, pół paczki papierosów, zmięty paragon z 7-Eleven, uszkodzone okulary do czytania, o cholera, patrzcie, trans!

Twardziel przerywa obszukiwanie. Kilka metrów od niego stoi Sofia, przyglądając się ograbianiu zwłok.

– Zostawcie go – mówi ciemnym, groźnym głosem.

Twardziel cofa się między kolegów, czuje wsparcie za plecami, ale też presję.

– Fuck you, pierdolony zboczeńcu! – podnosi palec.

Sofia podchodzi do niego, łapie go za koszulkę i mocno nim potrząsa. Mimo wszystko jest silna jak mężczyzna, czego w chwilach takich jak ta nie waha się wykorzystywać, choć w pewien sposób oznacza to nielojalność wobec siebie samej.

Puszcza chłopaka, ten bierze nogi za pas, koledzy, z których jeden się posikał, depczą mu po piętach. Kiedy znikają z pola widzenia, Sofia podchodzi do leżącego na boku, skulonego pijaka, zamyka rozdziawione usta i lekko otwarte oczy, dotyka przelotnie głowy i przesuwając ręką wzdłuż linii ciała. Dotyka również sztywnych dłoni, złączonych ze sobą, jakby do ostatniej modlitwy.

Próbował odkasznąć, coś wypluć, zaczerpnąć powietrza? Próbował wezwać pomoc? Bał się? Jeśli się modlił – o co się modlił i czy Bóg zechciał go wysłuchać?

Sofia przeszukuje jego kieszenie, żeby dowiedzieć się, kim on jest, ale znajduje tylko śmieci. Ktoś już tutaj był i je opróżnił.

Śmierć nie przeraża Sofii. Pod koniec podstawówki miała przyjaciółkę Marię, której tata był przedsiębiorcą pogrzebowym i czasami obie przyglądały się, jak szykowano zmarłych na ostatnią podróż.

Tata Marii z wielką delikatnością mył i ubierał ciała, pudrował przebarwienia na twarzy, nakładał dyskretny i precyzyjny makijaż, czesał włosy i krzyżował ręce na piersi.

Nigdy nic nie mówił, nawet cicho do siebie. Językiem zmarłych jest milczenie i nad ich głowami nie chciał rozmawiać.

Sofia go lubiła. Czuli, że tata Marii rozumie, kim ona jest. Kiedyś przyłapał ją, jak przymierzała jeden ze staników Marii, ale nic nie powiedział, zamknął tylko drzwi, zostawiając ją w spokoju.

W szkole wszyscy myśleli, że Sofia – która przecież w ich oczach była Stefanem – i Maria chodzą ze sobą. Chłopcy z klasy ciągle pytali, czy już to zrobili.

Czy się pieprzyli. Kopulowali.

Sofia zaprzeczała. W końcu się zmęczyli i zaczęli nazywać ją pedałem. Co było i prawdą, i nieprawdą.

Była przecież dziewczynką – choć wyposażoną jak chłopiec – która chciała mieć chłopaka.

Ale czasami sama nie wiedziała, bo stawał jej nie tylko wtedy, kiedy myślała o którymś z chłopaków ze szkoły, ale także kiedy widziała ładną dziewczynę.

Czy była pedałem, hetero, bi, lesbijką, wszystkim naraz?

To był przykry okres, a na domiar złego Maria nagle uznała, że powinni się w sobie zakochać albo przynajmniej uprawiać seks.

Sofia uciekła w trakcie samego aktu uwodzenia i odtąd rozpościerał się między nimi lodowiec. Chłód dawało się odczuć nawet wtedy, kiedy stały na przeciwległych krańcach szkolnego podwórka i wzajemnie się ignorowały.

Sofii najbardziej jednak brakowało taty Marii.

Robi zdjęcie bezimiennemu mężczyźnie na ławce. Świątokradztwo, może ktoś uważać, ale Sofia chce udokumentować, że istniał, gdyby okazało się, że nikt po nim nie zapłaci. Potem idzie śpiesznie do kawiarni, żeby stamtąd zadzwonić i powiadomić o zgonie (na poranny spacer nigdy nie bierze ze sobą komórki, nie chce wtedy być osiągalna – wprawdzie nie dzwonią do niej tłumy, ale jednak).

Zamknięte. Jest wpół do dziesiątej, a kawiarnia otwarta jest od dziesiątej, powinna już zapamiętać. Zastanawia się, czy nie wrócić do domu i nie zadzwonić od siebie, kiedy dostrzeże przez szybę Mirię i puka. Brak reakcji. Puka jeszcze raz, wołając, że chodzi o nagły przypadek.

Kłamstwo. Bo mężczyźnie na ławce raczej nie robi różnicy, czy karetka przyjedzie za dziesięć czy za piętnaście minut.

Mirja (która właśnie odbyła rozmowę z Filipem i ponownie została przekonana, że on jest w porządku chłopak, któremu wcale nie zależy na samych macankach, to był odosobniony przypadek, upił się i teraz żałuje, czy mogą razem gdzieś wyjść?) otwiera.

– Tam niedaleko na ławce leży martwy mężczyzna – mówi Sofia. – Czy mogę zadzwonić stąd na policję?

Mirja otwiera szeroko swoje piwne oczy, obwiedzione dziś czarnym kajałem, ponieważ rano na wskroś przenikała ją czerń.

– Martwy mężczyzna? – upewnia się.

Sofia potakuje.

– Oczywiście – mówi Mirja. – Proszę wejść.

Idą do kuchni, gdzie znajduje się telefon. Sofia dzwoni na 112, podczas gdy Mirja przygląda się jabłku Adama na jej szyi. Po piętnastu minutach policja i karetka są na miejscu.

Natychmiast wokół ławki zbierają się ludzie, tworząc szeroki krąg. Sofia i Mirja stoją wśród nich, patrząc na wyciągane nosze.

Załoga karetki podnosi skulone ciało i wsuwa do środka. Jak ciasto do pieca.

Zostanie spalony czy pogrzebany? Jak się nazywa?

– Proszę, żebyście do mnie zadzwonili, jak ustalicie, kto to jest – mówi Sofia, która musiała zrelacjonować policji, jak znalazła martwego.

– Po co? – pyta młody policjant, gapiąc się bezceremonialnie na jej piersi.

Sztuczny biust? Czy wypycha biustonosz pianką, materiałem, a może gazetami?

– Chciałabym pójść na pogrzeb.

– Dlaczego?

Teraz skupia się na jej kroczu, zastanawiając się, gdzie chowa jajka i ptaka.

– Dlatego, że chce pójść na pogrzeb – mówi Mirja, która przesuwając się ku przodowi i staje koło Sofii.

Wzrok policjanta przenosi się z krocza Sofii na twarz Mirii, jej piersi, biodra, nogi, ponętą całość.

W stu procentach Smaczny Kąsek.

– Niech będzie – wydobywa notes. – Numer telefonu?

Patrzy na Mirię, mając nadzieję, że da jej swój.

– 720 30 01 – dyktuje Sofia. – Komórkę też podać?

– Nie trzeba – odpowiada, nie odrywając wzroku od Mirii, do której w tej właśnie chwili dociera to, co powinno do niej dotrzeć dawno temu.

Mężczyźni To Świnie.

Nie Filip. Nie, nie Filip. Tak żałował, był taki słodki i miły, powiedział, że zabierze ją do eleganckiej restauracji, może najpierw do kina, jeśli będzie chciała (jasne, że będzie chciała, pocałunki w ciemnej kinowej sali są najlepsze ze wszystkiego, zawsze była nieuleczalną romantyczką).

Ale ten typek w mundurze, co za świnia!

– Chodźmy. – Bierze Sofię za rękę i odciąga od pieprzonego gliniarza.

Sofia, czując uścisk miękkiej dłoni, zaczyna płakać. Płacze bezgłośnie, spokojnie, w taki sam sposób, jak płakała, będąc dzieckiem – żeby nikt nie zauważył.

Mirja zauważa. Mirja jest wściekła. Mirja jest rycerzem, który wpada do kuchni i rozgląda się za filiżanką, herbatą, ciastkiem na pocieszenie.

– Co za cholerny idiota! – drze się. – Potraktował panią jak śmieć. Oskarżę go o seksualne molestowanie. Na moje piersi też się gapił. Nie zdziwiłabym się, gdyby obmacywał trupa. Cholera, niedobrze mi.

Wybiega do toalety i zwraca śniadanie.

– Nigdy wcześniej nie widziałam nieżywego człowieka, to pewnie dlatego – tłumaczy się, kiedy jest z powrotem.

– Ja widziałam wielu nieżywych. – I Sofia słyszy siebie, jak opowiada o Marii i jej tacie, przedsiębiorcy pogrzebowym.

Mirja widzi przed sobą rząd ciał, martwych, ale pięknych, wkrótce zostaną opuszczone do

ziemi, ale wzniosły się już do nieba. Mirja nie wie, czy wierzy w niebo i życie wieczne, ale mimo wszystko.

- Utrzymujecie ze sobą kontakt?
- Nie! – Sofia odstawia z trzaskiem filiżankę.
- Dlaczego nie?
- Zerwałam ze swoją przeszłością.
- Z rodziną też?
- Też.

Rana została odsłonięta, patrzą na nią w milczeniu, nie wiedzą, czy ją rozgrzebywać, opowiadają więcej o sobie.

Mirja Novak, lat siedemnaście (ale mimo to wszędzie ją wpuszczają bez dowodu, bo jest taka ładna), chodzi do liceum, profil artystyczny, latem pracuje w kawiarni, marzy o zostaniu fotomodelką albo aktorką, najlepiej jedno i drugie, chodzi z Filipem, to nie jest do końca pewne, ale akurat dzisiaj tak.

Sofia Kinnman, dwadzieścia dziewięć lat, wolny zawód fotograf, ale utrzymuje się głównie z zasiłku dla bezrobotnych, ma nadzieję, że tylko czasowo. Pochodzi z małej miejscowości na zachodnim wybrzeżu, wychowała się w alternatywnym Kościele, nie nazbyt miłosiernym, z inklinacjami ku Słowu Życia i podobnym sektom. Trzy lata żyła z kobietą, Anną, co stanowiło próbę dopasowania się i z góry skazane było na niepowodzenie. Teraz otwarcie przyznaje się, że jest transseksualistą, nie mylić z transwestytą. Chce zmienić płeć, mieć piersi, hormony, pełen zestaw, ubiegała się kilka razy o pozwolenie, ale bezskutecznie. Ma nadzieję, że teraz, za czwartym razem, się uda.

- Boże, ale nawijam – reflektuje się Sofia.

Odczuwa taką potrzebę, przed Mirją nie spotkała nikogo, komu mogłaby opowiedzieć o swoich myślach i uczuciach.

– Nie szkodzi – mówi Mirja, która uważa, że poznanie transwestyty, sorry, transseksualisty, jest ekscytujące.

Ktoś próbuje otworzyć zamknięte drzwi kawiarni. Mirja spogląda na zegar. Wpół do jedenastej! Wybiega, przyjmuje pierwsze w tym dniu zamówienie, wraca biegiem do kuchni i siada z impetem na krześle.

- Czyli to ty jesteś fotografem?

Młodzieńcza niecierpliwość.

- Mogłabym zrobić ci kilka zdjęć. – Sofia uznaje, że Mirja właśnie to chce usłyszeć.

Mirja uszczęśliwiona kiwa głową, myśli pędzą, jest już w Hollywood i ukrywa się przed paparazzi – znowu brzęczyk, klient nr 2.

Nie, to Rosa i Viktor wrócili ze szpitala Karolińska, gdzie rozmawiali z Onkologiem i Chirurgiem, którzy mają pomóc Viktorowi wyłowić raka z żołądka.

Operacja jest absolutnie niezbędna, a po operacji naświetlanie i chemioterapia. Chcą zacząć leczenie natychmiast, bo guz szybko rośnie. Operacja może odbyć się za tydzień, Viktor ma szczęście, zwolniło się miejsce. Do tego czasu mogą zaproponować środki przeciwbólowe i rozmowy z psychologiem.

Czy mają jakieś pytania?

– Tak. – Rosa miażdży rękę Viktora. – Czy on przeżyje?

Hm.

– Rokowania są dobre.

– Co to znaczy?

– Połowie się udaje.

Wchodzą do kuchni, Mirja wita ich i świergocze, że Sofia, która będzie wystawiała u nich swoje prace – pozwolisz, mam? – zrobi jej zdjęcia, które Mirja po – wysyła do agencji modelek.

W następnej sekundzie pochmurnieje, podchodzi do Viktora i obejmuje go. Wyczuwa pewną słabość, chłód, których nigdy wcześniej tam nie było.

Viktor znad jej ramienia patrzy na Sofię, pijącą herbatę przy ich stole. Jak te dwie tak się skumały?

Lekko kiwa jej głową, Sofia odpowiada skinieniem i uśmiecha się trochę nieśmiało. W innych okolicznościach kręciłby pewnie nosem, że Sofia to właściwie mężczyzna, ale jest zbyt zmęczony, żeby bronić swoich przesądów.

– Pójdę się położyć.

– Pójdę z tobą – mówi Rosa.

– Nie, pomóż tutaj Mirii.

– Poradzę sobie – deklaruje Mirja.

– Ja mogę pomóc – ofiaruje się Sofia.

Zapada cisza jak makiem zasiał.

Nie, myśli Rosa, to nie przejdzie, nie mam uprzedzeń, ale klienci mogą źle to odebrać.

Dlaczego nie? – myśli Viktor, który odczuwa spadające ciśnienie krwi.

Ojej, myśli Mirja.

– Dziękuję, ale nie. – Rosa unika spojrzenia Sofii. – Nie stać nas na dodatkowy personel.

Łatwe do przejrzenia.

– Obejdę się bez zapłaty. – Sofia z jakiegoś względu nie chce się poddać. – Pomogę chętnie z wdzięczności, że mogę zorganizować tu wystawę.

Rosa nie wie, co powiedzieć.

– Nie będę wychodziła z kuchni. Nikt mnie nie zobaczy.

Rosa się czerwieni. Viktor stęka. Mirja wpatruje się w podłogę. Wstydzi się za swoją mamę, ale wstydzi się też za Sofię.

– Niech będzie – zgadza się Rosa i ciągnie Viktora ze sobą do mieszkania położonego dokładnie nad kawiarnią.

* * *

Sofia i Mirja spoglądają na siebie pytającym wzrokiem, potem wybuchają śmiechem.

Viktor i Rosa leżą koło siebie w swoim dużym, podwójnym łóżku. Ona głaszcze go po czole i ma wrażenie, że już stracił na wadze. Rozmawiają przyciszonym głosem o dzieciach i wnukach, uśmiechają się na wspomnienia z przeszłości, całują się, razem płaczą.

– A gdybyśmy tak zebrali ich wszystkich, zanim się zacznie – proponuje Rosa, wycierając nos.

Dzieci, wnuki, wszystkich od nas.

Viktor przytakuje. Warto chyba wykorzystać ten czas. Zanim się zacznie.

Ulica Vasterlanggatan, łagodny wietrzyk, uliczny muzykant imieniem Mans, stadko ubranych na czarno Japończyków po jego prawej ręce, stadko kolorowych Amerykanów po lewej i stadko neutralnie ubranych Europejczyków z przodu.

Ustawili się zgodnie ze swoim miejscem na mapie świata, Mans zauważył, że zdarza się to dość często, jakby mieli wbudowane kompasy.

Gra na gitarze i śpiewa głosem przypominającym Cheta Bakera, w każdym razie jeśli pozostawać w obrębie muzycznej wiedzy Bei.

Aksamitny głos, zręczne palce, bejsbolówka, jasnobrązowe falujące włosy, które zbladły w słońcu, ciemne wąskie oczy, czarny T-shirt z jakimś kowbojskim nadrukiem, wytarte dzinsy i całkiem atrakcyjna sylwetka, gdyby nie nogi, ale dopóki siedzi na ziemi z gitarą w rękach, nikt nie widzi, że coś z nimi jest nie w porządku.

We wszystkie bezdeszczowe dni siedzi tutaj, grając pod publiczność melodie popowych piosenek. Inni grajkowie z zawiścią rzucają chciwe spojrzenia w stronę jego futerału, którego dno pokryte jest nie tylko monetami, ale i banknotami. Stawkę godzinową ma nie gorszą od szczurów biurowych w zatęchłych średniowiecznych gmachach wokół.

Zdarza się, że szczury te wyglądają ze swoich nor i marzy im się Wolność Artysty. Do czasu, aż spadnie deszcz. Wtedy w suchych ubraniach przy biurkach doceniają stałą pensję, uwzględniającą przerwy na kawę.

Wybrzmiewają ostatnie tony. Japończycy fotografują, trajkoczą i wrzucają monety. Amerykanie fotografują, krzyczą: *Wonderful! Wonderful!* i wrzucają większe monety, bo zawsze muszą być „naj”. Europejczycy zerkają na wschód i na zachód i decydują się na coś pośrodku.

Niektórzy kupują kasetę. Wśród nich Bea.

Widzieli się już wcześniej. Mans i Bea. Ona słuchała, on grał, potem Bea zniknęła w ciemnej uliczce Ignatiigrand i Mans nie myślał o tym więcej, Bea też nie.

Ale właśnie dzisiaj Bea kupuje kasetę i z jakiegoś powodu uśmiecha się, napotykając jego spojrzenie.

Mans stwierdza, że jest ładna.

Bea wkłada kasetę do torebki, kiwa głową na do widzenia i szybko odchodzi w tę samą uliczkę. Mans odprowadza ją wzrokiem i myśli, że kiedyś chciałby wziąć ją w ramiona.

Lekarz medycyny Jack Vestin, trzydzieści cztery lata, jak to zleciało. Pochodzi z wyższej klasy średniej, odnosi sukcesy w zawodzie, ma już własną praktykę. Wyśmienite kwalifikacje, spore oszczędności na koncie, idealne ciało, społecznie przystosowany, perfekcyjny pod każdym względem, z jednym wyjątkiem:

Jest opętany myślą, by odzyskać Evelyn.

Planowali się pobrać i mieć dzieci.

Dopuścił się zdrady. Bezsensowne rznięcie na stole w sali konferencyjnej. Wciąż nie wie, dlaczego do tego doszło, nie był nawet specjalnie pijany. Wrócił do domu, wypowiadał się ze swoich grzechów, zakładając, że Evelyn mu przebaczy. Wymierzyła mu policzek i poprosiła – nie, rozkazała – żeby wynosił się w cholerę.

Minął już prawie rok, a Evelyn czuje się coraz bardziej prześladowana.

Jack dzwoni nawet dziesięć razy dziennie. Przysyła kwiaty kilka razy w tygodniu. Pisce pachnące perfumami listy, czasami wyszukany charakterem pisma, czasami gorączkowym. Wystaje pod jej bramą, dzwoni do drzwi, próbuje nawet dostać się do mieszkania. Zaczął ją śledzić na każdym kroku.

W mieście, na zakupach, on się pojawia, co za spotkanie!

W kawiarni z przyjaciółką, on wchodzi, zamawia kawę, siada przy stoliku obok – nie, Evelyn, ty tutaj?

W restauracji, w której rozmawia z innym mężczyzną, czuje się nagle obserwowana, a kiedy się odwraca, on tam stoi, w oczach mord i żal. Jak możesz? – pyta jego spojrzenie. Jak możesz tak wobec mnie postępować?

Groziła, że pójdzie na policję.

Jack jest całkowicie pewien, że Evelyn nie pójdzie na policję.

Bo wciąż go kocha.

* * *

Jack osłuchuje serce i płuca Bei nowo kupionym stetoskopem, bo stary gdzieś się zapodział. Odgłosy są w porządku. Całkowicie prawidłowe. Arytmia może być spowodowana nerwami albo stresem, duszności tak samo, ale oczywiście następnym razem mogą wykonać EKG, a jeśli Bea

chce, na trudności z oddychaniem wypisze jej bricanyl. Czy ktoś z rodziny chorował na astmę? Choroby alergiczne? Bea kiwa głową, chociaż nie ma zielonego pojęcia.

Skarży się również na bóle brzucha, które jej zdaniem są skutkiem działań ubocznych cipramilu, i Jack każe się jej położyć na kozetce, żeby przeprowadzić badanie. Skoro jest zestresowana, mogą to być początki kataru żołądka.

Bea podciąga sweter, a Jack ostrożnie obmacuje brzuch opuszkami palców. Bea leży nieruchomo, przyglądając mu się. Jest taki przystojny, taki doskonały ze swoimi ciemnymi krótkimi włosami, wysportowaną sylwetką, wystającymi kośćmi policzkowymi i niebieskimi oczami, które lustrują jej brzuch z idealną precyzją.

Nieznaczny obrzęk. Może jakieś zaparcie. Ma gazy? Tak. Niestety. Co za wstyd. Jack wypisuje receptę na inolaxol i minifom.

– Proszę pić dużo wody. Unikać nadmiaru kawy, ostrych przypraw, owoców cytrusowych i napojów gazowanych.

Ich spojrzenia spotykają się. Jest tam chyba iskierka czegoś więcej niż tylko profesjonalizm?

On myśli: jutro ćwiczę biceps, triceps, brzuch i plecy.

– Ma pani jakieś pytania?

Tak. O ciebie. O nas.

– Nie. – Odsuwa grzywkę z czoła. – Dziękuję.

– Zobaczysz pani, że wkrótce poczuje się pani lepiej. Proszę się tylko postarać unikać stresu.

Wygląda na taką nieszczęśliwą. Mała kawka na jego kozetce. Doktorantka literaturoznawstwa czy co tam powiedziała. Może zresztą jest już po obronie, doktor podobnie jak on, tylko innej kategorii. Wprawdzie niezbyt go to obchodzi, ale mimo wszystko trochę mu jej żal. Tyle rzeczy jej dolega. Nerwy zszargane, organizm szwankuje.

– Proszę dzwonić, gdyby coś się działo. – Wręcza jej wypisane recepty.

Wymieniają uścisk dłoni. Jego ręka jest ciepła i sucha, jej chłodna i sucha. Bea się uśmiecha. Jack nic nie rozumie, niczego nie widzi, myśli już o następnym pacjencie i o tym, co napisze w dzisiejszym liście do Evelyn.

Bea opuszcza gabinet, schodzi pośpiesznie po schodach, otwiera wytrychem drzwi do piwnicy, zapala światło, otwiera plecak, wyciąga ubranie i przeobraża się w młodą damę w kostiumie, o innym kolorze włosów, w perłowych kolczykach, okularach, cieniutkich rękawiczkach, z perfekcyjnym makijażem i przyklejonym pieprzykiem nad lewym kącikiem ust.

Zupełnie jak Cindy Crawford.

Wyciąga z plecaka torebkę, plecak zwija w mały tłumoczek, który chowa do reklamówki, reklamówkę wkłada do torebki i wychodzi na ulicę, ale nie kieruje się z powrotem na Vasterlanggatan, tylko na Stora Nygatan i piechotą idzie na Norrmalm do mieszczącego się tam oddziału Handelsbanken.

– Chciałabym zrealizować czek.

Trzydzieści tysięcy. Kwota w sam raz. Nie uderzająco wysoka – mogłaby niepotrzebnie

wzbudzić czujność pracowników banku – ale również nie na tyle niska, żeby Bea miała poczucie, że pracuje za pół darmo.

Powściągliwy uśmiech. Pewne spojrzenie. David jest jej przyjacielem. Poratował pożyczką. Dowód? Oczywiście.

Sara Karlsson, ur. 18. 04. 1972 r. , starannie umalowana blondynka z, właśnie, pieprzykiem, w okularach. Dowód wykonała sama, podobnie jak wszystkie inne fałszywe dokumenty, którymi posługiwała się z biegiem lat.

– W jakich banknotach chce pani pieniądze?

– Poproszę po tysiąc koron.

Niedługo potem znajduje się w innym banku i przeprowadza taką samą operację, po czym idzie do trzeciego banku i kończy dzień pracy.

Nigdy się nie boi, że zostanie złapana. Może to właśnie dlatego dotąd jej się udawało. Strach wywołuje wibracje, które wywołują podejrzenia.

Dziewięćdziesiąt tysięcy. Przyzwoita dniówka.

Zamyka się w publicznej toalecie, przebiera się, zmywa makijaż i wychodzi na ulicę jako Bea.

Wykupuje w aptece lekarstwa, potem wraca metrem do domu. Siedząc z plecakiem na kolanach, przesuwa palcami po kasecie schowanej w zewnętrznej kieszonce.

Mans Andren, I do not know widnieje na okładce, która przedstawia również jego czarno-białe zdjęcie, jak siedzi na pomazanej ławce z gitarą na kolanach i patrzy w bok w obiektyw.

Czego on nie wie?

* * *

Mans prostuje plecy i rozmasowuje palce, zbiera swoje rzeczy, ciesząc się z dużej liczby sprzedanych kaset i rekordowej sumy pieniędzy, jaką zebrał w ciągu dnia.

389 szwedzkich koron, 27 euro, 39 dolarów, 22 japońskie jeny oraz drobne monety z różnych krajów, wywołujące westchnienia pracowników Foreksu, kiedy przychodzi je wymieniać.

Ostatnie spojrzenie na uliczkę, ale ona się nie pokazuje. Ciekawe, czy tam mieszka, a może mieszkają tam jej znajomi, albo pracuje gdzieś w pobliżu i wykorzystuje uliczkę do przejścia na skróty?

Ma nadzieję, że znowu ją zobaczy, nie tylko dlatego, że uważają za ładną, ale domyśla się też, że jest do niego podobna.

Samotna.

Z wyboru czy nie, nie ma to znaczenia, samotność odciska piętno w człowieku, właściwie niewidoczne ślady, jeśli nie wiadomo, czego szukać.

On wie, czego szukać, wie, jak rozpoznać sobie podobnych, swoich pobratymców.

Tych skulonych, którzy przepraszają za siebie spłoszonymi spojrzeniami i spiętymi ramionami, którzy cały czas są gotowi cofnąć się i powiedzieć: przepraszam, że istnieję.

Albo tych głośnych, którzy dowcipkują i robią wszystko, żeby się dopasować, ale desperacja przebija i nie zostają zaproszeni do stołu.

Niektórzy ciągle walczą, zamieszczają ogłoszenia towarzyskie, uczęszczają na wieczorne kursy, czatują w sieci, wychodzą do ludzi, decydują się nawet na mordercze wyprawy po lokalach, ale trafiają zawsze do tej samej przegródki, co wcześniej: samotni przed telewizorem w każdy piątkowy i sobotni wieczór, oddechy odbijają się echem.

Inni po prostu się poddają, uznają, że samotny znaczy silny, że lepiej zaakceptować sytuację, wywracają duszę na nice i nie chcą się przyznać, że życie przecieka im przez palce, kiedy siedzą samotnie przed telewizorem i udają, że jest całkiem nieźle.

Jeszcze inni odbierają sobie życie, on sam rozważał ten krok, ale się na to nie zdobył.

Ta, co zniknęła w uliczce, należy najprawdopodobniej do tych, którzy się poddali, choć nie jest całkowicie pewien, mimo wszystko szła różnym krokiem, z wysoko podniesioną głową, co wskazuje na jakąś nadzieję.

Zaczyna iść w stronę metra i właśnie w tej chwili, zanim stawy się rozgrzeją, pojawia się ból w biodrach, kolanach i stopach.

Urodził się z dwiema wykrzywionymi na zewnątrz goleniami i stopami, które chciałyby wykrzywić się w przeciwną stronę. W budzie przeżywano go downem, dopóki pod koniec podstawówki nie został basistą w zespole rockowym Johnny'ego Waitsa, nauczyciela muzyki, który po dwudziestu latach w Szwecji uparł się, żeby zawodzić po amerykańsku, prawdopodobnie czuł się w ten sposób *cool*, a może wynikało to z nostalgii.

Muzyka stała się pancierzem Mansa, tony i dźwięki chroniły go przed docinkami, dzięki nim zdobywał szacunek. Ale nie dziewczyny. Ma trzydzieści cztery lata i nadal jest prawiczkim.

Pracuje na pół etatu jako nauczyciel muzyki w gimnazjum. Latem dorabia sobie jako uliczny grajek, żeby zaoszczędzić pieniądze na własny sprzęt nagraniowy.

Marzy o tym, żeby przebić się jako *singer-song – writer*, wydać płytę i odbyć tournee.

Wysłał masę płyt demo do dużych wytwórni, ale odpowiedzi zawsze brzmiały: *Dziękujemy za okazane zainteresowanie, jednak obecnie nie mamy możliwości wykorzystania Pana materiałów.*

Z jednym wyjątkiem, kiedy zadzwonili i powiedzieli:

– Podoba nam się to, proszę przyjść na rozmowę.

Co oczywiście uczynił.

Zmieszali się.

– Szczerze powiedziawszy, chcemy wypuścić pana materiał, ale absolutnie nie może pan sam go wykonywać, w branży jest ostra konkurencja, nie wystarczą dobre piosenki i dobry głos, musi być komplet, rozumie pan?

Rozumie. Że trzeba być przystojnym. Doskonałym. Ekierki zamiast nóg nie są mile

widziane.

Wstał i wyszedł, nie powiedział nawet „do widzenia”, później miał ochotę odpiłować sobie nogi.

– Stureby.

Kontroler w okienku przystawia stempel, rozwlekłe mówi „proszę”. To młody chłopak, zapewne student, który dorabia sobie do stypendium z Centralnej Komisji Stypendialnej.

Mansowi brakuje tej pani, która nieodmiennie robiła na szydełku jakąś serwetę. Białą, zawsze białą, jak jej włosy. Z jakiegoś powodu zatrzymywał się milisekundę dłużej przed budką, zwlekał i przyglądał się liniom jej twarzy, zwinnym palcom trzymającym szydełko, łokciem opartym na blacie, spojrzeniu, które czasami się unosiło i napotykało jego.

Niektórzy ludzie w niego zapadają, tak po prostu jest.

Nadjeżdża pociąg, Mans wsiada. Zielona Linia, dojazd do Stureby zajmuje piętnaście minut. Mans mieszka tam na imigranckim osiedlu, z czego jest całkiem zadowolony. Lubi intensywne, egzotyczne zapachy z cudzoziemskich kuchni, mieszające się liczne języki i różnorodność losów zebranych choćby tylko na jego klatce schodowej. Wielu ma urazy wyniesione z wojen i tortur, niektórzy kuleją jak on, inni w ogóle nie mają nóg.

Kiedy widzi tych beznogich, próbuje być wdzięczny, że przynajmniej może chodzić, ale nigdy mu się to nie udaje.

Próbował nawiązywać znajomości z sąsiadami, ale w większości są nieśmiali, trzymają się w swoich grupach. Jednak czasami rozgrywa partię szachów z przygarbionym Hanahem z Afganistanu, który kiedyś grał w orkiestrze symfonicznej i kocha Schuberta, Beethovena i Straussa. Przy szachach nastawiają zwykle jakąś płytę. Niestety, coraz rzadziej zasiadają do szachownicy, Hanah nie wstaje z łóżka z powodu bólu pleców, nachodzą go wspomnienia, chce być sam ze swoją czernią i wścieka się, kiedy ktoś się do niego zbliża.

Mans zajmuje miejsce, opiera gitarę o siedzenie obok i czas podróży spędza na obserwowaniu ludzi, wszędzie widząc smutek,

Młoda kobieta, wygląda na Tajkę, z trójką małych dzieci, które się na niej uwiesiły i wrzeszczą, spojrzenie wąskich oczu ciężkie i puste – może podpisała umowę kupna-sprzedaży z nalanym 55-latkim, który każdego dnia wymusza na niej seks, aż jest cała obolała, wyzywa ją od dziwek i krzyczy, kiedy posoliła za dużo albo za mało, kiedy mówi za dużo albo za mało, żąda, by szła za nim dwa kroki z tyłu, urodziła jeszcze jedno dziecko.

Chłopak z ryczącym rockiem wokół czaszki i zatroskaną zmarszczką na czole, nie wie, kim jest, kim chce zostać, wie tylko, że nie chce być jak jego ojciec, którego pewnego dnia, Bóg mu świadkiem, zamorduje.

Mężczyzna w średnim wieku, o niezdrowej cerze, w obwisłym garniturze, drapie się co chwila po ręce, próbuje robić to dyskretnie, ale dziewczyna obok spogląda oskarżycielsko na wężową skórkę, jakby to była jego wina.

Kobieta koło sześćdziesiątki, przy kości, w szerokich spodniach koloru khaki i ciemnoniebieskiej bluzce, z bólem w barkach, karku, krzyżu, widzi swoje odbicie w szybie, zdumienie – czy to naprawdę ona, babcia trzymająca kurczowo torebkę, postrzegana przez innych jako dość pospolita postać, zapomniana w następnej sekundzie?

Nastolatka ukrywająca rany na przegubach za buńczuczną postawą, zagłuszająca głód gumą do żucia i colą light, dziewczyna, która wie wszystko o seksie oralnym, analnym, grupowym, nic o czułości, wymiotuje każdej nocy.

jest tak, jakby mógł w nich wejrzeć, przeczytać ich myśli, czasami rzeczywiście zastanawia się, czy nie ma daru jasnowidztwa.

Piętnaście minut minęło, wychodzi na peron, po schodach na dół, na ulicę i dalej w stronę domu.

Mija mężczyznę, który całymi dniami karmi gołębie. Ptaki są tak tłuste, że ledwo mogą latać, ale mężczyzna nie ma nic innego do roboty, z niechęcią myśli o powrocie do domu, przeciąga karmienie jak najdłużej, czasami zostaje mimo ciemności nocy.

Mija ponadsiemdziesięcioletnią staruszkę, która swoje ostatnie lata poświęca oczyszczaniu gruntu. Zbiera patyki, gałęzie, śmieci, poprawia nawet żdźbła trawy i kwiaty. Czasami dzieci rzucają jej śmieci pod nogi, żeby zobaczyć, jak je zbiera. Zawsze zbiera. Nie odzywa się do nikogo, możliwe, że rozmawia tylko z robaczkami na ziemi. Nikt nie wie, jak ona się nazywa, sama chyba tego nie pamięta.

Mija park zabaw, słyszy śmiechy, wycie i odgłos małych biegnących stóp, ale widzi tylko matkę z nieprzemijającą depresją okołoporodową, widzi, jak spowijają ciężka szara mgła, sprawiając, że kobieta jest ocieźżała i zmęczona, nienawidzi mężczyzny, który wpędził ją w ciążę, i dziecka, które z niej wyszło, ale zachowuje pozory, oczekuje się przecież od niej, że będzie szczęśliwa.

W domu gotuje sobie ryż, dodaje tuńczyka z puszki, siada na kanapie przed telewizorem, je, przerzucając kanały i słuchając echa każdego oddechu.

Parszywa nora, parszywy gość, całkowicie pozbawiony skrupułów, nie zawahałby się sprzedać nerek swojej matki, gdyby dostał odpowiednią cenę. Mimo to Bea nie żywi do niego pogardy, są tego samego pokroju, nie jest ani odrobinę lepsza od niego.

– Ładny zegarek.

Obraca roleksa na wszystkie strony, ogląda, wacha, gryzie, a w końcu sprawdza pod lupą. Twarz zmarszczona, usta wydęte, chrząka zadowolony i przechodzi do złota i laptopa, świerszczyki dostanie jako bonus.

– Zdolna dziewczynka – zwraca się do niej mniej więcej jak do psa, ale dopóki płaci, ile to jest warte, Bea nie zamierza się odgryzać.

On odchyła się na fotelu, kładzie nogi na stole, zakłada ręce za głowę i spogląda na sufit, gdzie wisi białozółta zakurzona kula pełna martwych much.

– No? – pyta Bea, spoglądając na owalne plamy potu pod jego pachami.

Jest niski i przysadzisty, z tatuażami przechodzącymi jeden w drugi, spędził o parę lat za dużo w solarium i nie wygląda na całkiem normalnego w tym żółtawym irokezie, który nie zdołał zamaskować zaczynającej się łysiny. Twarz ma ponurą, kanciastą, wątpliwe, by zdobywał kobiety wyglądem, raczej stanem konta.

Według tabliczki na drzwiach nazywa się T. Broo, ale nie pytała, co owo „T” oznacza, poza tym jest całkowicie pewna, że naprawdę nazywa się inaczej i mieszka znacznie bardziej luksusowo, w wytworniejszej dzielnicy.

Ile może mieć lat – czterdzieści, czterdzieści pięć? Żadnej obrączki, ale o niczym to nie świadczy. Łupież na ramionach, Bea wzdryga się. Obcisły czarny T-shirt nielicujący z jego wiekiem, czarne workowate spodnie od garnituru, niebieskie skarpetki i brązowe skórzane sandały.

Potpourri złego gustu.

– Siedem.

Wyciąga górną szufladę.

– Ani öre więcej.

Mniej więcej tyle się spodziewała. Kiwa głową i bierze banknoty, nie liczy ich, wie, że dopóki jest lojalna, nie oszuka jej. Złodziej i paser są od siebie zależni, gdyby próbowali sobie zaszkodzić, mogą oczekiwać jedynie strat. Poza tym znają numery swoich kont w tym zagranicznym banku z siedzibą w Indiach Zachodnich, gdzie T. Broo ma kontakt „open for suggestions”, a ta wiedza byłaby gratką dla sekcji zwalczania przestępczości gospodarczej. Nie znają wprawdzie swoich prawdziwych nazwisk ani adresów (ona na przykład mieszka w skrytce pocztowej należącej do firmy informatycznej, która dawno temu splajtowała), ale mogliby je oczywiście ustalić, gdyby chcieli.

– Miewasz wyrzuty sumienia? – pyta Bea, wstając.

Patrzy na nią zdziwiony.

– Nie.

– Dlaczego nie?

Wzrusza ramionami, nie ma dobrej odpowiedzi, nawet nie zastanawiał się nad tą kwestią, chyba jest po prostu taki gruboskórny z natury.

– A ty?

Bea potakuje głową, nagle posmutniała.

– Kiedy spostrzegam, że okradłam kogoś, komu już wszystko zabrano.

– Przecież wtedy nie ma już co ukraść.

– Nie mam na myśli materialnych rzeczy.

T. Broo unosi brwi, nie rozumie, o czym ona mówi.

– Nieważne.

On nie jest odpowiednią osobą do takich rozmów.

Z jakiegoś powodu zaczęła odczuwać potrzebę, żeby z kimś o tym porozmawiać.

Mogłaby się wypowiedzieć, ale nie wierzy, że ksiądz będzie trzymał gębę na kłódkę, to samo dotyczy psychologów. Myślała o tym, żeby sprawić sobie kota, który pełniłby rolę terapeuty, ale nie jest pewna, czy chce mieć stałego współlokatora.

– Pójdę już.

Może powinna się wycofać?

– Miło robić z tobą interesy – żegna ją.

I co w zamian? Pójść w tym wieku na studia i po czterdzieście bronić się z jakiegoś bezsensownego tematu?

– Nawzajem.

Podają sobie ręce.

– Do zobaczenia, Gabriella.

Uśmiecha się rozbawiony.

Tak jej się po prostu powiedziało, Gabriella, kiedy spotkali się pierwszy raz przy filiżance herbaty, żeby zdecydować, czy mogą sobie ufać, czy nie. Nawet nie zna nikogo o takim imieniu, zrymowało się jej tylko z salmonellą, kiedy rozmowa przeszła od Smaków Herbat i Kawiarnianej Atmosfery do Ewentualnej Współpracy.

Dostała jeden z jego licznych numerów komórek pod mostem Centralnym od ćpuna na głodzie, drobnego kryminalisty, rozpaczliwie potrzebującego pieniędzy na działkę. Zadzwoniła z budki telefonicznej i usłyszała w odpowiedzi sygnał. Podała numer do budki, oddzwonił natychmiast. Uzgodnili czas i miejsce. Poszła tam i musiała odczekać godzinę, zanim się pojawił. Oboje byli w dyskretnym, ale jednak maskującym przebraniu.

W kawiarnianej toalecie pokazała mu próbki fantów. Powiedział, że zna osoby, które mogą się dowiedzieć, kim ona jest i kim są jej bliscy, w domyśle, jeśli jest glina, mocno tego pożałuje. Dał jej adres, pod który mogła się stawić, jeśli będzie miała więcej towaru. Przyszła tam, czekała na niego kilka godzin i dobili pierwszego interesu. Następnie dostała nowy adres i sytuacja się powtórzyła. Dopiero za piątym razem mogła przyjść do nory w Sumpan.

Współpracowali od pięciu, sześciu lat, wcześniej sprzedawała fanty niepewnym gościom w opuszczonych halach przemysłowych śmierdzących haszyszem i innym gównem. Znajdowała ich pocztą pantoflową, ograniczała się do dwóch, trzech transakcji i szukała następnego, ciągle w przebraniu, ciągle w strachu.

Oczywiście współpraca z T. Broo też nie daje gwarancji bezpieczeństwa, ale Bea, rozważywszy wszystkie plusy i minusy, doszła do wniosku, że to najlepsze rozwiązanie.

Jeśli kiedyś wpadnie, dostanie najwyżej dwa lata, więcej nie zdołają jej udowodnić. Poświęci ten czas na doskonalenie swoich umiejętności, wiedząc, że pieniądze na zagranicznych kontach procentują, a wartość mieszkania rośnie.

Wychodzi na ulicę, odwraca się i spogląda w górę. Tak. Siedzi ją z za żaluzji. Macha mu ręką. Rozstępnika. Trudno go zrozumieć.

Rusza na piechotę w stronę centrum, jest sobota i Bea chce kupić kilka rzeczy przed drugą w tym dniu wizytą.

* * *

Wysiada z kolejki podmiejskiej w Alvsjo i pokonuje ponadpółkilometrowy odcinek ze stacji do domu.

Droga tęsknoty i lęku.

Kocha swojego tatę nade wszystko, ale spotkanie zawsze sprawia tyle bólu.

Kasper przemierza trawnik tam i z powrotem, z rękami na plecach i wzrokiem krążącym niespokojnie między zegarkiem a furtką.

Czekał na nią, odkąd zadzwoniła wczoraj późnym wieczorem, że chce przyjść. Nie wypił ani kropli przez cały dzień, za to posprzątał dom i kupił trochę smakołyków. Nie wypada przecież częstować konserwami, którymi normalnie się żywi.

Pomyślał, że pokaże jej cadillaca, którego kupił w zeszłym tygodniu; za siedemdziesiąt dziewięć tysięcy, ale kiedy go odszykuje, będzie wart co najmniej dwa razy tyle. Może będzie chciała zajrzeć pod maskę, nadal musi się wiele nauczyć. Jako dziecko zawsze była strasznie ciekawska. Chciała wiedzieć, dlaczego świece są tam, gdzie są, dlaczego nie dało się jeździć na wodzie albo powietrzu zamiast na benzynie, dlaczego ten, co skonstruował pierwszy samochód, skonstruował właśnie pierwszy samochód, a nie coś innego.

Idzie tam.

Zawsze go dziwi, że jest taka mała, wydaje mu się, że powinna być większa, zajmuje przecież tak dużą część jego myśli.

Dźwiga pełno reklamówek, ciągle daje mu prezenty, on wie, że to z miłości, ale też z poczucia winy. Rozmowy telefoniczne są sporadyczne, odwiedza go rzadko, najwyżej raz na kwartał, mimo że ma tylko nieco ponad pół godziny kolejką. Poza tym trzyma gdzieś zaparkowany samochód, ale z tego, co Kasper wie, nigdy go nie używa.

Ze dwa razy do roku to on przemierza tę drogę, zaproszony na obiad do jej samotnej jadalni, ale czuje się jak intruz, ma wrażenie, że Bea niechętnie gości go w swoim domu, że chce być sama w swoim wysokościowym obozie.

Wie, oczywiście, czym Bea się zajmuje i skąd ją było stać na to mieszkanie. Kiedy miała piętnaście lat, znalazł w jej szafie karton po butach wypełniony po brzegi banknotami i odtąd wie, co ona robi i dlaczego. Siedział na brzegu jej łóżka i płakał, potem się upił i zdecydował, że nie wie tego, co wie.

On udaje, że ona nie jest złodziejką, ona udaje, że on nie jest alkoholikiem, taką mają cichą umowę.

Obejmują się. Bea niemal tonie w jego ramionach. Tata ma prawie dwa metry wzrostu, jest

wielki jak beczka, brzuch ma okrągły i wystający, o tak, mieści się w nim kula. Blond włosy, swego czasu gęste, są teraz siwe, przerzedzone. Twarz ma pucołowatą z pełnymi policzkami, ale uszy są spiczaste, podobnie jak nos. Odziedziczyła po nim ciemne spojrzenie i pionową zmarszczkę pośrodku czoła.

Miała ją już jako dziecko. Czasami tata kuczał przy niej i wygładzał zmarszczkę kciukiem. Śmiała się wtedy i wspinała na jego barki. Niosąc ją na barana, biegał po ogrodzie, a ona zagrzebywała piąstki w jego włosach i wołała: hopla, tato, hopla!

Podskakiwał, ona zanosila się śmiechem i w tej chwili byli jakby jednym ciałem, stanowiła tylko ozdobny odrost wychodzący w górę z jego ramion.

– Jesteś głodna?

Ma zapisaną w genach chęć nakarmienia swojego maleństwa.

– Tak sobie.

Wchodzą do środka. Bea zwiedza dom, a Kasper staje przy kuchni. Kroi połówkę wołową na grube plastry, smaży je na patelni, soli i pieprzy, przyrządza sos z proszku, gotuje ziemniaki i groszek.

Pracuje wolno i nieskładnie, nie nawykł do kucharzenia, ziemniaki się rozgotowały, groszek jest za twardy, mięso smaży się zbyt długo i robi się łykowate.

Kapka wina do sosu, potem chowa butelkę, wychodzi na taras i nakrywa do stołu, ozdobna porcelana, nawet złożone serwetki – zamiera.

Córka jest u niego z wizytą, a on za nią tęskni.

W przestronnej sypialni poduszka i kołdra mamy wciąż leżą po lewej stronie łóżka.

W gabinecie mamy nic nie zostało ruszone od dnia jej śmierci. Tata nie opróżnił nawet kosza na papiery.

W pokoju taty pełno zdjęć Szczęśliwej Rodziny. Bea omija je wzrokiem, poświęca za to chwilę na szukanie butelek i znajduje dwie, trzy sztuki.

Mogłaby celnikom zastąpić psa.

Wynosi butelki do łazienki i wylewa zawartość do umywalki, potem otwiera szafkę i stwierdza, że strona mamy jest nieruszona – buteleczki perfum, toniki, szczotka, szpilki do włosów, szminka i dwudziestoletnie tampony.

Niczego nie dotyka, opuszcza łazienkę i schodzi na dół do swojego dawnego pokoju. Tam siedzi przez chwilę, tęskniąc za tatą.

* * *

Po obiedzie piją kawę, zagryzają czekoladą i wypalają po cygarze marki Havana, które przyniosła Bea. Z salonu dochodzą popowe przeboje Beatlesów, czyli to, czego Kasper obecnie słucha, okna są otwarte na oścież, muzyka głośna, odrobina wina deserowego byłaby jak znalazł.

– Chcesz jeszcze kawy?

Bea potrząsa głową, domyśla się jego planu.

– Nastawię mimo to. – Wychodzi do kuchni, gdzie wypija łyk Graham's Port, nastawia kawę, a jednocześnie rozpuszcza łyżeczkę proszku do pieczenia w szklance wody i wypłukuje usta, to niemal całkowicie usuwa zapach alkoholu – sztuczka, której nauczył się od innego pijaka. Przystawał z nim jakiś czas, zanim uznał, że trzymanie się właśnie z pijakami jest poniżej jego godności.

Wraca na taras, nalewa kawę do obu filiżanek, chociaż Bea nie chciała, i popija czarny gorący napój, nie patrząc na nią – wie, że ona wie.

Biały pył od proszku do pieczenia na rękawie koszuli, został zdemaskowany, Bea zna jego sztuczki.

Przez chwilę rozmawiają o błahostkach, pojawiła się między nimi mina, gotowa wybuchnąć, ale żadne z nich jej nie rusza.

Ty cholerny pijaczyno, powinieneś zapisać się do AA, powinieneś dać się zamknąć w klinice odwykowej.

To przecież nie moja wina, że Ebba umarła, że nie dałem rady.

Sza.

Sza.

– Przeczytałaś ostatnio coś ciekawego?

Bea referuje najnowszych filozofów, przez których przebrnęła, a Kasper udaje, że rozumie, o czym ona mówi.

Oficjalnie przyjęli wersję, że Bea prowadzi badania, ale ponieważ są to trudne naukowe rzeczy, on nie do końca się w nich orientuje. Jeśli ktoś go pyta, udziela takiej właśnie odpowiedzi. Jeśli ktoś pyta, odpowiada tak samo. Nikt przecież nie będzie sprawdzał, dzwonił na uniwersytet i prosił o potwierdzenie. Podoba się jej na uczelni? O tak. Prowadzi również zajęcia? Sporadycznie. Musi pan być z niej dumny. Oczywiście. Domyślałam się, że był pan obecny na obronie? Tak, denerwowałam się chyba bardziej niż ona.

– Muszę ci coś pokazać!

Nagle ogarnia go zapach, mina usuwa się spomiędzy nich, tata bierze ją nawet za rękę.

Pozwala mu na to. Jego dłoń nadal wydaje się taka duża jak w czasach jej dzieciństwa.

– Kupiłem go w zeszłym tygodniu.

Obchodzą stojącego przed garażem cadillaca. Turkusowy z czerwonymi skórzanymi siedzeniami, chromowane błotniki, cacka na wyposażeniu i przeszłość jako wóz na podryw z licznymi miłosnymi chwilami na tylnym siedzeniu.

– Silnik ledwo dycha, chłodnica przecieka, a podwozie rdzewieje, ale jak dostanę kilka tygodni, będzie mruczał jak kot.

Wsiada do samochodu, odchyła się, jedna ręka zwiesza się na zewnątrz, druga na oparciu siedzenia obok. Palce bębnią o blachę, odwraca twarz do słońca, czuje się wolny.

Bea przygląda mu się z uśmiechem. Tata przecież nadal żyje. Zdarza się jej o tym zapomnieć. Że on wciąż gdzieś tam jest pod skorupą alkoholika.

– Przejedziemy się?

Patrzy na nią, jego oczy nagle nabrały jasności.

– Nie zepsuje się?

– Tylko po dzielnicy.

– Możesz odwieźć mnie na stację.

Palce przestają bębnić.

– Już?

Zawiedziony głos. Ale zrobiło się piętnaście po szóstej, była tutaj cztery godziny, aż nadto.

– Mam trochę roboty.

Chwila milczenia.

– To przynieś swoje rzeczy.

Bea wraca do domu, zabiera kurtkę i plecak, nienawidzi samej siebie, chce zostać tutaj na zawsze, nigdy więcej nie chce tu przyjeżdżać.

Jadą na stację. Tata głaszcząc ją chybikiem po policzku. Kiedy znika z pola widzenia, Bea załamuje się.

Wspaniała żona, czworo dzieci, pięcioro wnuków i szóste czekające na spotkanie ze światem. Viktor dłubie w jedzeniu, irytuje się hałasem i czuje się niewdzięcznikiem.

Mirja i Rosa przez cały dzień krzątały się przy kuchni i szykowały przyjęcie, wszystko dla niego. A on nawet nie chce spróbować deseru, choć normalnie ma słabość do słodczy. Gorąco jest niemal nie do wytrzymania i wszyscy się pocą, mimo że okna są otwarte na oścież, trzeba naprawić wentylator, ale on nie ma siły, a nikt inny się nie zaoferował.

Najmłodsza wnuczka, dwuletnia dziewczynka, biega dookoła z umorusaną buzią, wszystko obmacując i liżąc, Viktora ogarnia wstęt, chciałby, żeby dzieciak się wyniósł.

Najstarszy syn jest opętany myślą o zostaniu idealnym ojcem i ani przez chwilę nie jest w stanie podtrzymać dorosłej konwersacji, ciągle przerywa sobie w pół zdania, kiedy tylko zapiszczy któreś z trójki jego nadaktywnych dzieci.

Najstarsza córka za dużo je i pije, groteskowo utyla i tłumaczy się ciężami oraz złą przemianą materii, ale każdy najmniejszy gram jest wynikiem jej tłuszczowo – cukrowej diety. Zarówno ona, jak i Rosa (której ciągle pęczniejące ciało ubóstwia) powinny przejść kurację odchudzającą, i to drastyczną.

Syn numer dwa zachowuje się jak nastolatek, chociaż ma dwadzieścia siedem lat. Ciągle chce podgłaśniać stereo, pokazuje świeży tatuaż i przechwala się, ile piw może wypić, zanim zwali się na podłogę. Oczekuje swojego pierwszego dziecka ze swoją narzeczoną, słodką idiotką, która uważa się za artystkę, ale tak naprawdę jest żalosna. Nie ma wątpliwości, że jest za wcześnie. Za wcześnie na dziecko.

Nawet Mirja irytuje tego wieczoru Viktora. Śmieje się przesadnie często, rozpieszcza siostrzeńców i bratanków i udaje dorosłą, chociaż sama jeszcze jest dzieciuchem. Poza tym ubiera się zbyt wyzywająco, powinna zasłonić piersi, a nie pokazywać rowek.

Nie mówiąc o radości, śmiechach, chociaż wiedzą, mają świadomość. Nie oczekuje wcale, że będą płakać, ćwiczyć przed ceremonią pogrzebową, ale nieco mniejsza wesołość byłaby na miejscu.

Obojętnie transportuje kawałek ciasta z owocami do ust. Odnosi wrażenie, że ktoś stoi na dworze i do nich zagląda.

Dobrze im tak, że wentylator nie działa, że pocą się i śmierdzą szczęściem, myśli Bea patrząca przez zaparowaną szybę.

Zawiść wzbiera w niej czarnymi sokami, gdyby miała bombę, zapaliłaby ją i wrzuciła do środka.

Podnosi rękę, macha, zmusza się do uśmiechu.

Viktor macha w odpowiedzi, zmusza się do uśmiechu.

– Pójdę się położyć – mówi.

Jest dwadzieścia po siódmej, a on czuje się stary jak świat. Zaraz zaśnie jak małe dziecko.

Rosa odprowadza go do mieszkania, pyta, czy czegoś nie potrzebuje. Viktor warczy, że jest zmęczony i chce, żeby go zostawić w spokoju.

Rosa próbuje go pogłaskać, ale Viktor się odsuwa. Rosa gasi lampę i zamyka drzwi, myśląc, że jest po prostu zdenerwowany, niedługo będą go przecież ciąć.

Spojrzenie w lustro na korytarzu przed powrotem na imprezę. Czy przybrała na wadze? Ujmuje sadelko na boku, dostrzegając, że chyba przybyło kilka milimetrów, może pół centymetra. Wcale jej to nie dziwi. Jak tylko zbliża się niebezpieczeństwo, napycha usta i odurza się smakami.

Ale mama Moria mówiła, że kobieta powinna mieć dużo ciała, że to dobrze. Rosa przypomina sobie coraz częściej jej słowa.

Mama Moria, którą cellulitis zdołał od stóp do głów i która kołysała się, kiedy szła. Miała siedem zębów, zrogowaciała skórę na rękach i workowate piersi.

Włosy błyszcząły bielą. Zawsze chodziła na bosaka i pchły piaskowe budowały sobie gniazda między jej palcami, potrafiła spędzić cały dzień na ich iskaniu. Urodziła ośmioro dzieci, sześcioro żyje, Rosa jest jedynym, które nie mieszka w wielbłądziej wiosce.

Mama Moria już zmarła, została pochowana na pustyni, owinięta pledem z wielbłądziej sierści utkany przez Rosę.

Wojny domowe uniemożliwiły Rosie pokazanie dzieciom drugiej połówki ich drzewa genealogicznego. Teraz, kiedy się uspokoilo, tylko Mirja jest zainteresowana.

„Mamo, kiedy pojedziemy? – pyta czasami. – Tylko ty i ja, mamo, dobrze?”

Najmłodsze dziecko zawsze jest wyjątkowe, ostatni diament do noszenia, zanim wypadnie się z gry.

Nastrój jest wyraźnie gorszy, kiedy Rosa wraca do gości. Dwoje wnuków zanosi się płaczem, a dorośli szepczą zaniepokojeni o Viktora. Kiedy jednak ciężarna synowa wdrapuje się na stół i zaczyna taniec brzucha do dźwięków jakiegoś orientalnego popu, impreza rozkręca się na nowo.

Dwulatka szaleje i gra sztućcami jak na perkusji. Starsze dzieci wypinają brzuchy i porównują ich wielkość. Dorosłych coraz bardziej upaja wino, z wyjątkiem ciężarnej, którą upajają hormony.

Mirja, która nie zalicza się ani do dzieci, ani do dorosłych, dostała właśnie SMS-a. *Kino we wtorek? Kocham cię! Filip.*

Rosa siedzi milcząca w kącie i rozmyśla o wielbłądziej farmie swojego dziadka. Od czasu do czasu wymyka się do Viktora i nasłuchuje, jak śpi.

Ma takie uczucie, jakby Viktor miał się przeprowadzić na inny kontynent.

Bea nie wchodzi do domu. To znaczy, wchodzi do przedpokoju i stoi tam przez chwilę, plecak zsuwa się jej z ramion na podłogę. Wzrok przebiega przez amfiladę pokoi, rzadko wydawały się tak puste i opuszczone jak teraz.

Dziecko?

Malutkie, do noszenia w objęciach, do karmienia i lulania, do kochania nade wszystko. Widzieć, jak rośnie, małe nóżki potrafiące same chodzić, biegać po pokojach i wypełniać je sensem.

Zdarza się, że nachodzi ją takie marzenie, ale natychmiast je odsuwa, dziurawi ołowiem, nienawidzi go za to, że w ogóle się pojawiło.

Nigdy się nie spełni i dobrze, bo żadne dziecko nie zasłużyło sobie na matkę złodziejkę, na dodatek w depresji.

Aktywuje na nowo alarm, zamyka kratę i oba zamki w drzwiach, zbiega po schodach i wychodzi na ulicę.

Powietrze jest gorące i duszne, Bea tęskni do jesieni, wtedy ogarnia ją jakieś otrzeźwienie, jest bardziej ożywiona, a ta kleista błona na duszy robi się cieńsza.

Nadkłada drogi, żeby ominąć Szczęśliwe Rodzinne Przyjęcie, chroni się w metrze, w chłodzie podziemi, żeby chwilę później wysiąść na Södermalmie. Półbiegnie w stronę placu Nytorget, gdzie Jack mieszka przy Narkesgatan 8, trzecie piętro, trzypokojowe mieszkanie, 87 metrów – była w Departamencie Zabudowy Miasta i sprawdziła plany. Stosunkowo duża kuchnia, mała łazienka, dwa mniejsze pokoje i salon z wyjściem na sześciometrowy balkon od podwórza. Powinien mieć wieczorne słońce.

Bea kryje się w półmroku przez jakieś pół godziny, aż otwiera się brama, wypuszczając młodą parę. Bea wykorzystuje to i wślizguje się do środka (młodzi o nic nie pytają), wspina się na trzecie piętro i staje pod jego drzwiami.

Myśli, żeby zadzwonić, ale rezygnuje, bo co ma powiedzieć? Cześć, czy mogę wejść i się z tobą kochać?

I tak nie ma go w domu, siedzi w lokalu parę ulic dalej i popija piwem imbirowym małą białą tabletkę.

Po niej będzie w stanie tańczyć do białego rana.

Ciągnie od knajpy do knajpy, umawia się z dwoma kumplami i idą razem na dyskotekę. Nie pasują tam wiekowo, ale dopóki są przystojni, mają gadane i machają przy barze kartami kredytowymi, nikt ich nie wyrzuca, poza tym dziewczyny na nich lecą, dziewiętnastolatki, które starają się wyglądać na dwadzieścia parę lat, skuszone pieniędzmi i tak zwaną dojrzałością tych trzech facetów po trzydziestce.

Jack od razu podrywa dziewczynę, podobną do Evelyn – drobna, śliczna, o nastroszonej blond fryzurze i ciemnych oczach. Trzyma ją za rękę i karmi swoim urokiem, ona połyka z otwartą buzią, czuje się wybrana. On nie czuje nic, chce tylko doprowadzić sprawę do końca.

Co robi w pokoju hotelowym, z tych droższych, przez co jednak to wszystko nie staje się mniej tanie. Spazmatyczne rżnięcie, nawet nie sprawia mu przyjemności, ale w danej chwili znieczula.

Potem dziewczuszka chce poleżeć, przytulić się, mówić o uczuciach, poznać go lepiej. Jemu wydaje się odrażająca.

– Wynoś się, chcę zostać sam.

Patrzy na niego zdziwiona zamglonym sarnim spojrzeniem. On powtarza swoje słowa, teraz ostrzej, dziewczyna zbiera swoje rzeczy i ucieka. Jack zamyka drzwi na klucz i oddycha z ulgą.

Nie ma pojęcia, ile razy właśnie coś takiego zrobił – przygruchał sobie chętną samiczkę, a potem wywalil na zbity pysk – ale była to przynajmniej jedna dziewczyna tygodniowo, odkąd Evelyn odeszła, czyli minimum pięćdziesiąt, a pewnie ze dwadzieścia więcej. Nie pamięta większości z nich, ani z imienia, ani z wyglądu i nie poznałby w przypadku ponownego spotkania. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że żadna z nich nie wpakuje się któregoś pięknego dnia do jego gabinetu i nie oświadczy mu, że zostanie ojcem.

Nic by to oczywiście nie zmieniło. Jedyne dziecko, do którego coś by czuł, to dziecko, które miałby z Evelyn.

Długo bierze prysznic, potem wyciąga się na łóżku, wciąż nagi, zapala papierosa, przysuwa sobie telefon i dzwoni do Evelyn.

Odbiera mężczyzna.

– Zostaw moją dziewczynę w spokoju, inaczej powiadomimy policję.

Głos jest pełen pogardy.

– Ona jest moją dziewczyną – protestuje Jack i sam słyszy, jak żałośnie to brzmi.

– Zadzwoń na policję.

Bach.

Tej nocy śnią mu się koszmary i nie jest w tym odosobniony.

Palce ślizgają się po strunach, gitara rozstraja się niemal po każdej piosence, półtoralitrowa butelka wody mineralnej jest już pusta, a publiczność zalatuje potem.

Termometr koło budki z kebabem wskazuje 33, 7 stopnia, co oznacza zbliżanie się do rekordu gorąca. Ludzie głupieją, siedzą jak zombie w cieniu i tęsknią za deszczem i chłodem poprzedniego lata.

W końcu jeden z nich ma dosyć, dzwoni z komórki do Szwedzkiego Instytutu Meteorologii i Hydrologii i grozi śmiercią pierwszemu z brzegu meteorologowi.

– Miały być, do cholery, cumulusy, nie widzę żadnych cumulusów, przedwczoraj obiecywaliście deszcz, cholerne, niekompetentne pasożyty, uważaj, bo wiem, gdzie mieszkasz!

Jest środa, a fala upałów utrzymuje się od weekendu. Mans gra i czeka, ale ona się nie pojawia.

Śniło mu się, że jego nogi prostują się pod wpływem jej dotyku.

W dzisiejszej gazecie recenzowano płytę młodego przystojnego *singer-songwritera* ze stuprocentowo prostymi nogami. Kalectwo wewnętrzne media olewają. Popowi młodzieńcy, którzy zasypiają każdej nocy z płaczem, bo nie mają odwagi dorosnąć, którzy muszą pić, żeby utrzymywać kontakty z ludźmi, których ogarnia paniczny strach na samą myśl o wyjściu na scenę i dlatego muszą faszzerować się środkami uspokajającymi, a potem mocniejszymi rzeczami i lądują w narkotykowym bagnie, ćpają do złotego strzału i zostawiają po sobie stos platynowych płyt i gromadkę bękartów, których matki – groupies – zębami i pazurami będą walczyć o spadek, na czym w rezultacie zarabia tylko plotkarska prasa.

Wpuście mnie na ich miejsce, a zadziwię świat, myśli Mans i gra jeszcze trochę, zanim zrobi sobie przerwę, żeby napęłnić butelkę wodą i zajrzeć w uliczkę.

Wszystkie bramy są zamknięte, musi więc zadowolić się odczytaniem nazwisk przy domofonach. Okazuje się, że mieszczą się tam cztery małe firmy, jedna praktyka lekarska i dwa prywatne mieszkania.

Czy jej nazwisko to Jaeger albo Tibast? Może jest mężatką albo przynajmniej kogoś ma?

Czuje jednak, że tak nie jest. Coś w jej osobie świadczyło o tym, że ma tylko siebie, albo nawet i nie.

Zastanawia się, jak ona wygląda, kiedy śpi, co je na śniadanie, jak brzmi jej śmiech i czy wysłuchała jego kasety.

Pamięta swój jedyny pocałunek – szkolna dyskoteka, miał czternaście lat, siedział na ławce, opychał się popcornem i patrzył, jak inni tańczą, kiedy nagle się pojawiła i usiadła koło niego.

Była z innej szkoły i nie wiedziała o jego nogach. Piła nie tylko lemoniadę, co dało się zauważyć. Zapytała, dlaczego nie tańczy, odpowiedział, że po prostu nie ma ochoty.

– Przystojny jesteś – powiedziała i nagle poczuł jej usta, język, taki miękki, słodki i ciepły.

Zaśmiała się i uciekła. Widział ją wtedy pierwszy i ostatni raz.

Przez następny miesiąc chodził w przekonaniu, że jest taki sam jak wszyscy inni.

Świadeństwo w tamtym semestrze miał gorsze.

Opiera się o kamienną ścianę, rozkoszując się jej chłodem.

Trzy piętra nad jego głową Jack rozpuszcza w szklance wody tabletkę uzupełniającą niedobór płynów – w ten sposób nie będzie musiał dużo pić. Wentylator młóci, okno jest uchylone. Według kalendarza minęło 359 dni, odkąd ostatni raz kochali się z Evelyn. Pamięta, bo następnego ranka przyznał się do skoku w bok i Evelyn odeszła.

Wypija duszkiem musujący płyn, zanim tabletki rozpuściła się do końca, i patrzy na zegarek. Za piętnaście dwunasta, je lunch dopiero o pierwszej, kiedy skończy się największy ruch.

Podnosi słuchawkę, wstukuje kod uniemożliwiający identyfikację numeru i dzwoni do Evelyn do pracy, słyszy jej głos, ale się nie odzywa.

Dostaje gęśniej skórki od jej oddechów.

– Jack, to ty?

Odkłada słuchawkę, wstaje, podchodzi do okna i wpatruje się w kamienną ścianę po drugiej stronie uliczki, rozpina rozporek i onanizuje się na wspomnienie jej ciała.

Na wpół zduszone stęknienie i jest po wszystkim. Wyciera się serwetką, zapina rozporek i wychodzi do poczekalni, żeby po kolei wołać pacjentów, których ma przyjąć przed lunchem.

Helga Giertz, siedemdziesiąt cztery lata, nagniotki i kwaśne odbicia, słowotok, początki demencji, przychodzi średnio raz w tygodniu, zaczyna być to męczące, rozważa wysłanie jej do psychiatryka albo przepisanie jakichś tabletek, po których będzie tak zmęczona, że nie będzie miała siły tu się przywlec.

Agneta Boman, czterdzieści trzy lata, po operacji plastycznej, matka trojga dzieci, która cierpi na tajemnicze zmęczenie i domaga się niezliczonych skierowań do specjalistów w mieście.

Ake Andersson, pięćdziesiąt siedem lat, nieśmiało pokazuje swoją egzemę i pyta, czy byłaby możliwość dostania jakiejś maści, swędzi go w nocy. Oczywiście. Jack wypisuje receptę. Jak ze snem? Źle, mało śpi. Tabletki nasenne? Czy powodują skutki uboczne? Nie, tylko pozwalają zasnąć. To poproszę. Dziękuję, panie doktorze, jeszcze raz dziękuję. Niemal się kłania, chociaż mógłby być ojcem Jacka.

Czas na lunch, ale najpierw dzwoni do kwiaciarni i zamawia dwadzieścia pięć czerwonych róż, które mają przesłać Evelyn do pracy. Przed piątą, bo wtedy wychodzi. On chce pozostać anonimowy.

Opuszcza gabinet, wychodzi na Vasterlanggatan i mijają Mansa, który po puree z grillem wrócił do grania.

Jack nie lubi ulicznych grajków, narzucają się ze swoją muzyką i nie pomyślał, że może ludzie woleliby ciszę. Rzuca kwaśne spojrzenie Mansowi i szybkim krokiem zmierza do tego baru, co zwykle, gdzie z potraw dnia wybiera niskotłuszczową (gotowany dorsz, gotowane ziemniaki, gotowane warzywa, nachodzi go myśl, że mózg powinien robić się coraz bardziej papkowaty, im więcej człowiek spożywa gotowanych rzeczy), którą zjada bez większego apetytu, ale chce być w dobrej formie, na wypadek gdyby Evelyn zgodziła się na nowo dzielić z

nim łożę.

Potrafi odtworzyć każdy milimetr jej ciała. Puszek na karku, burzę włosów, piegi, znamię po wewnętrznej stronie prawego uda, bliznę po operacji stopy, suche łokcie, które zapomniała posmarować, łamliwe paznokcie, których nie potrafiła przestać obgryzać, gdzie miała łaskotki, a gdzie nie, jak pachniała i smakowała, jak strzelała palcami, chociaż prosił ją, żeby tego nie robiła, i jak grzebała nogami w piasku, aż zakopywała się po kostki.

– Chcesz zostać moją żoną? – zapytał, kiedy byli na Maderze, a ona właśnie kopła w piasku. Zaśmiała się i zarzuciła włosami.

– Jasne.

Postanowili, że będą mieć dwójkę dzieci i dom pod Sztokholmem. Zaczęli już wybierać imiona i okolicę.

Szczęście było tak naturalne i tak cholernie łatwo dało się je zniszczyć.

Zamawia podwójne espresso, miesza, wypija duszkiem, kładzie stówę na stole i wychodzi.

Mans czuje zapach smutku, kiedy Jack mija go przed wejściem w uliczkę, ale nie zdążył popatrzeć, od kogo pochodzi.

Gra jeszcze przez godzinę, monety brzęczą, czasami wpadnie jakiś banknot. Zastanawia się, co ona robi.

Kradnie portfele niespodziewającym się niczego złego młodym kobietom na shoppingowym tournée po butikach na piętrze galerii. Są tak zaabsorbowane zaopatrywaniem się w najnowsze trendy, że tej szarej myszki przemykającej za ich plecami w ogóle nie zauważają.

Bea schodzi na dół, zamyka się w toalecie i opróżnia portfele z gotówki. $328, 50 + 559 + 107 + 982, 50 + 54 + 170 = 2201$ koron. Nieźle jak na spontaniczną akcję, właściwie chciała tylko zrobić zakupy.

Wkłada portfele do czarnego woreczka, który wciska do kobiecego schowka. Dokładnie tak samo jak za pierwszym razem.

Czasami zastanawia się, co by się stało, gdyby nie wzięła portfelika Katii i gdyby otworzyła się przed tatą Katii, zamiast się przed nim zamknąć.

Czasami wyobraża sobie wiele Alternatywnych Losów, w których na ogół dzieli z kimś życie.

Nie zmienia to jednak faktu, że nadal jest zwykłą złodziejką, która ściąga rękawiczki, wpycha je do kieszeni kurtki, myje ręce i przemywa twarz zimną wodą.

Zwykłą i brzydką, z nieoczyszczoną skórą i podkrążonymi oczami, powinna pójść do kosmetyczki, mogłaby zapłacić z dzisiejszego zarobku.

Wychodzi z toalety i kieruje się do kwaciarni, skąd anonimowo wysyła kwiaty. Potem w sklepie ICA robi zakupy na obiad.

2 wegetariańskie szaszłyki sojowe.

4 łyżki ryżu długoziarnistego.

4 łyżki warzyw na parze.

– Coś jeszcze? – pyta sprzedawca za ladą i uśmiecha się rozbawiony, ponieważ ona zawsze zamawia dokładnie to samo.

Bea kręci głową i ma ochotę poprosić, by przestał szczerzyć zęby. Niechęć do zmian nie jest chyba, do ciężkiej cholery, przestępstwem?

Sprzedawca myśli: klientka lubi soję, producent będzie zadowolony, uśmiech nic mnie nie kosztuje, tak, co podać?

Bea idzie do kasy, płaci, a potem (jak zwykle) wychodzi przez garaż, sąsiadujący z galerią. Jest tam chłodno, pachnie piwnicą i benzyną, a z niewidocznego głośnika płyną dźwięki skrzypiec.

Nagle pewnego dnia po prostu popłynęła muzyka i Bea nabrała zwyczaju, że przystaje i słucha.

Trochę dziecinnie myśli, że gdzieś tam siedzi ukryty skrzypek i gra dla nielicznych przechodniów. Skrzypek, który godzinami nie ma słuchaczy, gra tylko dla nagich cementowych ścian.

Bea stoi nieruchomo, dotrzymując skrzypkowi towarzystwa. Bola ją plecy, jest zmęczona. W ostatnim czasie źle sypia, męczą ją koszmary. Kiedy się budzi, pamięta taki sen:

Jack otwiera drzwi i przyjmuje od niej kwiaty. Uśmiecha się i mówi, że czekał na nią. Czy wejdzie? Mogą się kochać, jeśli chce. Bea kiwa głową. Wtedy on wybucha szyderczym śmiechem i zatrzaskuje drzwi. Przez otwór na listy wypycha kwiaty, zgniecione, zgilotynowane. Bea podnosi je i trzyma w rękach, wie, że to mama.

Białe lilie, zasysają czarny dziegieć, zasypiają.

Już cztery noce, te koszmary.

Już cztery noce, pod drzwiami Jacka.

Musi z tym skończyć albo musi nastąpić jakiś przełom.

– Dlaczego „Na Marginesie”?

Sofia siedzi w kawiarnianej kuchni z rękami na blacie stołu. Mirja maluje jej paznokcie na czerwono, zagryzła dolną wargę i pracuje w skupieniu. Obie są ubrane lekko, Sofia może dojrzeć miękko zaokrąglone piersi Mirii przez materiał T-shirtu, sama ma sztuczny biust, wielkość 70C, kupiony wysyłkowo, podobnie jak wszystkie ubrania, kosmetyki i peruki.

– Tu się kończy centrum – wyjaśnia Mirja, nie podnosząc wzroku. – Po drugiej stronie kanału zaczyna się Solna.

– Czyli zamek należy do Solnej?

– Tak.

Mirja żuje gumę o smaku truskawkowym, swoją ulubioną, włosy ma upięte w koński ogon, ale kilka kosmyków wysknęło się spod gumki, Sofia chciałaby ich dotknąć i puszczać bańki o smaku Mirii.

– Poborowi też? – pyta Sofia, obserwując, jak usta Mirii wydmuchują balon, który pęka, robiąc „puff”.

Mirja chichocze, myśląc o młodych mężczyznach, którzy jesienią ćwiczą biegi i gwizdzą, gdy ona stoi przed kawiarnią.

– Czy ktoś może należeć do czegoś? – zastanawia się i puszcza paznokieć małego palca prawej ręki.

– Grupa chyba tak – mówi Sofia. – Do rodziny. Do ojczyzny.

Markotnieje, myśli o nieudanej weekendowej próbie, żeby znaleźć się w grupie Sztokholmskich Homo & Transów.

Odszukała nocny klub na Söder, do którego jawnych hetero nie wpuszczano, do Sofii stojąca na bramce lesba w skórzanej kurtce i czarnych krótkich włosach pomachała, żeby wchodziła, obdarzyła ją uśmiechem i przybiła stempel.

– Pierwszy raz tutaj, co? – Lesba popatrzyła na nią z ciekawością. – Zapraszamy. Tam jest bar. Tam damska toaleta. Daj znać, jak zobaczysz jakiegoś podejrzanego hetero, który przyłaził tutaj się pogapić, nie będą nas, kurwa, traktować jak eksponaty na wystawie.

Sofia skinęła głową, pokręciła się trochę i wylądowała w kącie z drinkiem, uświadamiając sobie, że nie pasuje do tych wyluzowanych transów, dumnych pedałów, energicznych lesb i wszystkich pośrodku.

Upijała się i tęskniła do domu, ale mimo wszystko miała nadzieję, że któraś z trans podejdzie do niej i powie, że teraz należy do nich, że będzie miała nową rodzinę.

Ale żadna trans nie podeszła, a ona była zbyt zmęczona, żeby nawiązywać znajomości, toteż piła tylko więcej, czując się odrzucona przez cały świat.

–... Jenny tańczyła na stole, strasznie tłusta się zrobiła, tylko pomyśleć, że mogą być bliźniaki, a Robin się schlał i strasznie wygłupił...

Mirja opowiada o rodzinnym przyjęciu, a potem o chwilach z Filipem w kinowym mroku. Trzymali się za ręce i całowali, później poszli na hamburgera, siedli na ławce i ona opowiedziała, jak się boi, że Viktor umrze. Filip objawił niespodziewany talent jako pocieszyciel, objął ją i mówił same miłe rzeczy, odprowadził ją do bramy, ale nie napraszał się, że chce wejść, znowu go kocha.

– Lakier wysechł?

Mirja sprawdza paznokcie Sofii, nie zauważyła, że ta nie słuchała.

– Paznokcie u nóg też ci pomalować?

Mirja jest pełna zapału.

– Nie, nie trzeba – odmawia Sofia, która nie chce pokazywać swoich dużych stóp.

– Mogę zrobić francuski pedikiur, jeśli chcesz.

Kupiłam wczoraj biały lakier. Połóż mi nogi na kolanach, będzie łatwiej.

Mirja nie chce, żeby Sofia poszła do domu, chce opowiedzieć więcej o Filipie, jak jej z tym dobrze.

- Mam takie wielkie. – Sofia się czerwieni.
- Jedna z dziewczyn w mojej klasie ma rozmiar czterdzieści dwa i malowałam jej paznokcie.
- No dobrze.

Sofia zdejmuje buty i rajstopy, kładzie stopy na kolanach Mirii.

- Masz zimne nogi – zauważa Mirja.
- Z natury jestem zmarzłak.

Mirja zaczyna masować stopy Sofii w taki sam sposób, jak masuje Rosie po długim dniu w kawiarni. Sofia jest najpierw zażenowana, potem wzruszona, a w końcu się odpręża.

Ani jedna, ani druga nic nie mówi, ale kiedy Mirja przechodzi do lakierowania paznokci i ujmuje jej palce, Sofia zaczyna się śmiać. Ma łaskotki.

- Mam przestać?

Sofia potrząsa przecząco głową. Mirja nakłada pierwszą warstwę, czerwonego lakieru.

- Kiedy zrobisz mi zdjęcia?
- Kiedy chcesz. Możesz przyjść wieczorem.
- Kończę dopiero o dziesiątej.
- Nie szkodzi.

Kiedy czerwony lakier wysycha, nakłada warstwę białego na brzegu paznokci, zarówno u nóg, jak i u rąk. Biały łuk łaski.

- Bardzo ładnie – mówi, kiedy kończy.

Obejmuje Sofię od tyłu, opiera brodę na jej ramieniu.

– Jesteśmy siostrami, prawda? – Napotyka spojrzenie Sofii w lustrze zawieszonym na przeciwległej ścianie.

Sofia ma wzwód. Potakuje głową i zakłada nogę na nogę. Tak, oczywiście, siostrami.

- Muszę do toalety.

Wstaje i biegnie do toalety, gdzie zdiera z siebie spódnice, rajstopy, majtki. Wpatruje się w ten swój obcy narząd płciowy.

Sterczący.

Opryskuje go lodowatą wodą i mocno zaciska powieki.

- Dobry Boże, pomóż mi.

Członek wiotczeje. Modlitwa została wysłuchana? Ubiera się, drżąc na całym ciele, muszą go jej obciąć, jeśli nie, zrobi to sama.

- Do wieczora.

Uścisk i wychodzi z kawiarni, do której właśnie przyszła Bea na popołudniową kawę.

Stolik w rogu jest zajęty. Dwa inne są wolne, ale Bea czeka, przysiadłszy na brzeжку krzesła i pochylając się nad gazetą, której nie czyta, bo skupia się na obserwowaniu dwóch młodych kobiet, siedzących przy jej stoliku i zajętych przyjacielską pogawędką, choć dawno wypily swoje kawy latte.

Mimo że ani razu nie popatrzyła na nie wprost, czują presję jej ukradkowych spojrzeń i uporczywego czekania. Pięć minut później wstają i wychodzą.

Bea siada na ciepłym jeszcze krześle. Popołudniowa kawa uratowana.

Wyciąga notatnik, kładzie go na stoliku, wieszka kurtkę na oparciu krzesła i idzie zamówić wodę z cytryną, kawę i dwa cantucci. Czyli to, co zawsze, kiedy w planie jest Popołudniowa Kawa.

Mirja przyjmuje zamówienie z uśmiechem, który Bea odbiera jako szyderczy. Dlaczego wszyscy się z niej naigrawają, sprzedawca w sklepie, Mirja i pozostali? Co jest takiego zabawnego w Rutynie?

Ze zirytowaną miną wraca do stolika, zdeterminowana, żeby sporządzić ambitną i oby tłumiącą lęk listę na Resztę Dnia.

Jedyne, co spisuje, to:

1. Jack
2. Jack
3. Jack

Jack wstawia kwiaty do wazonu, patrzy na nie zbity z tropu. Brak nadawcy. Czy mogła je przysłać Evelyn? Czy to rodzaj zemsty za te wszystkie kwiaty, które jej wysłał, czy też gest pojednania? Chciałaby znowu się z nim spotkać?

Dzwoni do niej do pracy, słyszy, że ma się odpieprzyć, a godzinę później w jego przedpokoju stoi dwóch policjantów, którzy informują go, że właśnie otrzymał pierwsze ostrzeżenie.

Sofia siedzi schowana w ciemni, kiedy Mirja puka do drzwi, patrzy na zdjęcie pijaka z ławki i myśli, że on jest więcej wart od niej, nawet martwy.

Kiedy wróciła do domu, przywitało ją dwukrotne miganie automatycznej sekretarki. Można powiedzieć, że telefon się urywał.

Pierwsza wiadomość była od policji, informowali ją, że pijak zostanie pochowany w najbliższy piątek o godzinie jedenastej. Drugim dzwoniącym był Simon, jej brat. Oddzwoniła natychmiast.

Odebrała bratowa i (kiedy usłyszała, kto mówi) powiedziała ostrym głosem:

– Cześć, Stefan, dawno się nie słyszeliśmy.

– Mam na imię Sofia.

– Nienawidzę cię – oznajmiła jej bratowa, odsunęła słuchawkę i zawołała: – Simon, dzwoni Stefan.

Simon podszedł do telefonu i powiedział zakłopotanym głosem:

– Będę w przyszłym tygodniu służbowo w Sztokholmie. Spotkamy się?

– Tak, koniecznie!

– Powiedzmy, czwartek po południu?

– Dobrze.

– Przyjdę do ciebie do domu.

Bo nie chce, żeby widziano go z tym dziwadłem, które ma za brata.

– Do zobaczenia, bracholku.

Bach.

Sofia otwiera i Mirja od razu widzi, że coś się stało.

– Dlaczego muszą mnie upokarzać? – żali się Sofia, skończywszy opowiadać. – Dlaczego nie mówią po prostu „cześć”, tylko „cześć, Stefan” i „do zobaczenia” zamiast „do zobaczenia, bracholku”?

– Bo są zwyczajnie głupi. – Mirja siedzi koło Sofii na kanapie i stara się przejąć przynajmniej połowę bólu.

– Nie, oni są tylko...

– Ograniczeni, strachliwi, zacofani, zatwardzeni – czytałam w takiej gazecie o zdrowiu, że jak człowiek ma przewlekłe zatwardzenie, to w końcu ulega zatruciu od tego całego gówna, które się w nim kisi, a wtedy przecież nie jest w stanie jasno myśleć.

Sofia uśmiecha się.

– Tak, w mojej rodzinie występują zatwardzenia wszelkiego rodzaju.

Sięga po chusteczkę higieniczną, wyciera nos i patrzy na dłoń Mirii spoczywającą na jej ramieniu.

– Pójdziemy na pogrzeb, nie? – Mirja przesuwa kciukiem po pokrytej meszkiem skórze Sofii.

Sofia przytakuje.

– Nie musisz mi dzisiaj robić fotek, jeśli nie masz siły.

Sofia jednak zarówno chce, jak i ma siłę fotografować, wyciąga statywy, aparaty, obiektywy, rolki filmów, lampy i białe blendy, podczas gdy Mirja szykuje się w toalecie.

Kiedy wychodzi, Sofia czuje, że ma miękkie kolana, zbliża się do niej i przesuwa ręką po jej włosach, udając, że poprawia jakiś kosmyk.

– Makijaż okej?

Sofia przesuwa kciukiem po brwiach Mirii, mówi, że cienie są nałożone elegancko, że róż jest wspaniały. Mirja uśmiecha się, promienieje. Ona jest szampanem, myśli Sofia, kolorowym, musującym szampanem.

Pracują przez dwie godziny. Mirja pozuje, rozkoszując się światłem reflektorów, choć widzi ją tylko Sofia. Rozmawiają i śmieją się, milczą i są poważne.

Jak siostry.

Sofia znowu ma wzwód i wychodzi do toalety, żeby się ochłodzić. Nagle jest w kropce i zdziwiona przygląda się myśli, która się pojawiła:

Gdybym była mężczyzną, mogłabym mieć Mirię.

Opuszcza toaletę i sięga po ostatnią rolkę filmu. Potem wspólnie zbierają rzeczy, piją herbatę na kanapie i rozmawiają o tym, o czym rozmawiają ze sobą siostry.

O strojach, kosmetykach, marzeniach i uczuciach, i o tym, jacy mężczyźni im się podobają.

Gdybym była mężczyzną, to bym ją teraz pocałowała, myśli znowu Sofia.

Ale rozstają się, nie złączywszy ust.

Bo przecież ona nie jest mężczyzną.

Po wyjściu Mirii idzie do toalety i onanizuje się. Nie chce, ale musi, bo inaczej ją rozsadzi. Kiedy jest po wszystkim, wyciera się i myje, nie patrząc w dół, potem nakłada nowe, czyste majtki i ma, kurwa, ochotę się zabić, bo jest najohydniejszym stworzeniem na ziemi.

Bezimienny z ławki nazywa się Nils Larsson i jest teraz prochem w urnie, którą opuszczają do ziemi przy akompaniamencie zduszonego płaczu siostry.

Ma na imię Katarina i szczerze powiedziawszy, niezbyt go żałuje (był obrzydliwym pijakiem, który ciągle przysparzał problemów i wyciągał pieniądze, poza tym zostawił swoją żonę, kiedy była w ósmym miesiącu), ale mimo wszystko zbiera się jej na płacz, gdy przypomina sobie, jak ostrożnie go nosiła, kiedy był całkiem malutki.

Jest jego jedynym rodzeństwem i jedynym krewnym, który się tu pofatygował, co nie jest szczególnie zaskakujące, wzięwszy pod uwagę, jak się zachowywał na rodzinnych przyjęciach.

Poza tym nieliczną garstkę żałobników tworzą: ksiądz, dwóch grabarzy, dwóch kompanów od butelki, którzy przyszli tu pewnie, żeby załapać się na stypę, oraz Sofia i Mirja.

Co, do cholery, robi tu trans z Mulatką? – myśli Katarina, patrząc w ich kierunku złym wzrokiem przez czarną woalkę, którą nałożyła tylko po to, żeby ukryć brak łez. Plan poniekąd spalił na panewce, bo teraz naprawdę płacze, kurczowo ściskając rękę jednego z grabarzy, podczas gdy w jej głowie pojawiają się jeden za drugim obrazy z dzieciństwa.

Dłoń grabarza jest biała i bez czucia. Próbuje delikatnie się wyswobodzić, ale starucha nie puszcza, coś takiego powinno być ekstra płatne.

Ksiądz kończy ceremonię starannie dobranymi słowami. Katarina zwalnia w końcu uścisk. Pod woalkę kapią łzy. Sofia i Mirja patrzą na nią ze współczuciem, pijacy gnają na stypę i zaczynają się częstować, ksiądz wlecze się za nimi i wzdycha na ten widok, ale nie ma odwagi powiedzieć im do słuchu, strachajło z niego.

Sofia i Mirja idą dwa kroki z tyłu za grabarzami, którzy szeptem wymieniają typy przed wyścigami kłusaków. Mirja wylawia komórkę, żeby sprawdzić, czy Rosa dzwoniła albo przysłała SMS-a ze szpitala.

Viktor ma dzisiaj operację.

Sofia spogląda na nią pytającym wzrokiem. Mirja potrząsa głową, nadal ma mdłości. Rano wymiotowała, a miesiączka się spóźnia, obawia się najgorszego.

Wchodzą do sali, gdzie przygotowano stypę.

Na poczęstunek składa się kawa i tort kremowy. Pijacy się opychają, nieskrępowane

orgiastyczne obzarstwo, Katarina nienawidzi ich, nienawidzi tego cholernego klechy, który ich nie wyrzuci, nienawidzi transa, który podszedł i złożył kondolencje, i powiedział, że to ona znalazła Nilsa na ławce, nienawidzi tej małej Mulatki, która jest tak cholernie piękna i ma całe życie przed sobą, nienawidzi grabarzy, którym płacą za smutne miny, nienawidzi tortu, zawsze mdliło ją od kremu.

Odsuwa talerzyk, wstaje, mówi księdzu, że wychodzi do toalety, ale śpieszy do samochodu i odjeżdża na pełnym gazie.

Dwadzieścia minut później ksiądz orientuje się, że Katarina już nie wróci. Ogłasza, że stypa dobiegła końca, i dziękuje wszystkim za udział w pięknym pogrzebie.

Pijacy wychodzą, objedzeni jak bąki, z radarem ustawionym na sklep monopolowy. Sofia i Mirja wymieniają uściski dłoni z księdzem i grabarzami.

Ksiądz czuje lekką odrazę, kiedy ściska dłoń Sofii, i unika jej wzroku (resztę dnia spędzi na teologicznych rozważaniach, czy to wolą Boga jest, by istnieli tacy jak Sofia, czy też egzystencja Sofii stanowi wymysł Szatana, który chce sobie zadrwić z ludzkości).

Sofia czuje zapach księżej trwogi. Śmierdzącej siarki, jego odrazy, jaką napawa go podejrzenie wymysłu Szatana.

– Nie jestem groźna – mówi, nie mogąc się powstrzymać, żeby nie poplirtować z tą biedną koloratką.

Siadają w kawiarnianym ogródku, żeby napić się mrożonej herbaty. Mimo że Parada Równości niedawno przeszła przez miasto ze swoimi tęczowymi flagami, gorąco dopingowana przez zaciekawionych mieszkańców, mimo że w pewnych kręgach (scena popowa, większość biorących udział w dokumentalnych telenowelach, zdesperowani eks chcący wypełnić ostatnią rubrykę) modne jest bycie nie hetero, tylko kimś nieokreślonym – „nie zamykam żadnych drzwi, nie zakochuję się w płci, tylko w człowieku” – to Sofia obrzucana jest spojrzeniami pełnymi wstrętu i pogardy, a dwa najbliższe stoliki nagle opustoszały.

Sofia nic nie mówi, wpatruje się w dno swojej szklanki. Mirja rozważa zostanie seryjnym mordercą.

– Pójdziemy?

Sofia przytakuje gwałtownie, zrywa się, patrzy w dół ulicy, nie chce napotkać niczyjego spojrzenia, bo akurat dzisiaj brak jej energii, żeby być silną i bronić swojego prawa do zajęcia stolika w ogródku i wypicia mrożonej herbaty jak wszyscy inni zwykli ludzie.

Ma serce, mózg, kości, płuca, wątrobę, nerki, skórę, włosy, oczy, uszy, nos, usta, dlaczego to nie wystarcza, by uważać ją za człowieka?

– Kocham cię – mówi Mirja, kiedy są w połowie drogi między ogródkiem a apteką.

– Ja też cię kocham – odpowiada Sofia, dotykając jej ramienia.

Mirja wychodzi z McDonalda, gdzie skorzystała z toalety i nasiusiała na test. Jest blada,

gwałtownie trzęsą się jej ręce i ledwie może prosto stać.

Sofia prowadzi ją na ławkę, każe pochylić się do przodu i schować głowę między nogami.

Mirja gwałtownie oddycha. Sofia kładzie jej rękę na karku i delikatnie przeciąga palcami przez gęste ciemne włosy.

– Czy to Filip? – pyta, kiedy Mirja zaczęła znowu normalnie oddychać.

Mirja potakuje; nic, co by ją cieszyło.

– Maleńka...

Sofia obejmuje Mirię. Dzwoni komórka. Mirja nie chce odbierać, ale jednak odbiera, z głową nadal zwieszoną między nogami.

To Rosa. Operacja przebiegła pomyślnie. Viktor śpi, a ona chce zostać u niego przez całą noc. Nie ma sensu, żeby dzisiaj Mirja go odwiedzała, ale może jutro.

– Przynieś coś dobrego do jedzenia, tutaj nędznie karmią.

– Co chcesz? – pyta Mirja, ostrożnie unosząc głowę.

– Hm... bagietkę z masłem czosnkowym i serem pleśniowym, odrobiną indyka i świeżym pomidorem, kawę przyprawioną kardamonem, tutaj jest taka gorzka, weź ten czerwony termos. Co jeszcze...

Kubki smakowe pęcznieją, Rosa jest głodna, Mirii zbiera się na wymioty.

– Zimne smażone kulki krewetkowe – mówi Mirja, która chce zakończyć ten temat. – I awokado, wezmę ze sobą scyzoryk. Odrobinę kwaśnej śmietany, w plastikowym pojemniku. Ciastka migdałowe i pralinki z likierem.

– O tak!

Rosa jest podniecona. Mirja wzdycha. Mimo głodu Rosa słyszy westchnięcie i natychmiast odsuwa smakołyki, żeby pomóc swojemu dziecku.

– Co z tobą, dziecinko? Dobrze się czujesz?

Mirja waha się, ale teraz nie jest dobry moment na poinformowanie, mama musi najpierw podnieść sobie poziom cukru we krwi.

– Jestem po prostu zmęczona.

– Jak było na pogrzebie?

– Smutno.

– Jak to na pogrzebach.

Milczenie.

– Pozdrów od mnie Sofię.

– Pozdrowię. To cześć. Zobaczymy się jutro.

Kończą rozmowę. Mirja przekazuje wieści z operacji i pozdrowienia Sofii, która myśli, że to niemożliwe, żeby dziecko miało się przecisnąć przez mały otwór między wąskimi biodrami Mirii, i przez chwilę jest wdzięczna Bogu, że mimo wszystko nie urodziła się z jajnikami i macicą.

Rosa przebiega szpitalne korytarze w pogoni za czymś jadalnym. Jest noc i duża kafeteria jest zamknięta, podobnie jak kiosk, który właśnie minęła.

Automat ze słodyczami to wszystko, czego pragnie, snickersa, migdałowego daima, czekoladowego wafelka, to ją uspokoi.

Ocieka potem, tłuszczył się, szczęki są mocno zaciśnięte, a spojrzenie biegnie w przód wzdłuż ścian niczym radar.

Trzy korytarze dalej osuwa się na podłogę przed automatem Select i przetrząsa portfel w poszukiwaniu monet. Ręce się jej trzęsą z rozgorączkowania i abstynencji, monety wylatują na wszystkie strony świata. Czołga się za nimi, kicha i przeklina, gromadzi trzy pięćdziesiąt.

Starczy na jedną trzecią daima.

Przez chwilę siedzi cicho i nieruchomo na podłodze, z szeroko rozłożonymi nogami, tułów lekko pochylony w przód, jakby uprawiała jogę. Monety leżące na otwartej dłoni błyszczą szyderczo.

Jedna trzecia daima, kiedy ona potrzebuje co najmniej trzech.

Wpada we wściekłość, podnosi się i rusza do furiackiego ataku na automat. Jedno kopnięcie, drugie, trzecie i nagle szkło pęka, powstaje dziura, przez którą można wsunąć rękę i otworzyć od środka.

– O Jezu!

Napełnia wszystkie kieszenie i zawija jakieś dziesięć wafelków Kex w apaszkę, tak że powstaje mały tobołek.

Tobołek z jedzeniem.

Rozgląda się szybko wokół, jakby dopiero teraz do niej dotarło, że popełnia przestępstwo, ale nigdzie nie widać żywego ducha, a na wyrzuty sumienia nie ma siły.

Zmywa się, cmokając snickersa i garść drażetek Non Stop. Nastrój błyskawicznie się jej poprawia i kiedy wraca do Viktora, jest w stanie takiej błogości, że nawet nie potrafi go żałować.

Wyjdzie z tego, myśli, sadowiąc się wygodnie na krześle koło jego łóżka. Jest silny. Przeniósł mnie przez próg, a potem nosił dzieci, niekiedy całą czwórkę naraz. Miałby przegrać z jakimś guzem? Nie, to wykluczone.

Opycha się wafelkami, jednym po drugim, najpierw gorączkowo, potem powoli, niemal obojętnie, w końcu przestaje.

Patrzy na swoje upačkane dłonie i papierki na podłodze wokół krzesła. Wybuch płaczem, bo kiedyś była tak samo szczupła i piękna jak Mirja i chociaż mama Moria mówiła, że kobieta musi mieć dużo ciała, to jednak wolałaby zrzucić przynajmniej te czterdzieści kilo, żeby czuć się w miarę dobrze.

122 kilogramy wskazywała waga ostatnim razem, kiedy ośmieliła się na nią wejść.

Przy 168 centymetrach wzrostu.

Kiedy będzie po wszystkim, zacznie się odchudzać, postanawia i pociesza się bountym przed położeniem się na wstawionym łóżku połowym. Trzeszczy pod nią niepokojąco i Rosa ledwie ma

odwagę się poruszać.

A gdyby tak odessać sobie tłuszcz, skoro już tutaj jest, przewiązać żołądek, zmniejszyć piersi i usunąć rozstępy na brzuchu?

Ile można zjeść z żołądkiem jak piłeczka pingpongowa?

Jedną trzecią daima?

Wyciąga rękę i kładzie ją na rękę Viktora. Ten nie budzi się, ale gdzieś w głębi połączeń nerwowych czuje ciepło.

Mama, tata, dziecko?

Mirja leży z rozłożonymi udami pod niezgrabnym jęk-stęk-trysk Filipa i nie wie, czego chce.

– Dziecinko – mówi Filip, kiedy skończył, i uśmiecha się do niej błyszczącymi oczami i ustami.

Był już na rauszu, kiedy przyszedł, a wypił jeszcze dwa kieliszki wina, zanim zebrało mu się na zabawę w koguta.

Dlaczego ciągle mówi „dziecinko”? – myśli Mirja.

Nie jestem żadną „dziecinką”, za to mam dziecinę w brzuchu, poza tym zaraz zwymiotuję.

Przelyka kwaśne odbicie, nie ma odwagi mu powiedzieć. Ona mamą? On tatą? Patrzy na niego sceptycznie, próbuje wyobrazić go sobie jako dojrzałego i odpowiedzialnego ojca, ale widzi jedynie pryszczatą chłopięcą twarz.

– Mogę cię wylizać?

Zgadza się, chociaż nie ma na to ochoty. Jego język chodzi jak elektryczna trzepaczka, momentami wślizguje się do środka, a kiedy Filipowi zdaje się, że natrafił na jej lechtaczkę, zebrze o pochwały. Ale Mirja milczy, nic nie czuje.

– Twoja kolej.

To rozkaz.

– Przecież już się spuściłeś.

– I co z tego?

Spycha jej głowę na dół i mocno trzyma za włosy. Mirja próbuje mu dogodzić, ale spełniają się jej obawy, dostaje mdłości i wymiotuje na jego męskość.

Filip klnie i wrzeszczy (sąsiad z góry łomocze) i wybiega do łazienki. Kiedy wraca, nie patrzy na nią, wślizguje się do łóżka, odwraca do niej plecami i zasypia, nie powiedziawszy nawet „dobranoc”.

Mirja bierze prysznic i kładzie ochronnym gestem rękę na łonie. Czy to rzeczywiście tak ma być? Zaczynają ją ogarniać wątpliwości, ale nie ma żadnego punktu odniesienia poza filmami i telewizją, i świerszczykami, które Filip chce razem z nią oglądać, a które z kolei podwędził swojemu ojcu. Mirja go nie poznała, bo Filip się temu sprzeciwia. Jego matka? Odeszła, kiedy miał trzy lata. Rodzeństwo? Wolalby inne. Nie chce o tym gadać.

Mirja idzie do sypialni rodziców i kładzie się pośród zapachów mamy i taty.

Jutro usunie.

Zwariowałam, myśli Bea, przechodząc koło kawiarni i snu Mirii na piętrze. Zachowuję się dokładnie jak świr, który do absurdu prześladuje obiekty swojego uwielbienia albo nienawiści.

Na przykład aż do sypialni.

Wiedziała, że był w domu, bo czekała na dole na ulicy przez kilka godzin. Kiedy w końcu się pojawił, odwróciła się plecami, udając, że interesuje ją architektura sąsiedniego budynku. Zbędna ostrożność, bo wchodząc do bramy, w ogóle nie zwrócił na nią uwagi. Widziała, jak w mieszkaniu zapaliło się światło, i kilkakrotnie dostrzegała jego sylwetkę w którymś z okien. Koło północy zgasił wszystkie światła, zostawiając tylko lampkę w kuchni. Wtedy za pomocą wytrycha dostała się na klatkę schodową, a potem w ten sam sposób do mieszkania.

I stanęła na granicy jego świata, wiedząc, że jeśli ją odkryje, wszystko będzie stracone. Ona. On. Życie.

Wtedy wyskoczę, pomyślała, uchylając ostrożnie jedno z okien w salonie, na wszelki wypadek. Wtedy zostanie ze mnie kałuża krwi pod jego nogami, którą łatwo zetrze.

I weszła do jego sypialni.

Leżał na brzuchu z jedną nogą podciągniętą na bok i rękami nad głową. Kołdra ześliznęła się, odsłaniając muskularne plecy.

Ustawiła rękę kilka centymetrów nad jego ciałem, żeby poczuć ciepło. Pochyliła się i wciągnęła jego zapach. Uklękła i oparła podbródek na brzegu materaca, tak że mogła obserwować z boku twarz. W pokoju było wprawdzie ciemno, ale widziała każdy włoszek na brodzie, dostrzegała najdrobniejsze drgnięcie w kącikach oczu.

Bea i Jack.

Jack i Bea.

Bea Vestin czy Jack Katalin?

Doszła do wniosku, że mimo wszystko woli Katalin i że suknia ślubna ma być prosta. Zaczęła się nawet zastanawiać, co tata powie w przemówieniu, które obiecał jej, jeszcze jak była mała. Pewnie nie uda mu się powstrzymać łez, a głos załamie się przy słowach: „Gdyby Ebba była tutaj i mogła cię teraz zobaczyć”.

Tak, gdyby mama mnie teraz zobaczyła, pomyślała i wycofała się z sypialni, żeby pomyszkować w pokoju do pracy.

Co by powiedziała? Czy w ogóle by coś powiedziała, czy tylko odwróciła wzrok, rozpaczając z powodu upadku swojego dziecka?

Usiadła przy biurku Jacka i z rosnącą paniką przyglądała się wszystkim oprawnym w ramki zdjęciom, stanowiącym obramowanie miejsca pracy.

Młoda i ładna kobieta, blondynka, drobna i śliczna, sama albo z Jackiem. Na jednym ze zdjęć była nagusienka, pokazując zgrabną sylwetkę, tak, była piękna.

Kiedy pierwszy szok trochę ustąpił, Bea doznała szoku numer dwa. Niedokończony,

odręcznie napisany list z nagłówkiem *Kochana Evelyn! Myślę o Tobie dzień i noc...* i tak dalej.

Czytała te słowa raz po raz, następnie złożyła list i schowała do kieszeni kurtki, wzięła zdjęcie nagiej Evelyn i dołączyła do listu. Potem się wyniosła.

Normalnie zwariowałam, myśli, stojąc w swoim przedpokoju i przyglądając się nocnej zdobyczy. Szuka szpilek i przekłuwa nimi zdjęcie Evelyn.

Zgiń, zgiń, zgiń.

Przechodzi do salonu, rozbiera się do majtek, włącza telewizor i wsiada na rower z pilotem w rękę.

TV 1000 nadaje francuską erotykę, Bea przyciska podbrzusze do siodełka, ociera się o nie, podczas gdy aktorzy ocierają się o siebie, i płacze, kiedy doznaje orgazmu.

Przewiesiła się przez kierownicę, łąka i smarka na twarde parkiet.

Wyłącza telewizor, zmienia majtki, wkłada koszulkę, kolarskie spodenki i buty i trenuje potem przez godzinę przy akompaniamencie ciszy. To nudne, ale musi wypocić wszelkie plugastwo, cały brud, być znowu tak czysta jak na początku, zanim zakradły się do niej cienie.

Miała może pięć, sześć lat, kąpali się w jeziorze, chociaż był początek września. Zmierzchało i padał deszcz, ciepły, lekki. Udała, że boli ją noga, żeby tata wziął ją na ręce. Wiedział, że udaje, ale niósł ją mimo to, bo lubił, jak zerkała w górę i patrzyła na niego, a ona lubiła słuchać uderzeń jego serca i oddechów, patyków i gałęzi pękających pod jego nogami i dochodzącego z daleka głosu mamy, która szła dwadzieścia metrów przed nimi i nucila, sama do końca nie wiedząc co, bo tak często z nią było.

* * *

Mimo nocnej czekoladowej orgii Rosa nie zwleka z zabranieniem się za frykasy przyniesione z domu przez Mirię. Pochrząkuje z zadowolenia, rozpiną spodnie, oblizuje palce, żeby nie uronić ani szczypty słonego czy słodkiego, popija wszystko herbatą imbirową na poprawę trawienia, a kończy filiżanką kawy i garścią pralinek z likierem, które chrzęszczą między zębami, wypełniając buzię.

Mirja siedzi w milczeniu obok, myśląc o Filipie przy śniadaniu. Huśtał się na krześle, pił mleko prosto z kartonu, robił z grzanek potrójne kanapki z masłem i marmoladą i nastawił na cały regulator hard rocka w radiu, chociaż ostrzegła go, że sąsiad z góry wpadnie w histerię.

Ona nic nie mówiła, nic nie jadła, wciąż nie miała odwagi mu powiedzieć. Filip drapał się pod pachami, czytał wiadomości sportowe w gazecie, właściwie na nią nie patrzył ani nie odezwał się słowem.

Myślała, żeby spróbować nawiązać konwersację, choćby z grzeczności, ale nie przyszło jej do głowy nic, o czym chciałaby z nim porozmawiać albo o co chciałaby go zapytać.

Zrywam z nim, pomyślała i zobaczyła, że Filip wstaje od stołu.

Zrywam z nim, pomyślała i odprowadziła go do przedpokoju.

Zrywam z nim, pomyślała, ale zmieniła zdanie, kiedy pogłaskał ją po policzku i życzył udanej wizyty w szpitalu.

– To na razie – powiedział i poszedł sobie.

Zamknęła za nim drzwi i pobiegła do toalety zwymiotować.

– Tego mi było trzeba. – Rosa wyrzuca resztki po ucztę do kosza. – Nie zmrużyłam w nocy oka. Chcesz pralinę?

Mirja potrząsa głową.

– Źle się czujesz?

– Po prostu martwię się o tatę.

Kiedy Viktor obudził się koło szóstej rano, miał tak potężne bóle, że płakał jak dziecko. Dostał morfinę na bóle i tabletkę nasenną na uspokojenie. Przed ósmą zasnął ponownie. Teraz jest dwunasta i Rosa zaczyna się niepokoić. Kiedy była mała, jeden z jej braci został kopnięty przez wielbłąda i trzy doby leżał w śpiączce, potem zmarł.

Bierze jeszcze jedną pralinę, nie, dwie (już się kończą?) i głaszcze Viktora po czole.

– Ma gorące czoło.

– To dlatego, że tu jest gorąco – uspokaja Mirja, która historię o Wielbłądzie, Bracie i Śpiączce słyszała w dzieciństwie do znudzenia. – Nic mu nie grozi, mamó.

– Nie zasłużył sobie na to. – Rosa nie wie, czy ma być wściekła czy zrozpaczona. – Jest dobrym człowiekiem.

– Sama mówiłaś, że wszystko ma swój sens.

– Tak mówiłam?

Mirja kiwa głową.

– Że też zapamiętujesz takie głupoty.

Rosa wachluje się gazetą i kwęka, że wentylacja najwyraźniej szwankuje, co przypomina jej, że trzeba naprawić wentylator w kawiarni.

– Jak ja sobie sama ze wszystkim poradzę? – wzdycha.

– Sofia może nam pomóc.

– Ciągle Sofia i Sofia.

– Jest dobrą przyjaciółką.

– To męczyzna.

– Kocham ją!

Rosa wpatruje się w swoją córkę.

– Kochasz?

Mirja wzrusza ramionami.

– Jako przyjaciółkę – stara się, żeby zabrzmiało to nonszalancko.

Rosa usiłuje to przełknąć, ale nie idzie równie łatwo jak z posiłkiem i pralinkami.

– Aha – mówi w końcu.

– Zrobiła mi świetne zdjęcia. Wyślę je do różnych agencji. Może za rok będę pracowała w Paryżu.

Albo karmiła i zmieniała pieluchy.

– *Nie zdecydowałaś się na aborcję?* – przypomina Głos I w głowie Mirii.

– *No tak* – przyznaje Głos 2 – *ale Filip był taki kochany dzisiaj rano, no i jednak noszę w sobie człowieka.*

– *Filip to świnia, rzuć go* – mówi G1.

– *Rzucę* – zapewnia G2. – *Ale on nie jest celowo taki rąbnięty, może wynika to z niepewności, może dziecko jest właśnie tym, czego potrzebuje, żeby... eee... dojrzeć?*

– *Chcesz zaryzykować?* – pyta G1.

– *Stul pysk* – złości się G2.

– Mirja, co z tobą?

, Mirja patrzy zdziwiona na Rosę, która nadal się wachluje.

– Co?

– Mówiłaś do siebie.

– Naprawdę?

Rosa potakuje, Mirii kręci się w głowie, musi coś zjeść, nie, zwymiotować, nie, pójść na spacer, nie, zostać, nie, nie wie, którędy mam pójść, mam, jaką drogę wybrać?

– *Przejdę się* – mówi, wstając.

Rosa kiwa głową i patrzy, jak córka zniką za drzwiami.

Wolna droga.

Odsuwa kurtkę, pod którą ukryła przyniesioną rano przez pielęgniarkę bombonierkę. *Życzymy powrotu do zdrowia. Jens z rodziną* widniało na dołączonej kartce.

Jens to jeden z licznych kuzynów Viktora i najwidoczniej jedyny, który przejął się jego chorobą. Rosa opycha się z wdzięcznością, odchudzanie będzie musiało poczekać.

Tymczasem Mirja instynktownie kieruje się sztyldami na oddział położniczy, wchodzi do środka i kręci się po korytarzach.

Zatrzymuje ją pielęgniarka, pytając, czy należy do rodziny którejś z pacjentek. Mirja kiwa głową, że tak, i mamrocze coś o starszej siostrze. Pielęgniarka, w biegu między jednym porodem a drugim, nie ma czasu wypytać o szczegóły, to samo dotyczy reszty personelu, więc Mirja może trochę się pokręcić, jeśli chce, co prowadzi ją do sali, w której długim szeregiem leżą noworodki.

Wszystkie są czarujące i Mirię ogarnia śmiertelne przerażenie.

Co, jeśli w ciąży się roztyje i później nie pozbędzie się tłuszczu, wtedy nigdy nie zostanie fotomodelką. Co, jeśli umrze podczas porodu albo wpadnie w psychozę, której nie da się wyleczyć, i zostawi dziecko samo z Filipem. Co, jeśli upuści dziecko na ziemię albo tak go będzie miała dość, że gdzieś je zostawi, żeby umarło. Co, jeśli będzie go nienawidziła, uważała, że jest brzydkie i odrażające. Co, jeśli dziecko będzie kaleką albo zdeformowane w inny sposób. Co, jeśli ona okaże się złą matką, która z niczym sobie nie radzi. Co, jeśli się zabije, nie mając

już siły.

Odwraca się i zaczyna biec, zatrzymuje się dopiero, kiedy jest z powrotem u mamy i taty, gotowa wszystko opowiedzieć.

Jednak teraz śpi również Rosa, chrapie jak prosię na dostawionym łóżku, z niemal pustą bombonierką koło siebie na podłodze. Mirja chce ją bić, dopóki się nie obudzi, ale tylko opada zmęczona na krzesło i zastanawia się, dlaczego Bóg nie dał jej dziecka komuś, kto chce mieć dzieci, a nie może.

Minęły już dwa tygodnie, odkąd Mans ostatni raz widział Bezimienną, dwa tygodnie ciągłego czekania, które nic nie przyniosło.

Pije kawę i chce sobie kupić gofra, ale kiedy groteskowo tłusty mężczyzna siada przy stoliku obok i z mlaskaniem zajada nie tylko gofra z bitą śmietaną i konfiturami, ale również loda w wafli z polewą czekoladową, bierze go takie obrzydzenie, że aż żołądek podchodzi mu do gardła.

Nie może powstrzymać się od myśli: jak, do cholery, można doprowadzić się do takiego stanu? Gdybym był na jego miejscu, zamknąłbym się w domu i albo bym schudł, albo umarł.

Wstaje, kiedy tłuścioch zamawia trzeciego gofra u szczupłej kelnerki, która ma w sobie tyle profesjonalizmu, że żadnym gestem nie zdradza, co myśli.

Tłuścioch (który oczywiście zauważył wzgardliwe spojrzenia Mansa) dostrzega od razu jego wykrzywione w przeciwnych kierunkach nogi i stopy i uśmiecha się z lekkim triumfem: co, jedziemy na tym samym wózku, ty i ja? Nie spodziewałem się, wyglądałaś zupełnie normalnie, dopóki nie wstałaś, ha, ha.

Mans odnotowuje szyderczy uśmiech, ale nie robi nic, żeby się bronić czy oddać cios, stoi tylko w milczeniu i przyjmuje razy, potem odwraca się i odchodzi, kulejąc.

Znowu wchodzi w uliczkę, po części dlatego, że jest tam chłodno, ale też nie stracił jeszcze nadziei, że się tam na nią natknie.

Co by zrobił, gdyby wyszła z którejś bramy i go zobaczyła?

Chwycił ją, przycisnął do ściany i namiętnie pocałował?

Czy też stał w milczeniu, mając nadzieję, że postąpi jak tamta obca dziewczyna wtedy na dyskotecę – podejdzie do niego, powie, że jest przystojny i go pocałuje.

Pewnie to drugie. Stałby w milczeniu i miał nadzieję. I doznałby rozczarowania. Życie nie jest filmem, nie da się w nim wyreżyserować scen.

W drodze do metra składa sobie obietnicę. Jeszcze tydzień, potem zrezygnuje.

– W najbliższy piątek jest wolny termin, o jedenastej – mówi Jack.

Siedzi przy swoim biurku w gabinecie i próbuje dociec, kto wszedł do jego mieszkania i ukradł zdjęcie Evelyn wraz z niedokończonym listem, który zamierzał jej wysłać.

– Pasuje mi – mówi Bea, która siedzi przy swoim biurku w mieszkaniu i kręci szpilkami, które wbiła w zdjęcie Evelyn.

– W takim razie do piątku.

Nawet nie zapytał, co jej dolega.

– Będę, do widzenia.

Jeszcze się nie zdecydowała, co wymyśli. Bóle brzucha, problemy ze snem, nadmierne zmęczenie albo może coś z kręgosłupem?

Rozłączają się.

Tak naprawdę zdecydowała się to zakończyć. Da mu się zbadać, ostatni raz poczuje jego ręce na swoim ciele i powie, że niestety nie może dłużej być jego pacjentką, bo się wyprowadza.

B. Katalin, 11. 00, zapisuje Jack w terminarzu, potem rzuca długopisem i słyszy, jak turla się po podłodze.

Kto był w jego domu i grzebał w jego miłości?

Jest tak wzburzony, że musi uspokoić się dwoma legeriganami (nie uzależniają, zwraca na to uwagę, za to pacjentom często przepisuje sobril, który uzależnia, nie wie właściwie, dlaczego to robi, jakby wyładowywał na nich tkwiącą w nim złość).

Kurwa!

Wali pięścią w stół, aż kwiaty (które anonimowy nadawca zaczął przysyłać również do gabinetu) podskakują w wazonie.

Wpatruje się w te czerwone róże, potem wyrzuca je do kosza. Czy to Evelyn, a jeśli tak, co nią kieruje? Czy może jej tak zwany chłopak, co ma być jakimś absurdalnym sposobem przekazania groźby? Albo w ogóle ktoś inny? Ale kto i dlaczego?

Nie wytrzymam tego, myśli, badając resztę zapisanych na ten dzień pacjentów.

Oszaleję, myśli, wracając na piechotę do domu.

Co mam zrobić? – myśli, bierze prysznic, przebiera się i wychodzi do swojej knajpy, je obiad, wypija piwo imbirowe, połyka tabletkę, dzwoni do kumpli, odwiedza kilka pubów, żeby w końcu wylądować w nocnym klubie, w którym podrywa dziewczynę podobną do Evelyn.

Co ja mam, kurwa, zrobić? – myśli, posuwając jeszcze jedną dziewiętnastolatkę, która rozłożyła się pod nim i wyobraża sobie, że on ją widzi.

Następnego dnia rano leży sam w jeszcze jednym z długiego szeregu hotelowych łóżek i pali papierosa za papierosem, wypalając całą paczkę. Ma gdzieś, czy dostanie raka, życie i tak jest do dupy.

Korzysta z okazji, żeby opróżnić barek i zamawia na górę szampana, chce uczcić, że w końcu wie, jak depresję się odczuwa, a nie tylko umie zdiagnozować objawy.

Wychyla parę kieliszków, zaciąga się jeszcze papierosem, zasypia ponownie i budzi się dopiero koło jedenastej, kiedy do drzwi puka sprzątaczką, oznajmiając, że musi posprzątać.

Jack zbiera swoje rzeczy, płaci za pokój, wychodzi na ulicę i włącza komórkę, która zgłasza pięć nieodebranych rozmów, czyli wszystkich przedpołudniowych pacjentów. W tej chwili nie ma siły, ale trochę później będzie musiał do nich zadzwonić i usprawiedliwić się czymś

drastycznym – śmiercią w rodzinie, wypadkiem, własną nagłą chorobą i tym podobne.

Evelyn.

Gdyby wyszedł do poczekalni i powiedział: „Umrę, jeśli nie odzyskam Evelyn”, czy ktoś z nich by zrozumiał?

Idzie przed siebie, bez kierunku, bez celu, zatrzymuje się co jakiś czas, patrzy w okno wystawowe, dostrzega swoją sylwetkę w szybie i nie ma bladego pojęcia, kim jest.

Jack, majak, krwawiąca rana.

Idzie dalej, nie czuje gruntu pod nogami ani powietrza na skórze, wszystkie dźwięki są takie dziwne, takie odległe, jak wołania z obcych planet, wpada na drzewo.

To go otrzeźwia.

Cofa się kilka kroków, patrzy zdumiony na drzewo, nie rozumie, jak to się stało, że na nie wpadł, rozgląda się wokół i odnotowuje kilka par zdziwionych oczu, które pytają: naćpany?

Oddala się stamtąd pośpiesznie, wstrząśnięty i zawstydzony, postanawia, że podejmie ostatnią próbę i jeśli się nie uda, pozwoli jej odejść.

Piętnaście minut później stoi przed jej biurkiem na otwartej przestrzeni biurowej, która zamienia każde prywatne spotkanie w publiczne wydarzenie.

Evelyn pracuje jako redaktor w dużej gazecie i teraz jej koledzy świdrują go wzrokiem, siedząc przy swoich komputerach i stukając w klawiaturę.

Niektórzy z nich przejęli te, łagodnie mówiąc, nad – obfite bukiety, które jej przysyłał, i dawali je na przykład teściowej, bo trzeba ją było udobruchać, albo gospodarzom przyjęcia, do których warto pójść, ale na których szkoda wydawać pieniądze.

Niektórzy z nich częstowali się bombonierkami i owocami z koszy, które przysyłał niemal co tydzień.

Niektórzy z nich potajemnie czytali odręcznie pisane listy, które spływały niemal codziennie, a które Evelyn po przeczytaniu (dlaczego w ogóle je czyta?) mięła i wyrzucała do kosza. Tak, tak, ukradkiem grzebali w koszu, a potem wymykali się do toalety i zachłystywali się słowami w taki sam sposób, jak człowiek zachłystuje się wiadomościami z plotkarskiej gazety.

Niektórzy z nich myśleli, że nie mieliby nic przeciwko temu, żeby stać się obiektem takiej namiętności.

– Co chcesz?

Evelyn jest tak tym wszystkim zmęczona, że nie ma nawet siły się denerwować.

– Muszę z tobą porozmawiać. Jestem na granicy szaleństwa. Muszę dać ci spokój.

Patrzy na niego zdziwiona. Dać jej spokój? Nie myślała, że kiedykolwiek to od niego usłyszy.

– Jeśli to jakaś sztuczka...

– Nie, przyrzekam.

Waha się, czuje na sobie spojrzenia kolegów i myśli, że tak się musi czuć aktorka filmowa. Czeka reżyser, kamerzyści, sekretarka planu, statyści, wszyscy inni – ujęcie, klaps.

– Szybka kawa – mówi, wstając.

Schodzą do pracowniczej stołówki, Evelyn nalewa kawy do dwóch filiżanek, pamięta, iż on pija czarną, wie, że Jack pamięta, iż ona pija z odrobiną mleka, pamięta o niej wszystko, od numeru osobowego i numeru konta po jęki, jakie wydaje, kiedy uprawia miłość.

– Chcę tylko przeprosić – mówi Jack, zauważając, że Evelyn pięknie wygląda w tej bluzce.

Evelyn wodzi nerwowo palcem po obrzeżu filiżanki, czuje od niego zapach alkoholu, ale myśli głównie o tym drugim zapachu, jego wody po goleniu, którego wciąż jej brakuje, chociaż ma już innego mężczyznę, z inną wodą po goleniu, do której jeszcze nie przywykła.

– Obiecuję, że zostawię cię w spokoju – mówi Jack. – Jeśli tego właśnie chcesz.

Evelyn wpatruje się w jego policzki. Zapomniał się ogolić – czasami pozwalał się jej golić, żyłką, to było takie podniecające, przykładać ostrze do jego szyi i wiedzieć, że do tego stopnia jej ufa.

– Ale nadal cię kocham, zawsze będę cię kochał – dodaje.

Czy to ona kupiła mu tę jasnoniebieską koszulę?

– Evelyn?

Patrzy na jego ręce, uświadamia sobie, że nigdy nie będzie miała lepszego kochanka.

Jack pozwala sobie na jeszcze kilka sekund nadziei, pozwala sobie na marzenie, że ona zaraz powie, że gotowa jest mu przebaczyć i zacząć od nowa.

– Ja też będę zawsze cię kochała, ale do „my” nigdy już nie wrócimy.

Wstaje. On też. Obejmują się, Evelyn siłą przyzwyczajenia przesuwając ręką wzdłuż jego karku, potem odchodzi.

Jack stoi jeszcze przez chwilę, zaszokowany, dopiero teraz dociera do niego, że to naprawdę koniec i że został sam, całkowicie sam.

* * *

W poczekalni do ginekologa siedzą grube kobiety, chude kobiety, kobiety urodzone w Szwecji, kobiety urodzone poza Szwecją, kobiety z nowo narodzonymi dziećmi i napęczniałymi piersiami, kobiety z większymi dziećmi i opróżnionymi piersiami, kobiety w ciąży, kobiety, które chcą zająć w ciążę, kobiety, które chcą usunąć ciążę, kobiety chcące dostać pigułki antykoncepcyjne, kobiety mające problemy z pigułkami, kobiety, które chcą się wysterylizować, oraz Mirja i Sofia, przy czym ta ostatnia tradycyjnie ściąga na siebie spojrzenia.

Wędrowną menażeria, myśli Sofia i poprawia szminkę, żeby pokazać, że się nie wstydi. Idealny łuk Amora, cmoka.

Kobieta w burce patrzy na nią przez wąską szparę, którą zostawiono na oczy. Do pewnego stopnia są w tej samej sytuacji, uwięzione w swoich ciałach.

Sofia uśmiecha się do kobiety w burce, ta może uśmiecha się w odpowiedzi albo był to tylko tik.

– Wejdiesz ze mną? – pyta Mirja.

– Chyba mi nie pozwolą.

– Mogę powiedzieć, że jesteś moją siostrą.

Sofia uśmiecha się. Mirja jest tak cudownie naiwna.

– Zaczekam tutaj, tak będzie najlepiej.

Siedzą z założonymi nogami, wertują kobiece czasopisma, podnoszą wzrok, kiedy do poczekalni wchodzi pielęgniarka i wywołuje nazwiska pacjentek.

W końcu kolej na Mirię.

– Powodzenia. – Sofia ściska dłoń Mirii.

Mirja zmusza się do uśmiechu i wchodzi za pielęgniarką do ginekologa, na szczęście kobiety.

– Piąty tydzień – mówi lekarka, skończywszy badanie. – Ważne, żebyś jak najszybciej podjęła decyzję, co chcesz zrobić, inaczej ewentualna aborcja będzie trudna, a można tego uniknąć.

Mirja potakuje, kręci się jej w głowie, zastanawia się, czy lekarka ma rude włosy dzięki hennie czy też to naturalny kolor.

– Masz kogoś, z kim mogłabyś o tym porozmawiać?

Sofia ma takie duże ręce, takie szerokie ramiona.

– Czy twoi rodzice wiedzą?

A jak tata umrze?

– Twój chłopak?

A jak Filip zaraził mnie jakąś chorobą weneryczną?

– Mirja, źle się czujesz?

AIDS.

– Co ty sama chcesz?

Chcę być aktorką i fotomodelką.

– Chcesz się czegoś napić?

Nie matką.

– Nie, dziękuję. Dziękuję. Muszę iść.

Wraca do poczekalni, do Sofii, która obejmuje ją na oczach wszystkich kobiet.

Piąty tydzień, układ nerwowy zaczął się już tworzyć, uczyliśmy się tego jesienią na biologii.

Na Boga, zaraz zemdleję.

Nie mdleje, ale lekko się zatacza, idąc obok Sofii do wyjścia. Sofia łapie ją, podtrzymuje i mówi, że z pewnością znajdą jakieś rozwiązanie.

Razem. – Wolalabym, żebyś ty była tatą, a nie Filip –

deklaruje Mirja, kiedy przeszły mniej więcej połowę drogi między oddziałem ginekologicznym w Serafen a kawiarnią.

Sofia staje jak wryta, bieleje na twarzy.

Mirja staje jak wryta, czerwienieje na twarzy.

– Przepraszam, nie chciałam...

– Wiem.

Kłopotliwe milczenie.

– Mimo wszystko miło mi – odzywa się Sofia.

– Naprawdę?

– Tak. W pewnym sensie.

Idą dalej, nic nie mówiąc, ich ręce kołyszą się niebezpiecznie blisko siebie. Co by się stało, gdyby... ?

Ale nic się nie dzieje, docierają do kawiarni, otwierają i wchodzą do środka.

– Pomyślałam, że dzisiaj mogłabym wywiesić zdjęcia. – Sofia kładzie swoje portfolio na jednym ze stolików.

Mirja kiwa głową, zerka na ręce i barki Sofii.

– Rzucę też okiem na wentylator. – Sofia spogląda na sufit. – Może da się go naprawić.

Mirja myśli, że czymś takim zajmują się tatusiowie.

Idą do kuchni, nastawiają kawę, szykują kanapki i wystawiają słodkie pieczywo. Jest wpół do dziesiątej, mają pół godziny do otwarcia. Viktor i Rosa nadal są w szpitalu, Mirii przyda się każda pomoc.

Sofia rozwiesza fotografie, potem zdejmuje szpilki i wchodzi na drabinkę, żeby poszukać przyczyny awarii wentylatora.

M Mirja przytrzymuje drabinkę i spogląda w górę. Pod spódnicą Sofii dostrzega białe majtki w niebieskie kwiatuszki, a z tych majtek wychyla się kawałek jednego jądra.

Wisi, można powiedzieć, na skos.

Sofia nie słyszy sapania Mirii, jest całkowicie zaabsorbowana i zdumiona swoim odkryciem, że ktoś przeciął parę przewodów.

– Wygląda na to, że ktoś zepsuł go celowo – mówi, schodząc na dół.

Mirja ma rozbiegane oczy i płonące policzki.

– Celowo?

Sofia kiwa głową, pokazuje i wyjaśnia. Mirja wydobywa z siebie, że to dziwne i że muszą już otwierać, bo zrobiło się dziesięć po.

Otwiera, myśląc o mosznie Sofii.

Chwilę później brzęczyk, wchodzi Bea. Zajmuje pośpiesznie swój stolik, przewiesza kurtkę na oparciu krzesła, zamawia to samo śniadanie co zawsze i siada z powrotem przy stoliku.

Pierwszy łyk kawy, odchyła się na krzesło i przygląda zdjęciom, obserwowana przez Sofię, która nadal chciałaby ją sfotografować.

To przecież ja, myśli Bea o zdjęciu *Arona, 17, rybaka*, z zajęczą wargą.

I tam też, myśli o zdjęciu *Olgi, 23, tancerki*, która na czubkach palców napina każdy najdrobniejszy mięsień i kryje twarz w dłoniach.

I tam, myśli o *Williamie, 5, czegoś chce*, który spogląda na swojego tatę, podczas gdy ten patrzy w innym kierunku.

. I tam, myśli o *Sigrid, 89, byłej nauczycielce nauczania początkowego*, która siedzi na kanapie i wygląda przez okno najsamotniejszym ze spojrzeń – nie wyszła za męża, nie ma dzieci, wnuków, nikt jej nie wspomni, kiedy umrze, nie położy kwiatów na jej grobie, nie pomodli się za jej duszę.

Mirja przynosi śniadanie.

– Smacznego.

Bea wpatruje się w Sigrid, myśli, że to ją właśnie czeka, będzie siedziała na kanapie, żałując wszystkich szans, których nie wykorzystała, wszystkich marzeń, które zabiła, zanim w ogóle doszły do głosu. Jest obłędnie przerażona. Chciałaby, żeby po jej śmierci ktoś uronił łzę, wpisał się do księgi kondolencyjnej.

Zapomina o śniadaniu, przypatruje się światu za szybą i zastanawia się, czy można zmienić swoje przeznaczenie.

Mając szesnaście lat, Bea uznała, że jej los był przesądzony i mieścił w sobie zarówno śmierć mamy, alkoholizm taty, jak i własny wybór zawodu. Była po prostu predestynowana, by zostać samotną złodziejką, bez mamy i do pewnego stopnia też bez taty.

Tak, to Bóg wytyczył jej tę drogę. Dlaczego? No cóż, pewnie dlatego, że potrzebny był ktoś taki jak ona, żeby szczęście i praworządność innych stały się wyraźniejsze.

Gdyby nie nadała tego pozornego sensu swojej bezsensownej egzystencji, przypuszczalnie zabiłaby się dawno temu.

Wybrałaby oczywiście tabletki, położyłaby się do łóżka i zasnęła ukołysana głosem mamy. Niemal się na to cieszyła.

* * *

Popołudnie spędza w jednym z antykwariatów, którego od dawna jest klientką.

Kraży między półkami poszczególnych działów, przeciąga ręką po grzbietach książek, wyjmując od czasu do czasu jakiś tytuł, ocenia go zarówno na podstawie wyglądu, jak i treści, przysiadając może na którymś ze stołków udostępnionych klientom i czyta kilka linijek, niekiedy kilka stron.

Nigdy nic tutaj nie ukradła, nawet nie przyszło jej to do głowy, jakby złodziej w niej został wygnany czy raczej znalazł swój azyl.

Nie tu, Bea. Tutaj nie musisz polować ani nienawidzić.

– Znalazła pani coś?

Właściciel antykwariatu, niejaki Gustaf Hamberg (w młodości napisał tak zwaną powieść rozwojową – młody człowiek przechodzi kryzys, sprzeciwia się konwencjom, podąża za swoimi marzeniami i odnajduje siebie – której nie odważył się wysłać do żadnego wydawnictwa, czego do dziś nie może przeboleć), zerka na nią przez poplamione okulary do czytania.

– Woolf i Nordenflycht.

Bea pokazuje książki, myśląc, że antykwariusz jest uroczy w swoim szarym kraciastym garniturze i z siwym wąsem morsa.

– O! Okres feministyczny?

Zaliczyła po kolei Science Fiction, Klasyków, Medycynę Szkolną, Zioła i Medycynę Alternatywną, Religię i New Age, Psychologię, a ostatnio Filozofię.

– Może.

– Czytała pani Safonę?

Gustaf lubi tę czarnooką młodą kobietę, która przychodzi tu co jakiś czas i niemal zawsze kupuje naręczę najlepszych książek. Lubi jej podejście do książek, jak ich dotyka i jak je czyta. Z respektem i szacunkiem, a zarazem z dużą dozą ciekawości.

– Dawno temu.

Starożytność, wyspa Lesbos, uznana pisarka w otoczeniu młodych adeptek, skandal wybuchłby też dziś.

– Mam mały zbiorek, pokazać go pani?

Bea kiwa głową i antykwariusz znika, wraca po chwili i demonstruje jej cieniutki tomik, który dostał wczoraj z całą masą innych książek po zmarłym profesorze literatury, bo spadkobiercy najwyraźniej ich nie chcieli.

– Z pięćdziesiątego czwartego. – Przysuwa sobie stołek i siada koło niej. – Strony są ładnie rozcięte.

Pozwala, żeby przesunęła palcem po lekko poszarpanych brzegach. Bea pamięta, że w domu u babci i dziadka znajdowały się niemal wyłącznie tak wydrukowane książki, że trzeba było rozcinać strony. Od razu rzucało się w oczy, jakie książki nigdy nie zostały przeczytane.

Zawsze było jej żal pisarzy kryjących się za tymi myślami, których nie przeczytano. Czasami, kiedy nie miała co robić, kładła się i płakała z ich powodu.

– Zachwyca mnie krój czcionki – mówi Gustaf. – Proszę spojrzeć.

Bea patrzy i przez chwilę rozmawiają o kroju czcionki, o Safonie, ogólnie o literaturze, szczegółowo o jakości i na krótko Bea przypomina sobie, czym jest szczęście.

* * *

Kiedy Sofia widzi swojego brata nadchodzącego chodnikiem, otwiera drzwi i wybiega mu na spotkanie.

– Simon! – woła. – Ach, jak się cieszę, że cię widzę!

W nocy nie mogła zasnąć, wyobrażała sobie ich rozmowę, pojednanie, ulgę.

Simon obejmuje ją niezdarnie, nie wie, w którą stronę ma patrzeć, żeby nie widzieć kobiecego stroju, sztucznych piersi i makijażu. A i tak Sofia świadomie była dzisiaj dyskretna. Granatowe spodnie, czarny T-shirt z długim rękawem, miseczka A, buty na płaskim obcasie, własne ciemne włosy do szyi nieprzykryte długą blond peruką, odrobina mascary, żadnej biżuterii.

Z daleka wygląda prawie jak mężczyzna.

– Aha, czyli tutaj mieszkasz?

Simon koncentruje się na mieszkaniu, uważa, że jest trochę za spartańskie, żeby można było w nim mieszkać.

– Ładnie – mówi. – Jak ci się wiedzie?

Sofia nastawia kawę, szykuje drożdżówki, ciastka i inne łakocie, które Mirja podesłała z kawiarni.

– Dobrze. – Nalewa kawę do kubków. – Mam wystawę w kawiarni w pobliżu, a parę gazet wykazało zainteresowanie zdjęciami, które im posłałam.

Kłamstwo, ale Sofia nie chce uchodzić za większego nieudacznika, niż w jego mniemaniu pewnie jest.

– Moje gratulacje – mówi Simon, czując, jak pali go podniebienie od gorącej kawy.

– Dziękuję.

Na tym tematy do rozmowy zdają się wyczerpane, bo oboje nie mają ochoty na niezobowiązującą pogawędkę ani siły na podjęcie spraw, o których myślą.

Co ja właściwie tutaj robię? – myśli Simon, sięgając po drożdżówkę, której nie chce. Mój brat mieszka w zapuszczonej suterenie, przebiera się za kobietę, odwraca plecami do swojego życia, zdradza swoją rodzinę i szydzi z Boga. Na co liczę? Że zrozumiem? Że uda mi się go przekonać, zabrać do domu i oddać mamie i tacie jak syna marnotrawnego we współczesnej wersji?

– Nie mogę za długo zostać, za godzinę mam pociąg.

Sofia markotnieje, bez problemu mógłby pojechać późniejszym pociągiem, skoro już tu przyszedł.

– Jak dzieci?

Dzieci. Oskar pyta, czy też będzie chował siusiaka, jak będzie duży, a Isabel płacze, kiedy pomyśli o swoim dziwnym wujku.

– Dobrze.

– A mama z tatą?

Wściekli i zrozpaczeni, mama już nawet nie chce o nim słyszeć, a tata co wieczór idzie do kościoła i modli się niemal do utraty głosu.

– Nie wiem, Stefan, ja...

– Sofia!

Błyskawicznie, jak prawy prosty.

Simon z trzaskiem odstawia filiżankę i patrzy bratu prosto w oczy, pierwszy raz, odkąd tu przyszedł.

– Pamiętasz, jak zbudowaliśmy szałas w lesie? – pyta.

Sofia kiwa głową, zastanawia się, do czego Simon zmierza.

– Czytaliśmy w tym szałasie książki przy latarkach, ty czytałeś mi czasami na głos.

Sofia była lepsza od niego w głośnym czytaniu, Simon robił to byle jak, nie umiał wprowadzić dramaturgii.

– Wybierałeś zawsze książki o Nancy Drew, mówiłeś, że są ciekawe, ale ja wiedziałem, że to nie był prawdziwy powód.

Sofia patrzy na niego zdziwiona.

– Chciałeś być Nancy, prawda?

Sofia potakuje głową, zdumiona, że się domyślił, ale nic po sobie nie pokazał, tylko milczał i trzymał to w tajemnicy, dokładnie tak samo jak ona przez wszystkie te lata.

– Modliłem się do Boga, żeby to z ciebie wyrugował.

– Przestań.

– Chciałem cię uratować.

– Przestań!

– To do niczego nie prowadzi.

Simon wstaje. Ma ochotę kogoś uderzyć. Może siebie. Może Stefana.

– A do czego, twoim zdaniem, miałyby prowadzić? – mówi ostro Sofia. – Że nagle poczuję się mężczyzną? Przeprowadzę się z powrotem do domu, ożenię się, spłodzę dzieci, podejmę pracę w zborze i wyklnę wszystkich, którzy nie pasują do schematu, zmuszę ich, żeby zwymiotowali demony?

– Dalej, Stefan, musisz zwymiotować szatańskie demony!

Ogniście czerwona twarz pastora na wysokości jej twarzy, szeroko otwarte oczy i spocone ręce, ściskające ją za ramiona z taką siłą, że aż bolało.

Dookoła członkowie zboru, którzy modlili się i śpiewali, mówili językami, krzyczeli, niektórzy padali krzyżem i dostawali drgawek, jakby mieli epilepsję.

Zaszlochała trochę dla efektu, zobaczyła mamę i tatę w tłumie, dostrzegła Simona, wyciągnęła ku nim ręce, ale nie przyszli jej z pomocą, a pastor znowu kazał jej wymiotować.

– Nie mogę – wymamrotała.

– Musisz się oczyścić, musisz wyzwolić się ode złego, jesteś dzieckiem grzechu, jesteś...

... plamą, którą trzeba zetrzeć, muchą, która przenosi zarazę, poczwara, która ma umrzeć i zmartwychwstać dnia trzeciego pod postacią tchórza z kutasem.

Nie jestem tchórzem, myślała Sofia, spluwając flegmą na zniszczony parkiet sali zebrania.

Jestem kobietą. Wyjdę stąd i nigdy nie wrócę.

Ale nie wyszła, stała tam dalej i wymiotowała najlepiej, jak potrafiła. Długo potem trwało, zanim znowu odważyła się pokazać swoje prawdziwe ja, ale wtedy zrobiła to z hukiem i wyprowadziła się, czy raczej uciekła.

– Nikt nie miał złych intencji, to było dla twojego dobra – mówi Simon, który nie chce pamiętać.

Sofia wpatruje się w niego, nie wie, czy ma się śmiać czy płakać.

– Muszę już iść.

Simon odwraca się i wychodzi z mieszkania. Właściwie chciałby zostać, przenocować, przegadać całą noc, jak wtedy, gdy byli mali, ale musi się opowiedzieć po którejś stronie.

Pierdolony asekurant z wypranym mózgiem, myśli Sofia, która nie ruszyła się z kanapy, i rozdrabnia wszystkie ciastka i drożdżówki.

W pociągu Simon modli się tak głośno i żarliwie za duszę Stefana, że współpasażerowie zerkają na niego ze zdziwieniem i próbują zgadnąć, do jakiej sekty należy.

– Amen.

Rodzice czekają na niego na peronie. Simon kręci głową. Nie poszło po jego myśli. Rodziców ogarnia rozpacz, zwracają się ku niebu.

– Dlaczego wystawiasz nas, Panie, na taką próbę?

Ale Bóg milczy, a oni w głębi ducha wiedzą, że nie ma żadnych demonów, tylko nie zgadzają się tego zaakceptować, bo zwyczajnie nie chcą, żeby Stefan umarł, żeby zastąpiła go Sofia, której w ogóle nie znają i której poznaniem nie są też zainteresowani. Bo to oczywiście nie jest łatwo usłyszeć od swojego syna, że zamierza obciąć sobie członka, mieć pochwę, nałykać się estrogenu, dostać piersi, przybrać imię Sofia, *proszę, zapomnijcie, że kiedykolwiek byłam chłopcem*.

Jak zapomnieć tego szczupłego, drobnego chłopca? – myśli matka, przeglądając stare rodzinne albumy, chociaż obiecała sobie, że wyprze to ze świadomości.

Wszystko, o co proszę, to cud, myśli ojciec, klęcząc przed ołtarzem w kościele i modląc się, aż zawodzi go głos.

Czy mam jeszcze rodzeństwo? – myśli Simon, który osunął się na kanapę przed telewizorem i wpatruje się w zgaszony ekran.

Sofia bierze prysznic i wyje w ciemności.

* * *

Bea idzie szybkim, zdecydowanym krokiem od stacji metra, z rękami w kieszeniach kurtki, gdzie spoczywa między innymi świeżo ukradziony portfel, który jakiś lekkomyślny mężczyzna miał w tylnej kieszeni dżinsów.

Poza tym z dyscypliną pracy było kiepsko w ostatnim czasie, nie zaplanowała ani nie przeprowadziła żadnego skoku, co jest głupotą, wzięwszy pod uwagę, że nadal trwa okres wakacyjny. Domy, mieszkania i biura stoją puste, a włamanie się do nich stanowi najczęściej dziecinną igraszkę. Nie skorzystać z takiej okazji to jak odrzucić sowitą premię. Nie jest bynajmniej bez grosza przy duszy, gdyby chciała, mogłaby absolutnie nic nie robić przez jakieś dwa, trzy lata i mimo to żyć na przyzwoitym poziomie, ale nicnierobienie nie leży w jej naturze, poza tym tylko w kradzieżach znajduje ujście jej złość.

I nienawiść.

I smutek.

I wszelka niezaspokojona tęsknota.

Skreca na Stora Nygatan, dochodzi do uliczki, wstukuje kod, wbiega po schodach i wchodzi do poczekalni, gdzie siada na krześle, które uznała za swoje.

Zamyka oczy i skupia się na czekającym ją zadaniu.

Zerwać z kimś, kto nawet nie wiedział, że się z tobą związał. Porzucić marzenie o tym, by poczuć jego ciało przy swoim.

Może to ostatnie marzenie, które porzuci, może pozostanie jej tylko szereg długich lat, których treścią nie będzie nic więcej poza kradzieżami, punktowanymi listami i jedną czy drugą nocą w towarzystwie wibratora albo rowerowego siodełka & filmu porno w TV 1000/Canal+.

– Pani Katalin?

Biały lekarski kitel odcinający się od opalenizny, idealna sylwetka, dłonie, o których marzyła. Przebiegają ją dreszcze, podnosi się, wchodzi do gabinetu, siada na krześle i prezentuje historię, którą wymyśliła.

Znowu bóle żołądka, przez długi czas była narażona na stres, czy to może być nieżyt?

Jack słucha, ale kiedy Bea milknie, dociera do niego, że nie usłyszał ani jednego słowa. Mimo to każe położyć się jej na kozetce. Bea wykonuje polecenie i podciąga sweter, odsłaniając brzuch. Aha, czyli coś z brzuchem.

Jack rozpoczyna palpację, ale nie ma pojęcia, czego szukać ani co ma począć teraz ze swoim życiem, kiedy zniknęła z niego Evelyn.

– Aj!

Spogląda w dół na swoje ręce i odkrywa, że uciska przeponę pacjentki tak mocno, że ta ledwo oddycha.

– Przepraszam.

Zabiera ręce i stara się wymyślić jakieś usprawiedliwienie, ale stoi tylko w milczeniu ze spuszczonego wzrokiem.

– Nie czuję się dobrze – mówi w końcu. – Przepraszam, ale na dzisiaj muszę zamknąć gabinet.

Bea obciąga sweter, siada na brzegu kozetki. Jest zawiedziona. Nie tak wyobrażała sobie ich ostatnie spotkanie.

– Coś się stało?

Wprawdzie nie powinno jej to obchodzić, ale chce wykraść dla siebie chociaż krótką chwilę bliskości.

– Ech, ja...

Jack siada na kozetce, chce się położyć, zasnąć i już się nie obudzić.

– Jestem taki zmęczony – mówi, bo nie ma dłużej siły nosić maski, nie ma dłużej siły być panem doktorem, wolałby zostać pacjentem.

Bea myśli o Evelyn, myśli, że coś musiało się stać, chciałaby zapytać, ale wtedy ujawniłaby, co wie.

– Chaos?

Drżą mu ręce. Kiwa głową.

– Pustka?

Bea kładzie swoją prawą rękę na jego lewej. Jack znowu kiwa głową.

– Poczucie, że nic nie jest rzeczywiste?

Jack opowiada, że idąc, nie czuje już ziemi pod nogami, że może dotykać rzeczy i nie czuje, że ich dotyka.

– Ukłułem się nawet igłą, ale i wtedy nic nie poczułem, chociaż ukłułem się do krwi.

– To przejdzie – zapewnia Bea. – Miałam to samo.

– Albo popadnę w psychozę.

– Pan nie.

– Dlaczego ja nie?

– Bo pan jest taki rzeczywisty. Taki autentyczny.

Jack śmieje się, ona najwyraźniej go nie zna, nikt go nie zna, on sam siebie też nie, ma wrażenie, jakby powoli zanikał.

– Chyba już pójdę.

Jack nie wypuszcza jej ręki z uścisku.

– Mam zostać?

Jack nie odpowiada. Bea nie wie, co ma zrobić, i w końcu robi to, czego najbardziej pragnie. Dotyka Tak, dotyka jego twarzy, a on się wcale nie odsuwa. Całuje go, a on pozwala. Bea sama nie wie, co się dzieje, ale przejmuje inicjatywę, bo Jack nie wydaje się do tego zdolny.

Zamyka drzwi na klucz, opuszcza żaluzje, zapala lampkę na biurku, gasi górne światło i rozbiera się przed nim do naga, pozwala, by się jej przyjrzał.

Jack patrzy zmęczony, ciało reaguje, ale duch nie, czy jest już martwy?

Bea rozbiera go, siada na brzegu kozetki i przyciąga go do siebie. Czuje, jak w nią wchodzi, i musi włożyć rękę do ust, ugryźć się, żeby nie krzyknąć z rozkoszy.

Po wszystkim Jack przez chwilę płacze. Bea leży nieruchomo, obejmując go.

– Dziś wieczorem?

Jack podaje jej swój domowy adres, który Bea już zna, i kod do bramy, żeby nie musiała się

włamywać.

Bea ubiera się, pomaga Jackowi posprzątać, całuje go i wychodzi przez poczekalnię, gdzie siedzi dwóch pacjentów, z których jeden łypie na nią oskarżycielskim wzrokiem (przygłuchy, zły, że zaanektowała doktora na co najmniej pół godziny), a drugi (o wyśmienitym słuchu) patrzy na nią rozbawiony.

Jack stoi przez chwilę nieruchomo na środku gabinetu i myśli, że Bea była jak wygłodniałe zwierzę, że jest ładna, ale to nie Evelyn.

Znalazłszy się na klatce schodowej, Bea zatrzymuje się i opiera czoło o ścianę. Za dużo szczęścia, przerasta ją, nie ma siły go unieść.

Schodzi dalej na dół, chwiejnym krokiem opuszcza bramę. Jest wyczerpana i uszczęśliwiona. Kręci głową, śmieje się do siebie, nie wie, dokąd pójść.

Wychodzi z uliczki na Vasterlanggatan. Obolałe podbrzusze pulsuje, a Bea uśmiecha się do ludzi i napotyka spojrzenia, przed którymi zwykle uciekała.

Widzicie, myśli, należę do tych, co kochają, znowu należę do żywych.

Mans widzi ją i myśli: uśmiecha się do mnie, dostrzegła mnie.

Wstaje, żeby wyjść jej na spotkanie, ale ona skręca w inną stronę i idzie tak rażnym, lekkim krokiem, że nie ma mowy o tym, by ją dogonił. W końcu traci ją z oczu.

Zatrzymuje się, przeklina swoje nogi, wraca do gitary i odkrywa, że dwóch łebków kradnie monety i banknoty z futerału. Krzyczy na nich, żeby się wynosili, ale uśmiechają się tylko szyderczo i grzebią dalej. Mans rusza biegiem i przewraca się. Leży na ziemi, ale nikt nie pomaga mu wstać.

Ręce obejmują kurczowo umywalkę, z ust zwiesza się nitka śliny, rano zrobił pod siebie, rozwolnienie nie ustępuje, może to resztki guza chcą jak najszybciej opuścić ciało.

Jeśli tak, to dobrze, myśli Viktor, obmywając twarz zimną wodą; jedną ręką, bo druga pomaga mu stać. Jest taki słaby, że to aż śmieszne. Traci kilogramy w zastraszającym tempie, a już po pierwszej chemii zaczęły wypadać mu włosy.

Będzie chudy i łysy, a nie gruby i owłosiony. Może umrze. Rak może wrócić. Ciągłe o tym myśli, chociaż próbuje przestać, bo boi się, że jak będzie myślał o raku, to go przywoła.

Osuwa się na klozet i oddaje jeszcze trochę stolca, ma wrażenie, jakby za stolcem podążały wnętrzności. Chciałby, żeby Rosa była przy nim.

Rosa śpi w jego łóżku, wyczerpana po kolejnej nocy czuwania. Mówi, że nie może spać wtedy, kiedy on, bo musi nasłuchiwać jego oddechu.

Jutro wychodzi do domu, lekarze uważają, że ma dość siły, on uważa, że po prostu chcą dać jego łóżko komuś innemu. Wymiotuje na podłogę między nogami. Plama kwaśnej żółci. Leczenie będzie trwało dwa miesiące, średnio dwa razy w tygodniu, potem zostanie dokonana ocena.

Tak jakby dało się ocenić, jakie to uczucie znaleźć się na samym koniuszku egzystencji.

Stoi tam, pozbawiony skrzydeł, z wiatrem wiejącym w plecy i przygląda się swojemu życiu. Nie okazuje się całkiem nieskazitelne, popełnił wiele błędów, dopuszczał się wiarołomstwa i pomówień, sporo nakłamał, celowo ranił i ośmieszał oraz ukradł innemu mężczyźnie kobietę.

Ale tę właśnie kobietę i dzieci, które z nią ma, kocha tak bardzo, że powinno to zniwelować zło, jakie wyrządził.

Jak poznał Rosę?

Miał dwadzieścia dwa lata i włóczył się po świecie, zagubiony jak mało kto. Marzył o zostaniu korespondentem zagranicznym Szwedzkiego Radia, ale nie miał absolutnie żadnych uzdolnień w tym kierunku, do czego przed sobą samym długo nie chciał się przyznać. Przyjechał do Somalii, kiedy ziemia była tam sucha jak pieprz, a najmniejsza muszka przenosiła cholere. Planował zostać tydzień lub dwa. Zrobiły się dwa lata. Tyle czasu zajęło mu przekonanie Rosy (studiowała prawo na uniwersytecie i była zaręczona z matematykiem, który przypadł do serca całemu jej klanowi), że są dla siebie stworzeni.

Nagrywał z nią długie fikcyjne wywiady na swój mały kieszonkowy magnetofon, opowiadał, że wysłało go właśnie Szwedzkie Radio, zlecając przygotowanie dokumentu o życiu somalijskich studentów.

Ustalił, kim byli jej najbliżsi przyjaciele, przeprowadził wywiady również z nimi, pokazywał się od najlepszej strony i szybko został zaproszony do towarzystwa.

Wykorzystywał swoją egzotykę, śpiewał piosenki Everta Taubego i zalecał się do Rosy jak James Bond.

To wystarczyło, żeby matematyk uznał się za pokonanego.

Prawdziwie romantyczna historia, tak patrząc wstecz, myśli Viktor i podciera się, co zajmuje nieskończenie dużo czasu.

Podnosi się, spuszcza wodę, myje ręce i przepłukuje usta, bo są wyschnięte i śmierdzą. Idzie niepewnie do drzwi, odsuwa zasuwkę i wraca do Rosy, która nadal śpi.

Chociaż łóżko jest bardzo wąskie, kładzie się za nią, obejmuje jej ogromne ciało i węża włoski na karku.

Przebudzenie z jego oddechem tuż z tyłu to najlepsza rzecz, jaką zna.

Z wyjątkiem jedzenia oczywiście.

Zsuwa się z łóżka, ostrożnie, żeby go nie obudzić, wkłada buty i pędzi do kafeterii, gdzie zamawia kawę i dużą bagietkę z serem.

Najedzona, ale nie uszczęśliwiona, dzwoni z automatu, żeby dowiedzieć się, jak radzi sobie Mirja. Zajęte. Odkłada słuchawkę i zapomina zadzwonić ponownie, bo pora na to, co ją uszczęśliwi, przynajmniej w tej chwili, a mianowicie na deser.

Decyduje się na arakową kulkę oraz kokosanę, bo nie jest w stanie odrzucić jednej bądź drugiej. Po zjedzeniu siedzi przez długą chwilę bez ruchu, tylko oddychając i próbując poskromić swój wysoki cholesterol.

– A wieczorem?

Filip chce się pieprzyć, jest tak napalony, że przeleciałby nawet kota, poza tym jest tak wkurwiony, że mógłby zabić niemal każdego, w tym i siebie.

– Jestem umówiona z koleżanką – mówi Mirja, patrząc na Sofię przygnębioną po wizycie Simona.

– Z którą?

– Ma na imię Sofia. Nie znasz jej. Fajna kumpela.

– Co będziecie robić?

Jest zazdrosny. Chce ją mieć dla siebie, a nie dzielić z jakąś nieznaną przyjaciółką.

– Jeszcze nie wiemy. Może wypożyczymy jakiś film.

– Mogę przyjść później.

– Muszę się wcześniej położyć. Sama zajmuję się teraz kawiarnią.

Pierdolona dziwka, jest przecież, kurwa, jego dziewczyną, powinna być do dyspozycji!

– A jutro?

– Może. Zobaczymy.

Filip okręca kabel od słuchawki na przegubie dłoni, zastanawiając się, jak mocno trzeba zaciągnąć, żeby zastopować przepływ krwi.

– Kocham cię.

Czasami wierzy, że naprawdę ją kocha, czasami w ogóle nie wierzy w miłość.

– Ja ciebie też – mówi Mirja i odkłada słuchawkę. Również ona owinęła sobie kabel wokół przegubu dłoni, nie wie właściwie dlaczego, ale zawsze tak robi, kiedy rozmawiają przez telefon.

– Dlaczego z nim nie zerwiesz? – pyta Sofia. Instynktownie czuje antypatię do Filipa, chociaż nigdy go nie spotkała.

– Lubię go – wyjaśnia Mirja. – W pewien sposób. Jest słodki i w ogóle. W każdym razie czasami.

– W pewien sposób. W każdym razie. Nie brzmi to zbyt przekonująco.

– Jest ojcem dziecka.

– Nawet nie wiesz, czy chcesz je mieć. A tym bardziej z nim.

Mirja milczy, nie wie, czego chce, chciałaby się schować, zapomnieć i ocknąć, nie mając żadnej decyzji do podjęcia.

– Nie mogłabyś ty zadecydować za mnie?

– Nie.

Sofia chce dotknąć Mirii. Mirja chce dotknąć Sofii. Żadna się nie rusza.

– Musisz powiedzieć rodzicom.

Sofia sama słyszy, że wbrew jej intencjom brzmi to jak moralizowanie.

– Nie chcę.

Jakby mówiła nadąsana pięciolatka – nie chcę nie chcę nie chcę.

- I tak się dowiedzą.
- Nie, jeśli nie doniesiesz.
- Dlaczego miałabym donosić?
- Bo najwyraźniej uważasz, że ja sama nie wiem, co jest dla mnie najlepsze.
- Kiedy coś takiego powiedziałam?
- Nie powiedziałaś, ale wiem, że tak myślisz.
- Skąd ty możesz wiedzieć, co ja myślę? Znowu milczą. Powietrze jest naelektryzowane.
- Mirja, musisz...

Mirii przepala się bezpiecznik.

- Stul pysk, skurwysynu! – wrzeszczy i zrzuca szklankę ze zlewozmywaka.

Mierzą się wzrokiem. Przez długą chwilę. W milczeniu.

Rozbite szkło błyszczy na podłodze między nimi, wycina przepaść.

- Mam cię gdzieś – mówi w końcu Sofia i idzie do wyjścia.

- Stefan! – krzyczy za nią Mirja. – Stefan, Stefan, Stefan!

Sofia z całej siły trzaska drzwiami. Brzęczą szyby, potem zapada cisza jak makiem zasiał. Sofia nic nie rozumie.

Mirja też nic nie rozumie. Kocha przecież Sofię. Zawiesza tabliczkę „Zamknięte” i dzwoni do Filipa, informując, że jej plany uległy zmianie.

Przychodzi codziennie ze swoim wygłodniałym ciałem, rozbiera się, jak tylko przekroczy próg, i domaga się, by wziął ją na wycieracze, aż dostanie otarć, przy ścianie, aż zdrapie tapety, w łazience, gdzie stoi z szeroko rozstawionymi nogami i małymi, ale jędrnymi piersiami kołyszącymi się nad umywalką, na stole w kuchni, na kanapie i w łóżku, a jeśli znajdują się w gabinecie, dokąd przychodzi czasami w porze lunchu, robią to na biurku, na kozetce i na podłodze, a zanim wyjdzie, chce zawsze posłuchać bicia jego serca przez stetoskop.

Jack prawie nic o niej nie wie, zresztą nie jest ciekaw. Bea pełni rolę ładnej, tłumiącej strach pigułki, potrafi leżeć i godzinami słuchać o tym wszystkim, o czym dotąd nikomu nie opowiadał.

O bólu i pustce po Evelyn. O idealnej fasadzie, która nigdy nie była niczym więcej jak właśnie fasadą. O rodzicach, którzy nie widzieli w nim nic więcej, jak tylko przedłużenie własnego Udanego Życia. Jaki czuje się samotny mimo notesu pełnego telefonów. O uczuciu spadania, które coraz częściej pojawia się w dołku.

Bea słucha, obejmuje go i myśli, że to jak sen, kiedy tak całkowicie odsłania przed nią żywe ciało, kiedy darzy ją tak bezgranicznym zaufaniem.

Jack ją kocha, ona już to wie, po prostu jeszcze tego nie powiedział. Evelyn to przeszłość, wyrzucił wszystkie jej zdjęcia, powiedział, że chce się ich pozbyć na dobre, żeby nie przypominały mu o tej chorobliwej obsesji, w jaką popadł, a która w rzeczywistości była chyba tylko wołaniem o pomoc.

Bea z chęcią go uratuje i w ten sposób zostanie przez niego uratowana. Są dla siebie kołami

ratunkowymi, teraz już nic się nie zawali. Sprzątnął wszystkie zdjęcia Evelyn, włożył je do kartonu i wyniósł na strych. Owszem, miał zamiar je wyrzucić, ale nie dał rady.

Był na strychu i grzebał we wspomnieniach już trzy razy. Od spotkania w stołówce nie miał od niej znaku życia. Czy czasami o nim myśli?

Stara się tego nie robić, ale za każdym razem, kiedy kocha się z Patrikiem, stwierdza, że z Jackiem było lepiej, miał zręczniejsze dłonie, i że czegoś brakuje, kiedy mija kolejny dzień bez jego telefonów, kwiatów i listów, tej ciągłej obecności jego tęsknoty.

– Odwróć się.

Głos ma ochrypliwy, Bea bierze to za wyraz namiętności i posłusznie odwraca się plecami na chłodnej podłodze gabinetu, na której leżała rozłożona, czekając na więcej.

– Wypnij się.

Wypina tyłek, Jack chwyta ją za biodra i wchodzi w nią, myśli o Evelyn, stęka z rozkoszy.

– Boże, ale jesteś piękna – mamrocze, całując ją w szyję.

– Kocham cię. – Bea odwraca głowę i patrzy na niego.

Jack nic nie mówi, nie wie, czy ma się roześmiać czy rozplakać.

Bea myśli, że Jack potrzebuje czasu na wylizanie starych ran, nim będzie mógł powiedzieć to samo.

Jack głaszcze ją po włosach i nie może zaprzeczyć, że ją lubi, co zdecydowanie utrudnia powiedzenie „dziękuję”, ale „nie, dziękuję” dla jej miłości.

– Wieczorem czy jutro koło lunchu? – pyta Bea, ubierając się.

Powinien to teraz powiedzieć, że nigdy nie będzie między nimi nic więcej poza seksem, ale nie mówi, potrzebuje jej jeszcze przez jakiś czas.

– Wieczorem będzie okej. – Nie jest w stanie znieść myśli, że ma siedzieć w pustym mieszkaniu.

Bea całuje go i wychodzi. W poczekalni dostrzega Mansa. Wita go radośnie i zatrzymuje się, żeby chwilę porozmawiać.

– Słuchałam tej kasety. Jest naprawdę dobra.

Mans napotyka jej spojrzenie i wie, że ona kłamie, wie, że jest cudowna, wie, że pieprzy się z lekarzem, to oczywiste.

– Dziękuję – mówi.

– Mam na imię Bea.

– Mans.

Podają sobie ręce. Bea jest miękka i ciepła, Mans się czerwieni.

– Może się jeszcze spotkamy. – Bea uśmiecha się ponownie, a potem znika za drzwiami z głową zaprzątniętą Jackiem, tylko Jackiem.

Mans napisał piosenkę pod tytułem *Bezimienna*, o niej, dla niej.

Odkąd ponownie zaczęła się pojawiać, poszedł za nią kilka razy w uliczkę, odnotował, że znikwała w bramie, w której znajdowała się praktyka lekarska, że w oknie na trzecim piętrze spuszczano żaluzje, i że po godzinie wychodziła z czerwonymi policzkami i potarganymi włosami. Zaraz potem z tej samej bramy wychodził stosunkowo młody i bardzo przystojny mężczyzna i rażnym krokiem szedł do pobliskiego lokalu, gdzie między innymi wertował egzemplarz „Medicin Today”. Mans dodał dwa do dwóch i teraz siedzi w poczekalni, żeby przyjrzeć się z bliska swojemu rywalowi. Właściwie nie wie dlaczego, ale należy do tych ludzi, którzy zamiast unikać rzeczy napawających ich strachem, odszukują je, żeby im się przyjrzeć.

– Mans Andren?

Mans wstaje. Jack wyciąga rękę na powitanie i prowadzi go do gabinetu.

Mans nie siada na wskazanym krześle, tylko mówi:

– Boli mnie prawe kolano.

Jack patrzy na nogi Mansa, myśląc, że wyglądają jak odwrócona różdżka.

– Proszę położyć się na kozetce, zbadam pana.

Mans podwija nogawki i kładzie się. Jack obmacuje kolana, pyta, czy to boli, czy ból jest ostry czy ćmiący, czy wcześniej miał identyczne problemy, czy wykonywał w ostatnim czasie jakieś nietypowe ruchy, czy zmienił obuwie i tym podobne.

Mans odpowiada szorstko i ogólnikowo. Przygląda się perfekcyjnemu ciału Jacka i uświadamia sobie, że nie ma żadnych szans.

Wychodzi z gabinetu, mając w rękę receptę na maść przeciwzapalną i skierowanie do specjalisty. Wyrzuca wszystko do najbliższego śmietnika i siada na chodniku, żeby dalej grać. Postanawia zapamiętać piosenkę o Bezimiennej, której imię teraz już zna.

Rosa znowu jest u steru i prowadzi kawiarnię żelazną ręką. Piecze ciastka, ciasta, drożdżówki i chleb, degustuje stanowczo za dużo i wywołuje jeszcze większy ferment. Szoruje i czyści, prasuje obrusy i fartuchy, negocjuje z hurtownikami, zabiera Mirię na duże zakupy i zastanawia się, dlaczego dziewczyna jest taka przygnębiona, pyta ją, ale otrzymuje wymijające odpowiedzi.

Pewnie coś z Filipem albo taki wiek, albo po prostu taki dzień.

Również dni Rosy są obecnie ponure, ale obiecała sobie być silna, aż Viktor dojdzie do siebie.

Większość czasu Viktor spędza w łóżku, słucha radia, patrzy przez okno, czyta książki o raku i o pozytywnym myśleniu, miota się między rozpaczą a nadzieją, gubi włosy przy każdym odwróceniu głowy, chudnie w zastraszającym tempie i nie poznaje samego siebie w lustrze.

Jutro znowu ma iść do szpitala na naświetlanie. Sama myśl, że ma wyjść z mieszkania do samochodu, pojechać do szpitala, na oddział, do kapsuły, z kapsuły, rozmawiać z lekarzem, który nigdy nic nie może obiecać, wrócić do samochodu, a potem przejść z samochodu z powrotem do mieszkania, odbiera mu siły. Jakby miał zdobyć Mount Everest bez tlenu, na co szaleńcy

wprawdzie się porywali, ale mając w perspektywie chwałę i zapisanie się w historii (czyli nieśmiertelność), a nie tylko nieprzynoszące splendoru zmaganie się z własną śmiertelnością.

Wszyscy, którzy przeżyją raka, powinni dostawać medal od króla, myśli Viktor i zmienia stację na P2, Sibelius, coś na smyczki.

Płacze, kiedy muzyka wypełnia pokój, płacze, że najdrobniejsza rzecz skłania go do płaczu, że nie ma siły walczyć, że jest tak pięknie, że tak bardzo boli, że nie wie, co ma zrobić ze swoim ciałem.

Rosa co jakiś czas przychodzi na górę z serdecznymi, uspokajającymi słowami, z herbatą lub zimnym napojem, raz przyniosła świeżo upieczoną drożdżówkę. Od jej zapachu Viktor dostał mdłości i poprosił, żeby ją zabrała.

– Nie wyjdę już z tego – powtarza ciągle.

– Wyjdiesz – zapewnia Rosa, przypominając sobie, że mówiła to samo przy wszystkich swoich czterech porodach.

– Nie, nie wyjdę.

Panika w głosie.

– Niedługo będzie po wszystkim, zobaczysz. – Głaszcze go po czole. – Nastąpi przesilenie i znowu poczujesz się lepiej.

Ona nic nie rozumie, Viktor chce ją uderzyć, ale nie ma nawet siły zepchnąć z czoła i policzków tej gładzącej ręki.

– Chce mi się spać – mamrocze, żeby się jej pozbyć.

– Tak, prześpij się – mówi Rosa z uśmiechem.

Wychodzi, a Viktor oddycha z ulgą. Ma ochotę wysadzić mieszkanie, kawiarnię, cały dom, dzielnicę i szpital z tymi niekompetentnymi lekarzami, którzy mówili, że musi się liczyć z lekkimi mdłościami.

Jeśli te są lekkie, to jak wyglądają ciężkie?

Siada na łóżku, jakby chciał pokazać, że nie brak mu energii do działania, ale zamiast wysadzić coś w powietrze, zagarnia szczotkę Rosy, leżącą na jej nocnym stoliku, i wyczesuje swoje rzadkie włosy, aż niemal nic z nich nie zostaje.

Włosy na szczotce, włosy w łóżku, włosy, które szydzą z niego i mówią, że śmierć nadejdzie, choćby walczył i uciekał, zbliża się z każdym dniem, z każdą godziną. Dlaczego nie poddać się już teraz?

Ciska szczotką przez pokój, zrzuca na podłogę swoją pokrytą włosami kołdrę, wsuwa się pod kołdrę Rosy i myśli, że powinien zadbać o swoją nieśmiertelność, zrobić coś, co przejdzie do historii, tylko pytanie co?

Napisać książkę, której nawet to zaganiane społeczeństwo, żyjące według zasady „zużyj & wyrzuć”, nie zdoła za kilka lat zapomnieć?

Namalować obraz na miarę *Mony Lizy* da Vinci? (Mirja może pozować, jest wystarczająco ładna, kwestia, czy jest wystarczająco zagadkowa).

Skomponować utwór, który za setki lat nadal będzie grany w wielkich salach koncertowych?
Zbudować zamek, świątynię, wieżę, której jedynym zadaniem będzie sięgnąć jak najbliżej nieba?

Stworzyć imperium, religię, system filozoficzny?

Wiktoryzm.

Viktor znaczy „zwycięstwo”, nie czuje się godny swojego imienia.

Dokonać samobójczego zamachu bombowego w sztokholmskim ratuszu podczas gali noblowskiej? Zniszczyć marzenia innych wyłącznie z zemsty, że jego samego pozbawiono marzeń?

Poddaje się. Czeką go ten sam los co większość ludzi. Ich nazwiska żyją tylko przez krótki czas po ich śmierci, a potem jest tak, jakby w ogóle nie istnieli.

Rosa schodzi na dół, akurat kiedy w kawiarni pojawia się Bea. Rosa zaczyna natychmiast szykować wodę z cytryną, kawę i dwa cantucci.

– Poproszę gorącą czekoladę – mówi Bea. – I szarlotkę.

Miłość fizyczna wyczerpuje, musi uzupełnić zapasy, poza tym jest tak szczęśliwa, że nie ma głowy do swoich męczących list.

– Słucham?

Rosa jest zaszokowana. Bea powtarza zamówienie i pyta o wystawę. Nie ubrała się całkiem na czarno, włożyła czerwony T-shirt i japonki, które kłapią o pięty. Wyskubała brwi i pomalowała oczy jasnoturkusowym cieniem i odrobiną mascary.

– Zdjęcia zrobił jeden z naszych stałych klientów... stała klientka. – Rosa przygląda się świeżo obciętem włosom Bei, z grzywką, która już nie spada na oczy. – Ma na imię Sofia.

Trans, myśli Bea, przypominając sobie jasne spojrzenie i elegancką sylwetkę Sofii.

– Można je kupić?

– Nie wiem – mówi Rosa, kojarząc, że Sofia się ostatnio nie pokazywała. – Ale mam telefon do niej, może pani zadzwonić i zapytać.

Bea kiwa głową. Rosa grzebie przez chwilę w szufladach pod bufetem i w końcu znajduje wizytówkę, którą dostała kiedyś od Sofii. Zapisuje numer na karteczce.

Z karteczką w ręku Bea siada przy tym stoliku, co zawsze (nie trzeba od razu zrywać ze wszystkimi przyzwyczajeniami). Popija czekoladę, kosztuje szarlotki i doznaje uczucia potężnej ulgi, kiedy spostrzega, że Bunt przeciwko Schematowi nie spowodował paniki.

Rewolucja w milczeniu.

Wyjmuje komórkę, dzwoni do taty i pyta, czy ma ochotę przyjechać w weekend do miasta, zjeść z nią obiad i poznać jej chłopaka.

Tata Kasper jakby dostał obuchem w głowę.

– Chłopaka?

Bea potwierdza i mówi, że więcej opowie trochę później, bo kończy się jej bateria.

Wyłącza komórkę z naładowaną do pełna baterią, ale nie chce się roztrajkotać, żeby taty nie rozsadziło uczuciowe ciśnienie.

Kasper robi rundkę cadillakiem, parkuje nierówno przed spożywczym, kupuje dwa lekkie piwa i kiść winogron.

Rusza dalej, aż dociera do jeziora, nad które jeździli, kiedy Bea była jeszcze dzieckiem i żyła Ebba.

Zostawia samochód i idzie usiąść na plaży. Pije piwo, rzuca winogrona w powietrze i łapie ustami, zdejmuje górę ubrania i opala się na leżąco, myśląc o wszystkich swoich marzeniach z młodości.

Chciał być wynalazcą, chciał konstruować rzeczy, które zmieniałyby świat, czyniły go lepszym. Chciał, żeby Ebba i Bea były z niego dumne, żeby myślały o nim jako o silnym mężu, silnym ojcu. Potem Ebba umarła i wszystko pogrzyżyło się w chaosie. Spowiła go gęsta, nieprzejrzysta mgła doprawiona alkoholem, a kiedy kilka lat później jako tako odzyskał ostrość widzenia, odkrył, że stracił również córkę.

Żyła, znajdowała się w pobliżu, czasami nawet się śmiała, ale jej spojrzenie mówiło wszystko.

Zostawiłeś mnie, tato, dlaczego mnie zostawiłeś?

Nigdy o tym nie rozmawiali, nie próbowali tego zgłębić, ukrywali się tylko przed sobą, udając, że pozostają na widoku.

Wypluwa pestki izraelskich winogron, zastanawia się, czy mogłyby zakiełkować w szwedzkiej ziemi, otwiera piwo numer 2 i przypomina sobie szczęśliwy głos Bei.

– Mam chłopaka, chciałabym, żebyście się poznali, przyjedziesz do miasta?

Jasne, że przyjedzie, cadillakiem, w garniturze, starannie uczesany, ogolony i oczywiście trzeźwy jak niemowlę. Nie będzie zadawał za dużo pytań, opowiadał sprośnych dowcipów, kłopotał Bei opowieściami z jej dzieciństwa, nie będzie jadł samym widelcem, dłubał nożem w zębach, nie zasiedzi się, a przede wszystkim nie rozplącze, jeśli rozmowa zejdzie na Ebbę.

Odwiedza jej grób raz w tygodniu, zawsze w piątek.

Kładzie czerwoną różę na zagrabionym żwirze przed nagrobkiem, siada na składanym plastikowym krześle, które ze sobą przynosi, wyciąga termos, nalewa sobie kawy i przez chwilę gawędzi z Ebbą.

Wie, że ona słyszy każde słowo, wie, że o wszystkim jej wiadomo, wie, że każdego dnia jest o dzień bliżej niej, ledwo wytrzymuje, że nie może jej dotknąć, przytulić.

Zmagał się z Bogiem, gardził nim, urągał mu i ubliżał, że Ebba przed śmiercią – przedwczesną śmiercią – musiała wycierpieć tyle bólu.

Co się stało z Twoją wszechmocą, Boże? – pytał.

Zapomniałeś, jak się dokonuje cudów?

Wziąłeś sobie urlop, kiedy Ebba potrzebowała Twojej pomocy?

Uważasz, że sobie na to zasłużyła? Wylicz więc jej przewinienia, zamieniam się w słuch, ale cokolwiek powiesz, nie przekonasz mnie, że to było sprawiedliwe.

Kurwa, Boże, spraw, żeby zmartwychwstała!

Nigdy jednak nie przestał wierzyć w Jego istnienie, bo tracąc wiarę, straciłby również nadzieję, że ponownie zobaczy Ebbę, w niebie.

– Boże, dziękuję za Beę i za miłość, którą znalazła, dziękuję, że troszczysz się o nas oboje, choć czasami trudno to dostrzec, dziękuję, że wciąż mam siłę w Ciebie wierzyć, i dziękuję, że nie upiłem się do nieprzytomności od wielu dni, i za to, że dzisiaj też nie mam na to ochoty, bo od dwóch piw raczej nie urywa mi się film, amen – modli się na plaży nad jeziorem Rodzinnego Szczęścia i uświadamia sobie, że jego życie wcale się jeszcze nie skończyło.

Dzwoni telefon, ale Sofia nie odbiera, nie chce z nikim rozmawiać, chce tylko pochylać się przy biurku nad fotografiami Mirii i nienawidzić siebie samej za to, że pozwoliła sobie uwierzyć, że jest akceptowana, lubiana, ba, nawet kochana.

Przesuwa palcem wzdłuż konturów sylwetki i twarzy Mirii, schyla się i całuje ją w usta, słyszy, jak włącza się automatyczna sekretarka.

– Dzień dobry. Nazywam się Bea Katalin. Obejrzałam dzisiaj w kawiarni pani wystawę. Chciałabym kupić te zdjęcia. Wszystkie. O ile oczywiście są na sprzedaż. Proszę o telefon. Mój numer...

Sofia od razu kasuje wiadomość. Dopóki nie zadzwoni Mirja z przeprosinami, zamierza kasować wszystko, wszystko olewać, ukrywać się tutaj, dopóki nie zaczną gnić.

Listonosz wrzuca pocztę. Jeden jedyny list, z Urzędu do spraw Zdrowia i Opieki Społecznej. Sofia otwiera go i wybucha śmiechem, kiedy widzi, co jest w nim napisane.

Wniosek o zmianę płci zaakceptowany.

Niesmaczny dowcip, nigdy nie zostanie zaakceptowana, zawsze będzie odrzucana; bez względu na to, ile powycina w swoim ciele, ile narządów wymieni, ile hormonów zażyje, ludzie będą ją wyszydzać i wyśmiewać do końca jej dni, a potem odmówią jej miejsca w rodzinnym grobie, bo nie chcą tam jej mieć, dopóki nie wyprze się samej siebie i nie napisze „Stefan” na swoim nagrobku.

Drze list na kawałki, zrywa perukę, bluzkę, biustonosz, spódnicę i figi, zrzuca szpilki, zmywa makijaż, goli czaszkę, ale nie zarost, wkłada slipy, koszulę i dżinsy, skrapia się odrobiną wody po goleniu i wychodzi na miasto, żeby przetestować, czy teraz jest warta miejsca wśród ludzi.

O tak, teraz jest inaczej, przechodnie nie zatrzymują się i nie wlepiają w nią wzroku, nie syczą: „Tfu, obrzydlistwo”. Owszem, na jednej czy drugiej twarzy maluje się lekkie zdziwienie, bo mimo stroju, ogolonej czaszki i meszku na brodzie wygląda bardzo kobieco.

Pedzio, tak ją czasami przezywali w budzie. Dlatego, że miała bardzo wąską talię, bardzo

szczupłe ramiona, kostki i przeguby dłoni, bo miała więcej koleżanek niż kolegów, bo nie chciała brać udziału w konkursie na Najdłuższego Ptaka i nigdy się nie przechwalała, ile to dziewczyn zaciągnęła do łóżka.

Pedzio, myśli ten i ów z mijających ją przechodniów.

Czy to przypadkiem nie jest dziewczyna? – myśli przynajmniej jeden z nich.

Nogi, przywykłe do szpilek, zaczynają ją boleć od długiego marszu w adidasach. Wchodzi do jakiejś kawiarni i zamawia kawę; mieszając łyżeczką w filiżance, myśli o innej kawiarni, tej, w której nie zdążyła naprawić wentylatora, i o tym, że nie wie, czy ma siły dalej żyć, ale że nie wie też, czy ma odwagę umrzeć.

Kawa jest gorzka i letnia, zostawia ją prawie nie – ruszoną.

– Pewnie ma dużo pracy – odpowiada Mirja, kiedy Rosa pyta, dlaczego Sofia się nie pokazuje.

Mirja od kilku dni chciała zadzwonić do Sofii, ale coś ją powstrzymywało, sama nie wie co. Może przykra konieczność przeproszenia, a może strach przed zakochaniem się, bo gdyby zakochała się w Sofii, wszystko by się strasznie skomplikowało, Sofia chce przecież być kobietą.

– Ta czarnooka, kojarzysz? – mówi Rosa.

Mirja kiwa głową.

– Chciała kupić zdjęcia. Dałam jej telefon Sofii. Chyba się ucieszy?

– Pewnie tak.

Gratulacje, Sofia, kocham cię, ale nie mam odwagi się z tobą spotkać.

– Nie zamówiła tego, co zwykle.

Kto?

– Dziwna kobieta.

Mirja nie słucha, ale potakuje.

– Wciąż nie wiem, jak się nazywa.

– Ktoś celowo popsuł wentylator.

Rosa patrzy pytającym wzrokiem na Mirię. Co ta czarnooka ma wspólnego z wentylatorem?

– Wentylator?

– Sofia powiedziała, że ktoś przeciął przewody.

Rosa jest w szoku. Kto, a przede wszystkim dlaczego?

– Myślisz, że ma to coś wspólnego z tymi ukradzionymi literami z szyldu?

Mirja wzrusza ramionami. Dzwoni telefon. Mirja podbiega i podnosi słuchawkę, mając nadzieję, że to Sofia, a zarazem, że to nie Sofia.

– Czy rozmawiam z Mirią Novak? – pyta w słuchawce modulowany kobiecy głos.

– Tak.

– O, cześć, mam na imię Tina i dzwonię z agencji modelek „Mika”. Dostaliśmy twoje zdjęcia i naprawdę nam się podobają. Miałabyś ochotę przyjść na niewiążące spotkanie do naszego

biura?

– Mm.

Co właściwie znaczy „niewiążące”? Że nie należy wiązać z nim absolutnie żadnych nadziei?

– Słucham?

– Tak, bardzo chętnie.

– Co powiedziałaabyś na...

Wertowanie terminarza.

– Mam wolne miejsce dopiero za dwa tygodnie... we wtorek, dwudziestego trzeciego, na dziewiątą trzydzieści, pasuje ci?

Mirja nie ma pojęcia, co ewentualnie robiłaby tego dnia o tej porze, ale nie odpowiada się odmownie na taką propozycję.

– Pasuje.

Mirja zapisuje sobie na karteczce i kończy rozmowę.

– Kto to był? – pyta Rosa.

– Mika.

– Jakaś koleżanka?

– Agencja modelek. Chcą się ze mną spotkać.

– To wspaniale! Nie cieszysz się?

Mirja kiwa głową, jasne, że się cieszy – *catwalk* czy *biustonosz do karmienia*?

Bea zamyka drzwi, przekręca zamek, wyciąga ręce nad głowę i czeka, aż Jack opuści żaluzje.

Przechodzi ją dreszcz. Odgłos żaluzji zsuwających się między szybami zawsze będzie się jej kojarzył z Czekaniem Na Seks.

Jack pomaga jej ściągnąć sweter, kładzie ręce na jej piersiach i ostrożnie pieści, jakby to było badanie mające wykryć guza.

Żadnych guzów, tylko miękkie gruczoły, delikatna skóra.

Lubi ją i musi z nią zerwać, ale jeszcze nie nadarzył się stosowny moment, poza tym jest ładna i dobra w łóżku.

Dzika kotka.

Sięga po to, na co ma ochotę.

Czasami jednak staje się dziwnie pasywna, jakby spływało na nią wielkie zmęczenie, leży wtedy tylko na plecach, nastawiona na przyjmowanie. To w takich chwilach Jack przypomina sobie, że Bea jest właściwie jego pacjentką, którą leczy z powodu depresji i stanów lękowych.

Całkowicie niestosowna sytuacja, ale wysoce zadowolająca.

Dzisiaj jest spokojna i uległa, jak tylko on da do zrozumienia swoim ciałem, czego chce, Bea przyjmuje właściwą pozycję i dopasowuje się do jego tempa z taką precyzją, jakby się zrosli. To go przeraża. Nie może jej teraz pozwolić, by się zbliżyła. Musi utrzymać dystans. Ale tak, żeby jej nie odstraszyć, jeszcze nie teraz, bo kiedy się kochają, znowu jest szczęśliwy i jest nawet w

stanie sobie wyobrazić, że potem będą leżeć i rozmawiać, jak wtedy, gdy związek nie opiera się tylko na seksie.

Jak rozmawiał z Evelyn.

– Chciałabym, żebyś poznał mojego tatę.

Bea przewróciła się na bok, patrzy na niego z nadzieją w oczach.

– Co?

Prawda, że jest mile zaskoczony, ucieszony niespodzianką?

– Może w najbliższy weekend? Obiad u mnie w domu. Nic wielkiego, prosty posiłek.

Jack nic nie mówi, ale Bea domyśla się, że jest wzruszony.

– To miły człowiek. – Głaszcze Jacka po ramieniu. – Polubi cię, jestem pewna.

Już widzi, jak podają sobie ręce, jak łatwo nawiązują rozmowę, jak szybko znajdują wspólny język, jak wieczorem siedzą na jej tarasie, piją kawę przy partyjce pokera i słuchają muzyki, ale nie jazzu, to zbyt ryzykowne.

Nadarzył się stosowny moment, wcześniej, niż się spodziewał, ale może tym lepiej.

– Przykro mi, ale to niemożliwe.

– W następnym weekend? Albo w jakiś wieczór w tygodniu?

Jack nie ma odwagi na nią spojrzeć.

– W ogóle.

Zapada milczenie. Bea wpatruje się w Jacka, on wpatruje się w jej nagie uda.

– Dlaczego nie?

Jack nie może wydobyć z siebie głosu.

– Odpowiadaj, do cholery!

Nie wie, co ma powiedzieć, chciałby tylko, żeby sobie poszła i więcej się nie pokazywała.

– Podobasz mi się, Bea – podejmuje nie w pełni szczerą próbę okazania się jako tako w porządku. – Naprawdę mi się podobasz. Ale ja...

Plask!

Ręka pali, policzek pali, Bea ubiera się i szarpie za drzwi, zanim Jack zdążył włożyć choćby majtki, wpada do poczekalni i w biegu rzuca dwóm czekającym pacjentom, że Doktor Rżnie Swoich Pacjentów, Następny Proszę.

Mężczyzna natychmiast wstaje i wychodzi. Kobieta wychyla się w przód i dostrzega Jacka krążącego na czworakach w poszukiwaniu majtek.

Bea wychodzi na Vasterlanggatan, przystaje na chwilę bez ruchu i zastanawia się, czy inni też słyszą rozlegające się w niej echo.

Jest pustą skorupą, nie istnieje, chce wrócić, żeby go zabić, chce wrócić i powiedzieć, że nie szkodzi, po prostu mnie zerżnij, nie jestem warta nic więcej.

Nie, nigdy nie wróci, gardzi nim, spluwa na ziemię, słyszy muzykę i podnosi wzrok.

Mans.

Dostrzegł ją, ale stara się na nią nie patrzeć, zlustrował swojego rywala i uznał, że nie ma szans, teraz chce tylko zapomnieć i żyć dalej.

Bea, sama nie wiedząc, co ją kieruje, podchodzi do niego i pyta:

– Czego nie wiesz?

Mans spogląda w górę i napotyka jej spojrzenie.

– Co?

– Czego nie wiesz?

Pokazuje głową w stronę stosu kaset. *Mans Andren, I do not know*. Właściwie nie oczekuje, że otrzyma odpowiedź, ale z jakiegoś powodu pyta.

Mans jest tak zaskoczony, że odpowiada dopiero, kiedy Bea się odwróciła i odeszła.

– To długa historia.

Wstaje, zbiera swoje rzeczy i śpieszy za nią z gitarą objającą mu się o plecy.

Bea nie zauważa, że on za nią idzie, w ogóle nie zauważa nic z tego, co się wokół niej dzieje, idzie tylko przed siebie i z każdym zrobionym krokiem staje się coraz bardziej pusta.

Pacjentka ucieka w popłochu, kiedy Jack wchodzi do poczekalni w samych majtkach i na wpół zapiętej koszuli, z wyrazem twarzy, który ją przeraził.

To on, a jednak nie on.

Jack zamyka za nią drzwi na klucz i nie chce ich już nigdy więcej otwierać, nie ma już siły pomagać ludziom, sam potrzebuje pomocy, ale może mu jej udzielić tylko jedna osoba, a ta odmówiła.

Wraca do gabinetu i kładzie się na kozetce. Coś przygniata mu klatkę piersiową, brakuje mu powietrza, próbuje złapać oddech, ale zapomniał, jak się oddycha.

Wyciąga się po komórkę leżącą na samym brzegu biurka, nie dosięga jej, przesuwa się na skraj kozetki, chwytając telefon i w tym samym momencie spada na podłogę.

Dzwoni na jej komórkę.

– Obiecałeś – mówi kwaśno Evelyn po odebraniu.

– Umieram – rzęzi. – Nie mogę oddychać. Ja...

Nie kłamie, jest całkowicie przekonany, że umrze, i to ją właśnie przeraża, słyszy, że tym razem to nie błąd, i uświadamia sobie, że nie chce, by Jack odszedł.

– Gdzie jesteś?

Chwilę trwa, zanim udaje mu się odezwać.

– W gabi...

– W gabinecie?

Jack kaszle.

– Zaraz przyjadę.

Wybiega, nie kończąc rozmowy przez drugi telefon i nie informując kolegów, dokąd wychodzi ani kiedy wróci. Znalazszy się na ulicy, zatrzymuje pierwszą lepszą taksówkę i każe

kierowcy jechać nawet na czerwonym, jeśli będzie taka potrzeba. Po pięciu minutach są na miejscu, wyskakuje z taksówki, wbiega w uliczkę, wstukuje kod, gna na górę, szarpie klamkę i naciska dzwonek.

Jack słyszy dzwonięcie, czołga się w stronę drzwi, dociera do nich, kiedy Evelyn zadzwoniła co najmniej dwadzieścia razy, przekręca zamek.

Evelyn słyszy szcęknięcie, otwiera drzwi, coś je blokuje, dostrzega, że to Jack leży zaraz za drzwiami. Przeciska się przez wąski otwór, pada na kolana, obejmuje go.

Ucisk w piersiach nieco zelżał, znowu może oddychać.

– Myślałem, że umrę.

Evelyn szlocha, chowając twarz w jego włosach, moczy mu szyję.

– Masz, napij się.

Podaje mu kubek z wodą. Jack pije, większość jednak rozlewając, woda spływa po brodzie i szyi. Evelyn wyciera ją swoim swetrem.

– Muszę się przespać.

Pomaga mu przejść do gabinetu i położyć się na kozetce, przykrywa go kocem i patrzy, jak zasypia. Jutro zjedzą razem śniadanie, a ona zacznie ustawiać swoje rzeczy po prawej stronie łazienkowej szafki, która od roku czekała pusta na jej powrót.

Kładzie się na podłodze obok kozetki i widzi, że kolano Jacka wystaje lekko ponad krawędź. Wyciąga rękę i głaszcze go po tym kolanie.

Głos mamy jest wszędzie, na całym regulator w mieszkaniu, na tarasie, na klatce schodowej, u sąsiadów – którzy najpierw są zdziwieni (z jej mieszkania na ogół nie dochodził najmniejszy hałas), potem zirytowani – nawet na ulicy, gdzie zatrzymał się z bolącymi nogami Mans, po tym jak biegł, żeby za nią nadążyć.

Bea tańczy na skrzypiącym parkiecie we wszystkich pokojach, a im dłużej tańczy, tym czuje się lżejsza, aż w końcu dostrzega, że jej nie ma. Wpada wtedy we wściekłość, rozgląda się wokół siebie i widząc te powierzchnie i przestrzenie, do których doszła kradzieżą, tę nędzną fasadę, którą sobie skleciła, chce wszystko zniszczyć.

Tłucze porcelanę, zrzuca książki z półek, tnie kanapę kuchennym nożem.

Wyciąga złoto, srebro i całą biżuterię, którą ukradła, ale której nie chciała sprzedać T. Broo. Włoży to do szkatułki i zakopie w piaskownicy, przynajmniej jakiś dzieciak będzie szczęśliwy.

Rozkręca rower, części truposza wkłada do czarnego worka na śmieci, wypowiada telefonicznie abonament na Canal+ i TV 1000 i tnie na kawałki wibrator.

Wrzuca wszystkie złodziejskie narzędzia do drugiego czarnego worka, zawiązuje go i wystawia przed drzwi, żeby wynieść razem z trupem roweru.

Ktoś dzwoni do drzwi. Bea sprawdza przez wizjer. Wściekły sąsiad. Otwiera drzwi szarpnięciem, pod jej rozjuszonym spojrzeniem sąsiad się cofa, orientuje się, że nie jest to odpowiednia chwila na skargę, jeśli nie chce zarobić w papę.

– Chciałem tylko zapytać, czy zapisałaby się pani na sąsiedzką imprezę – mówi piskliwym głosem.

– Nie!

Zatrzaskuje drzwi, przekręca zamki, zasuwuje rygle, wyłącza głos mamy, ustawia książki z powrotem na półkach, żałuje ataku na skórzaną kanapę, ale niczego więcej.

Dzwoni telefon, automatyczna sekretarka odbiera rozmowę. To tata z pytaniem, czy ma przyjść w sobotę, jeśli tak, o której godzinie, i jak powinien się ubrać.

Bea podnosi słuchawkę, nim tata zdąży się rozłączyć.

– Musiałam zmienić plany – mówi. – Nie miał czasu w ten weekend.

Kasper słyszy w jej głosie kłamstwo, Bea wie, że on słyszy i że przez resztę dnia będzie pił.

– Aha.

– Ale może innym razem.

– No to wiem, na czym stoję. Przynajmniej nie muszę się martwić, w co mam się ubrać.

Bea nienawidzi, kiedy tata stara się mówić tak beztrzesko, ale sama nie wie, jak jej zdaniem powinien mówić, najlepiej, żeby w ogóle nic nie mówił.

Marzy o milczącym ojcu, który miałby odwagę zostać u niej, kiedy ona płacze.

– Możemy któregoś dnia zjeść obiad tylko we dwojkę.

– Byłoby miło.

Oboje wiedzą, że nic z tego nie będzie.

– Co poza tym słychać? – pyta Bea, siedząc na pociętej kanapie.

– W porządku. Dłubię trochę przy samochodzie.

Jeszcze chwila tej rozmowy o niczym i rozłączają się.

Kasper beczy, wyciąga się po butelkę, chleje, beczy, włącza telewizor, wyszukuje jakąś telenowelę, znieczula się podwójnie, alkohol, telewizja, jeszcze więcej alkoholu, jeszcze więcej telewizji. Bea jest taka piękna, dlaczego nie może mieć pięknego życia?

– Zdrowie, stary żłobie!

Gul, gul. Córa moja, piękna dziewczyna, a życie jej brzydkie jest.

– A, poszedł!

Dolewa. Impreza może się zacząć.

Po kilku godzinach bezowocnego kręcenia się – nawet nie dostrzegł jej w żadnym oknie – Mans wchodzi do pobliskiej kawiarni, żeby coś przekąsić.

Przyjemny lokal z wystawą zdjęć na ścianach i śliczną dziewczyną za bufetem.

– Kawę – zamawia i patrzy na jadłospis na ścianie. – I ciabattę z fetą i czerwoną cebulą.

Siada przy stoliku w rogu i kosztuje kawy. Wygląda przez panoramiczne okno na ulicę i obserwuje przechodzących ludzi. Ludzi, których życie jest dla niego tajemnicą, tak samo jak jego życie dla nich.

Czy naprawdę jest jakiś sens w tym, że w tych wszystkich istotach pojawia się płomień

życia, a potem umierają i szybko zostają zapomniane?

– Proszę.

Dziewczyna przyniosła zamówienie.

– Dziękuję.

Dziewczyna chce wrócić za bufet, ale Mans zatrzymuje ją pytaniem:

– Czy przychodzi tu niejaka Bea?

– Bea?

Mirja szuka w pamięci, ale ponieważ nie wie, że Bea to właśnie Bea, kręci przecząco głową.

– Niska, szczupła, z ciemnymi półdługimi włosami, najczęściej związanymi w koński ogon, niemal czarne oczy, prawie zawsze ubrana na czarno.

– A, ona – kojarzy Mirja. – Tak, bardzo często tu przesiaduje. Praktycznie codziennie.

Mirja wraca za bufet. Mans zjada kanapkę i zbiera się do wyjścia, kiedy jego wzrok przykuwa zdjęcie mężczyzny z zajęczą wargą.

Mirja, siedząca na taborecie za bufetem i wertująca ostatni numer „Elle”, patrzy na Mansa, który ogląda jedną z fotografii wykonanych przez Sofię.

Chciałaby zdjąć całą wystawę i wyrzucić do kanału, bo sprawia jej tyle bólu, przypominając o Sofii i tej strasznej kłótni, która rozpostarła się między nimi jak ziejąca przepaść. Ale boi się ściągnąć zdjęcia, bo wtedy mama zacznie pytać i wszystko będzie jeszcze bardziej skomplikowane.

Mans odwraca głowę i spogląda na nią. Mirja opuszcza wzrok i wpatruje się w nierealnie piękną dziewczynę, która z chłodną elegancją prezentuje jesienną modę. Niedługo tam będę, myśli. Dzięki Sofii. Jeśli oczywiście dziecko nie...

Zamyka gwałtownie czasopismo, idzie do kuchni i wypija duszkiem dwa kubki kawy, jeden po drugim. Czytała gdzieś, że kobiety, które piją dużo kawy, częściej miewają poronienia.

Z popołudnia zrobił się wieczór, Bea się nie pokazuje, a Mans zaczyna być naprawdę zmęczony. Pojechać do domu i wrócić tu jutro czy już nie wracać?

Co właściwie sobie wyobraża – że ona się w nim zakocha i tak po prostu wpuści do swojego życia?

I nogi, te nogi!

Kobiety przestają postrzegać go jako mężczyznę, kiedy tylko zobaczą jego nogi. Zamiast tego widzą w nim kalekę, kogoś, kogo powinny żałować albo ignorować.

Czasami próbowały zostać jego koleżankami albo nawet bliskimi przyjaciółkami, ale kończyło się zawsze tym, że przestawały się odzywać, kiedy mówił wprost lub dawał do zrozumienia, że oczekuje więcej.

Nie może mieć do nich pretensji. Dlaczego miałyby wybierać właśnie jego, kiedy mogą wybrać spośród tylu innych?

Owszem, ma talent, ale trudno uznać go za gwiazdę rocka. Wygląda przeciętnie i nie jest

szczególnie muskularny, choć ćwiczy z hantlami. Nie jest zabawny ani nie ma wesołego usposobienia, raczej melancholijne, bo ciągle styka się z ludzkimi smutkami i rzadko potrafi je od siebie odsunąć. Rodzinę ma wprawdzie całkiem w porządku, abstrahując od tego, że rodzice się rozwiedli, ale z kontaktami towarzyskimi już gorzej, najbogatszy też nie jest, chociaż rachunki płaci zawsze na czas.

Jest tysiąc lepszych kandydatów, a za nim kolejny tysiąc, dlaczego miałyby wybrać właśnie jego?

Podchodzi do bramy i naciska kłamkę, ale drzwi nie ustępują. Patrzy na spis lokatorów przy domofonie, odnajduje jej nazwisko, ale nie dzwoni.

Co miałby powiedzieć? Cześć, mam na imię Mans, jestem ulicznym grajkiem, może mnie pamiętasz, kupiłaś ode mnie kasetę, poszedłem za tobą, chyba cię Kocham, umówisz się ze mną?

Odchodzi i siada na ławce, na której Nils Larsson, pijaczek, zasnął na wieki.

Siedzi tam przez resztę wieczoru, obserwuje przechodniów i spogląda w jej okna.

Bea zasnęła na pociętej kanapie, prawa ręka opadła i dotyka podłogi. Bea śpi niespokojnie, wrócił dziegieć, wylewa się z oczu mamy, jej uszu, nosa i ust, podczas gdy ona przygląda się temu, nie mogąc się ruszyć z miejsca, bo wrosła w ziemię.

Mans wzdyga się, ale nie dlatego, że Bea krzyczy we śnie, tylko zobaczył transa, który przedefilował drobnym krokiem w szpilkach, wysztafirowany na maksa.

Mans nie ma nic przeciwko transom, uważa raczej, że wzbogacają rzeczywistość, jego uwagę przykuwa czerń w oczach transa.

Kobieta – albo mężczyzna, Mans nie jest pewien, jakie słowo jest właściwe – chodzi tam i z powrotem. Tam i z powrotem, szybko, lekko skulona, jak płochliwe zwierzę, które chce, a zarazem nie chce być widziane.

Trafna obserwacja.

Sofia chce, żeby Mirja zobaczyła ją z wnętrza kawiarni, a jednocześnie nigdy więcej nie chce się Mirii pokazywać. Chce jej przebaczyć, ale nie może zapomnieć tych słów.

Stul pysk, skurwysynu!

Stefan, Stefan, Stefan!

Kopie w ziemię i wraca do domu, gdzie rzuca butami o ścianę z taką siłą, że łamie jeden z obcasów.

Zaciąga zasłony, gapi się w telewizor, je makaron i myśli, że powinna nazwać się Panną Nędzą i pozwolić nakręcić dokumentalną telenowelę o swoim życiu Kobiety z Ptakiem.

Dlaczego nie przejść się jutro do Kanalu 5? Powiedzieć: cześć, oto jestem, możecie mnie eksploatować, wykorzystać, nic mnie więcej nie obchodzi, pozwolę nawet na intymne zdjęcia, tak, genitaliów, o, jeszcze to, pochodzę z religijnej rodziny, powinno dodać całej sprawie pieprzyku.

Dostałaby własnego redaktora.

Dostałaby terapeutę, a może osobistego trenera i dietetyka, żeby przygotowali ją, zarówno

psychicznie, jak i fizycznie, do życia w roli kobiety.

Organizowałyby jej randki z przystojnymi i ciekawymi kobietami i mężczyznami, żeby znalazła osobę, która ją pokocha taką, jaka jest, nie patrząc na płeć.

Dostawałyby listy pełne nienawiści, gróźb, miłości.

Stałyby się sławna, może bogata. Wyjechałyby na barowe tournee i składała autografy na męskich torsach i kobiecych piersiach. Brałyby udział w telewizyjnych debatach, publicyści popołudniówek pisaliby o niej i prowadzili na jej temat polemiki. Dostałyby propozycję napisania książki o swoim życiu, nagrania singla i roli w filmie.

Na koniec, wcale nie najmniejszy sukces, zostałyby dziewczyną z okładki w magazynach dla mężczyzn „Slitz”, „Cafe „i „Moore”.

Co za wspaniałe życie.

Wyłącza telewizor i płacze.

Do metra daleko, a ponieważ wieczór jest ciepły, Mans postanawia przespać się pod gwiazdami.

Jak to robili z bratem w dzieciństwie, kiedy lato było długie i gorące.

Rozbijali namiot w ogrodzie, mościli się, jedli kanapki zapakowane przez któreś z rodziców, czytali komiksy w świetle latarki, a później leżeli i rozmawiali przed zaśnięciem. Rano mama z tatą przynosili śniadanie i jedli we czwórkę w ciepłym namiocie. Rodzice siedzieli zawsze blisko siebie i co chwila się dotykali. Ręka mamy obejmująca tatę za szyję. Tata cmokający mamę w policzek. Mama strząsająca okruszek z kącika ust taty. Tata kładący rękę na kolanie mamy.

Rozwód ledwie pół roku po tym, jak Tomas wyprowadził się z domu, nie wynikał z tego, że przestali się kochać albo że któreś z nich znalazło nowego partnera. Byli po prostu wyczerpani wychowaniem dwojga dzieci i potrzebowali innego źródła energii. Ale ani tata się powtórnie nie ożenił, ani mama nie wyszła za mąż i pewnie w jesieni życia znowu ze sobą zamieszkają. Tak w każdym razie mówi z nadzieją jego brat.

Jego brat, który nadal żyje, jakby miał dwadzieścia lat, przedstawiający rodzicom ciągle nowe dziewczyny, bywalec niezliczonych imprez, otoczony rzeszą znajomych, dalekich i bliskich, o nogach wytrenowanych w biegach i na boisku piłkarskim, mający dobrze płatną pracę jako agent nieruchomości i luksusowe mieszkanie w Aspudden na południu Sztokholmu.

Aż nadto, żeby Mans żywił nienawiść do swojego brata.

Ale jej nie żywi, bo i tak nie zmieniłoby to faktu, że na pozór Tomas dostał wszystko, a on resztki.

Gdyby Tomas był muzykalny, może wyglądałoby to inaczej, byłoby już za wiele, ale Tomas jest właściwie głuchy na muzykę, co daje Mansowi wolne pole, na którym może zabłysnąć.

Mansowi, który idzie teraz w stronę klubu żeglarskiego, mając nadzieję, że znajdzie dziurę w ogrodzeniu. Z jakiegoś powodu zawsze powstają takie dziury, choćby teren był bardzo dokładnie pilnowany.

I rzeczywiście – pewnie młódzież albo jakiś osobnik, który poczuł się zamknięty na zewnątrz, albo po prostu ktoś, komu przyszła ochota przeciąć siatkę, żeby dostać się do środka.

Mans szybko znajduje sobie małą motorówkę, bez zadaszenia, ale z plandeką, na której całkiem wygodnie może się położyć.

Mości sobie legowisko na dnie łodzi, przykrywa się kurtką, gitarę kładzie obok siebie. Leżąc pod gwiazdami, zdumiewa się wszechświatem, który mieści w sobie tyle piękna, że on ledwie ma siłę je unieść.

Bea stoi w tunelu, marznie i modli się do Boga, żeby ktoś przyszedł i ją zgładził, modli się do Boga, żeby ktoś przyszedł i ją uratował.

Stoi tam od ponad godziny, a dotąd przeszła tylko jedna osoba, młoda kobieta, która wyglądała na przestraszoną i która w ogóle nie powinna chodzić tamtędy po nocy.

Myśli o tacie, marzy, żeby nadszedł tunelem, wyciągnął do niej rękę i powiedział, że zanieś ją do domu.

Myśli o mamie, jakby to było cudownie wrócić do domu do mamy.

Czyjeś kroki, zbliżają się, Bea wstrzymuje oddech.

Mężczyzna w średnim wieku, lekko wstawiony, patrzy na nią oczami drapieżnika i mówi:

– Ładniutka jesteś.

Wtedy Bea zrywa się do ucieczki, ani ten mężczyzna, ani tunel więcej jej nie zobaczą.

* * *

Lodówka ziejie pustką, podobnie zamrażarka, Bea zastanawia się, czy nie zamówić czegoś do domu, żeby nie musieć wychodzić, ale na myśl o pizzy czy chińszczyźnie na śniadanie robi się jej niedobrze.

Czyli jak zwykle kawiarnia. Co przypomina jej, że autorka zdjęć nie oddzwoniła w sprawie wystawy. Może już je sprzedała albo w ogóle nie są na sprzedaż.

Odszukuje kartkę z telefonem, dzwoni i zostawia nową wiadomość na sekretarce, bo i dzisiaj nikt nie odebrał. Potem ubiera się, schodzi do kawiarni i zamawia To Co Zwykle, bo akurat tego ranka potrzebuje jakichś ram dla ducha.

Nadal jest wstrząśnięta po tym, co wydarzyło się w tunelu. Dlaczego uciekła, zamiast położyć się na ziemi i pozwolić, by to się stało? Instynkt samozachowawczy jest najwyraźniej silniejszy od samodestrukcji, nie spodziewała się tego, nie wie, co ma dalej począć.

Dopiero po chwili zauważa Mansa, który siedzi przy stoliku w przeciwnym rogu, pije kawę i przegląda gazetę.

Wie, że go zna, ale z początku nie może sobie przypomnieć skąd, kojarzy dopiero, kiedy jej wzrok pada na gitarę opartą kawałek dalej o ścianę.

Mans siedział w kawiarni od samego otwarcia przed ponad godziną, mając nadzieję, że ona

się pojawi. Ciało ma obolałe po nocy na łodzi i nadal jest głodny mimo zjedzonej kanapki. Kiedy Bea weszła, zrobiło mu się gorąco, spocił się, ale obiecał sobie, że zaczeka, aż ona go odkryje, nie odwrotnie. Zauważył teraz, że go obserwuje, że dodała dwa do dwóch i może zaczęła się zastanawiać, co on tu robi. Przewraca stronę w gazecie, co daje mu okazję do uniesienia wzroku, tak żeby na nią popatrzeć.

Mans Andren, I do not know, podeszła do niego i zapytała, czego nie wie. Musiał sobie pomyśleć, że jest niespełna rozumu, a teraz siedzi tutaj i patrzy na nią zdziwionym wzrokiem, zastanawiające.

Chwila wahania z obu stron, potem Bea wstaje, podchodzi do jego stolika i przeprosza za swoje dziwne zachowanie ostatnio.

– Dziwne? Nie, wcale tak nie pomyślałem – mówi Mans i uśmiecha się. – Mieszkasz tutaj?

– W pobliżu. A ty?

– Niedawno znalazłem mieszkanie do remontu kawałek stąd.

Znowu wahanie. Ma wrócić do swojego stolika czy przysiąść się do niego i dotrzymać mu towarzystwa?

Nie wie, czego chce, ale ponieważ nie może już pójść do Jacka, uznaje, że równie dobrze może przez chwilę dotrzymać towarzystwa Mansowi.

– Pozwolisz, że się przysiądę?

– Oczywiście.

Bea przenosi swoją kawę i kanapkę.

Trochę inny widok z tego stolika, nie wiedziała, że za tym dużym białym jachtem cumuje następny.

Rozmowa nabiera kształtów, najpierw nieśmiała, potem swobodna. Bea stwierdza, że Mans jest sympatyczny, momentami pobudza ją nawet do śmiechu, i gdy się rozstają, Bea mówi, że ma nadzieję, że jeszcze kiedyś się zobaczą.

– Z pewnością – przytakuje Mans.

Każdego dnia będzie przesiadywał w tej kawiarni od otwarcia do zamknięcia, będzie na nią czekał, więc chyba znowu się spotkają.

Pod osłoną nocy przechodzi przez płot okalający przedszkole i zakopuje swój mieniący się skarb w piaskownicy. Kopie głęboko, tylko to dziecko, które zdobędzie się na wysiłek, dotrze do kosztowności.

To zegarki, monety, biżuteria, srebra i drogocenne ozdoby.

Włożyła wszystko do płóciennego worka, który ozdobiła cekinami.

Uśmiecha się do siebie, zakopując dziurę.

Viktor wie, że umrze, nie ma odwrotu, komórki ciała zawodzą jedna po drugiej w szaleńczym i coraz szybszym tempie. Znowu mu się pogorszyło i został zabrany do szpitala na

obserwację.

Modli się teraz i jęczy, nawet nie próbuje jeść ani pić, ciągle wrywa sobie kroplówkę, która tylko przedłuża męczarnie, ale panie w bieli zakładają ją na nowo, mówiąc: „Fe, nieładnie”, jakby był małym dzieckiem. Viktor klnie na nie, jedną nazwał dziwką, przez co rozplakała się w głos i uciekła. Viktorowi jest wstyd, ale nie ma nic, czym mógłby zastopować zło, które zakrada się coraz bliżej, przejmując to, co zostało z jego ciała i mózgu.

Obecność Rosy doprowadza go do szału, dlaczego musi patrzeć na jego rozkład i marudzić, że ma walczyć, on nie ma już siły, niech ona w końcu to pojmie i wyniesie się.

Obecność Mirii doprowadza go do rozpacz. Nie chce, żeby zapamiętała swojego ojca jako nędzny kłębek w szpitalnym łóżku śmierdzącym jego nieczystościami.

– Zatrzymamy pana jeszcze przez kilka dni – mówi onkolog, pachnący nieperfumowanym kremem do ciała, z tikiem w kąciu prawego oka.

– Na razie zaczekamy z kolejną turą leczenia – mówi radiolog, który absolutnie niczym nie pachnie i ma problemy ze szklami kontaktowymi.

Skrajnie silna reakcja, mówią między sobą. No ale nie jest już najmłodszy, poza tym ma nadwagę i stosunkowo słabe serce, chyba musi się z tym liczyć.

– Nie możecie czegoś zrobić? – pyta Rosa.

– Jedyne, co możemy zrobić, to czekać i obserwować – mówią chórem.

– Dlaczego nie możecie zrobić więcej?

Patrzą na nią ze zdziwieniem i wyliczają wszystko, co podali mu przeciwko bólowi, mdłościom, skurczom, wyczerpaniu, lękom i tak dalej.

– Może odczuwa skutki uboczne tego wszystkiego, co podajecie mu przeciwko skutkom ubocznym.

Kręcą głowami, że to niemożliwe, przynajmniej według farmakopei.

– Czekać i obserwować? – mówi Rosa przybita.

Potakują i odchodzą, mają inne wraki, którymi muszą się zająć, choć jej wrak jest najważniejszy na świecie.

Jest wściekła, a zarazem bezradna, kiedy tak siedzi na białym plastikowym krześle, które trzeszczy ostrzegawczo pod jej szeroką pupą. Próbuje wstać, ale mięśnie nie słuchają, jest sparaliżowana ze strachu na myśl, że traci Viktora. Bo to właśnie się dzieje, czekanie i obserwowanie nie polepszy sprawy, tylko pogorszy.

Musi działać na własną rękę.

Podejmuje jeszcze jedną próbę uwolnienia się z krzesła, ale jest jak przyśrubowana, nie może nawet otworzyć ust, żeby wezwać pomocy.

Mirja, gdzie jest Mirja?

(W toalecie, śwędzi ją, kiedy się załatwia, ma nadzieję, że to zapalenie dróg moczowych, wyczytała gdzieś, że może prowadzić do samoistnego poronienia).

Przeciągły skrzypiący dźwięk wydają nogi krzesła, kiedy załamują się pod jej ciężarem. Rosa

upada na ziemię z łoskotem i widzi włochatego pająka mijającego ją na wysokich odnóżach. Nie zabija go, nie dlatego, że nie chce, tylko ma co innego do roboty.

Podnosi się, bezradność ustąpiła dzięki temu, że krzesło nie wytrzymało. Bycie grubym ma swoje zalety.

– Zostań tutaj – nakazuje Mirii, kiedy ta wraca.

– Dokąd idziesz? – pyta Mirja, zastanawiając się, co się stało z krzesłem.

– Po kogoś, kto ma o czymkolwiek pojęcie.

Zanim Mirja zdąży zadać dalsze pytania, Rosa znika za drzwiami i przemierza korytarze, na których napotkani ludzie szybko ustępują jej z drogi.

Zostawia za sobą ciepły powiew, który ogrzewa zmarzniętą anorektyczkę, ale omal jej nie przewraca.

Kiedy wychodzi na parking, jest tak zadyszana, że świszczy jej w oskrzelach, a stopy wydają kłapiący odgłos od potu. Gdzie postawiła samochód? Wytęża wzrok. Tam.

Przeciska się między samochodami, potrąca ludzi, słyszy przekleństwa i wyzwiska, ale nie przejmując się, odpowiada przekleństwami, dociera do auta i wyjeżdża w kierunku centrum, przekraczając dozwoloną prędkość.

Parkuje na chodniku przed Towarzystwem Somalijskim, wpada między palących i grających w szachy mężczyzn i pyta, czy zastała Yusefa Faraha albo czy wiedzą, gdzie go może znaleźć.

Milczenie.

Kobiety nie mają wstępu do tego lokalu, tak po prostu jest, niepisana reguła, ta kobieta ją złamała i powinna się wstydzić.

– Mój mąż jest umierający.

Nadal milczenie. Wiadomo, powinna się wstydzić.

– Jego stan jest krytyczny.

Teraz płacze. To odnosi skutek. Abdi, przewodniczący, grzecznie, ale zdecydowanie wypycha ją do sąsiedniego pokoju, gdzie wyszukuje numer telefonu i zapisuje jej na kartce.

– Niech Allah będzie z tobą i twoim mężem – mówi, głaszcząc ją po ramieniu.

Rosa wychodzi z powrotem na palące słońce, podczas gdy jej afrykańscy bracia zostają w półmroku i poświęcają resztę dnia na dyskusję o Męczących Kobietach i Cudownych Kobietach, między którymi często nie ma niestety różnicy, zwłaszcza odkąd Siostry zwęszyły ten feminizm.

Też chcą palić i grać w szachy całymi dniami, uciec przed krzykiem dzieci, terminami prania i tłuszczem na kuchence.

Chcą się modlić w meczecie przed zasłoną, a nie za.

Chcą nosić czarczaf z własnej woli, a nie z przymusu.

No to niech tak będzie, myśli część mężczyzn, którzy nie mają już siły podtrzymywać tradycji.

To sprzeczne z Koranem, myślą inni, którzy nie mają nic innego do roboty, jak właśnie podtrzymywać tradycję.

Tęsknię do domu, chcę mieć pracę, w tym kraju nie jestem mężczyzną, myślą ci, którzy mają dość zasiłków, głaskania po głowie, strachu przed neonazistami, docinków ze strony rasistowskich Svenssonów i tej przeklętej bezczynności, która rodzi apatię i zabija przedsiębiorczość w człowieku,

praca? Oczywiście. Czy chcesz sprzątać, myć starców, wywozić śmieci, pielnić, pracować (na czarno) w budce z hot dogami albo podawać wieprzowinę i wołowinę w McDonalddie? Masz wyższe kwalifikacje? Kto ich nie ma, tu jest Szwecja, a nie Raj, to już niestety nie jest jedno i to samo, przykro mi, że reklama wprowadziła cię w błąd. Masz, wypełnij podanie o zasiłek (przyjeżdżają tu, kurwa, i żerują na naszym systemie ubezpieczeń społecznych, cholerne czarnuchy), zobaczysz, wkrótce poprawi ci się nastrój

a na dłuższą metę również chęć do życia.

Biedni ludzie? A może tylko pech? Albo tylko cholerny brak aktywności? Zastanawia się Rosa, jadąc w stronę Akalli, gdzie Yusef Farah mieszka ze swoją rodziną.

Na miejscu w Akalli dobrą chwilę zajmuje jej znalezienie adresu, który dostała od Yusefa, kiedy zadzwoniła z pytaniem, czy mógłby wziąć nagły przypadek.

Oczywiście, że może wziąć nagły przypadek, nie ma specjalnie nic więcej do roboty poza czekaniem, aż właśnie takie przypadki się pojawią.

Rosa parkuje na ulicy przed żółtoszarą kamienicą i idzie pośpiesznie do bramy.

Rodzina Farahów czeka w dużym pokoju. Dzwonek do drzwi, najmłodsze dziecko biegnie otworzyć.

Rosa spuszcza wzrok i widzi małą dziewczynkę, która unosi wzrok i widzi górę spoconego mięsa. Mała twarzyczka marszczy się i rozlega się wycie. Nic dziwnego, myśli Rosa, przestępując próg.

Wychodzi jej na spotkanie mężczyzna. Jest wysoki i szczupły, włosy ma prawie całkiem siwe, mimo że nie dobiega jeszcze czterdziestki. Odziedziczył zawód po ojcu, który z kolei odziedziczył go po swoim ojcu i tak dalej przez pokolenia wstecz. Zioła i duchy należą do jego praktyki. Bywa, że rozmawia z przodkami i prosi o radę w królestwie zmarłych. Przyjechał do Szwecji, żeby uniknąć udziału w wojnie domowej i chociaż było to wiele lat temu, nie odważył się wrócić. Przez wielu rodaków postrzegany jest jako zdrajca. Chciałby zobaczyć się ze swoimi rodzicami, nim umrą, ale oboje boją się latać samolotem, mogliby popłynąć statkiem, ale podróż długo trwa, a mama jest słaba, nie pomagają nawet zioła ojca.

– Yusef.

– Rosa.

Wymieniają uścisk dłoni, a potem piją w dużym pokoju herbatę i Rosa przedstawia stan Viktora. Yusef słucha z uwagą, po wysłuchaniu wstaje i znika w sypialni, gdzie nakłada szatę szamana, skórzaną czapę i sandały oraz pakuje zioła, mieszanki ziołowe, wodę leczniczą i popiół

z ognia.

Wychodzi z sypialni.

Dzieci stoją rzędem pod ścianą i przyglądają mu się. Najmłodsza dziewczynka rozważa, czy znowu się nie rozpłakać, ale decyduje się naśladować milczące starsze rodzeństwo.

Jego żona przypomina sobie nagle, kogo kiedyś poślubiła.

Yusef kiwa Rosie głową i wyprostowany opuszcza mieszkanie.

Biały goniec z c6 na e8, zagraża czarnej wieży, a w perspektywie również czarnemu hetmanowi, jeśli plan się powiedzie. Mans odchyła się do tyłu, stara się zachować niewinną minę, bo wie, że Hanah coś podejrzewa.

Dawno nie grali, Hanah odmówił pięć razy z rzędu z powodu bólów, których żaden lekarz nie może znaleźć, a tym bardziej wyleczyć.

Mans jest zdania, że Hanah ucieka w depresję i wtedy pograża się w niej na sto procent, nie pozwalając, by wsączyła się odrobina radości. Ale dzisiaj rano wstał nagle z łóżka, otworzył okna na oścież, poszedł do sklepu po świeżą rybę i świeże warzywa, przygotował wyborną potrawę i zaprosił Mansa na poczęstunek.

Potem usiedli do szachownicy.

– Zmienimy płytę? – pyta Mans, żeby Hanah nie mógł się skoncentrować.

Hanah patrzy na niego spod grzywki gniewnym wzrokiem, nic nie mówi, wydaje tylko z siebie jedno czy drugie złowrogie chrząknięcie.

Czarną wieżę kusi, żeby zabić wrednego białego piona, ale decyduje się jednak cofnąć parę kroków w celu zapewnienia lepszej ochrony hetmanowi.

Mans przeklina w duchu i wstaje, żeby zmienić Beethovena na Schuberta, co ma przeciągnąć szczęście na jego stronę.

Koncert smyczkowy, brzydki chwyt. Hanah zamyka oczy i wraca myślami do życia, które kiedyś prowadził jako pierwszy skrzypek w kabulskiej orkiestrze symfonicznej.

Kiedy otwiera oczy, nie pamięta już swojej strategii ani podejrzeń wobec Mansa.

Partia kończy się zwycięstwem białych, Mans nie wstydy się ani trochę, w grze i w miłości wszystko jest dozwolone.

– Spotykam się z kimś – mówi, kiedy przesiedli się na kanapę i popijają mocno przyprawioną kawę, przegryzając słodkimi, kleistymi ciasteczkami.

Pierwszy raz odważa się komuś to wyjawić, jakby bał się, że wypowiedzenie o tym wszystko zniszczy.

Hanah kiwa tylko głową z lekkim znużeniem, jakby Mans powiedział, że zjadł dziś na obiad paluszki rybne z ziemniakami.

Hanah zazdrości Mansowi, wolałby, żeby nadal był samotny podobnie jak on. Mans rozumie, ale mimo to jest mu przykro. Rozstają się z pewną rezerwą.

Kiedy zakończył się ostatni obchód i pielęgniarki z nocnej zmiany zniknęły w swojej dyżurce, Rosa wychodzi z pokoju i kiwa głową Mirii, która stoi na drugim końcu korytarza i z kolei kiwa głową Yusefowi, stojącemu kawalek dalej w stroju szamana ukrytym pod długim czarnym płaszczem.

Yusef ściska mocno torbę z ziołami, ogarnia go lekkie zdenerwowanie przed spotkaniem z chorym.

Bywał już wcześniej w szwedzkich szpitalach i spotykał lekarzy, którzy na najmniejszą wzmiankę o alternatywnych metodach marszczyli nos i stwierdzali, że to humbug i wykorzystywanie ludzkiej desperacji przez szarlatanów. Co z pewnością jest prawdą w niektórych przypadkach, ale nie można generalizować. On sam stara się pomóc najlepiej, jak potrafi, chociaż za stosowną zapłatą, mimo wszystko ma pewne ziemskie potrzeby.

Wchodzi do pokoju i od razu wyczuwa porowate pole energetyczne otaczające Viktora. Orientuje się, że mężczyzna w łóżku powoli daje za wygraną.

To nie ciało chce się poddać, tylko duch.

Yusef ściąga płaszcz i zbliża się do łóżka. Patrzą z Viktorem na siebie, pozdrawiają się krótkim skinieniem głowy, ale nic nie mówią, to nie jest ceremonialna wizyta.

– Stań przed drzwiami – mówi Rosa do Mirii. – Gdyby ktoś przyszedł, powiedz, że Viktor w końcu zasnął i nie można mu przeszkadzać.

Mirja wykonuje polecenie, ale zostawia drzwi uchylone, chce zobaczyć, co magik z ojczyzny mamy będzie wyczyniał.

Yusef modli się i śpiewa, podaje Viktorowi zioła, kropi wodą i posypuje popiołem jego klatkę piersiową, krąży wokół łóżka, tańczy i gestykuluje, pada na podłogę i zaczyna się trząść. Viktor trzęsie się razem z nim.

Szczęka zębami. Yusef podnosi się i kładzie rękę na jego brzuchu, wzdryga się kilka razy. Odsuwa łóżko od ściany, staje z tyłu i bierze głowę Viktora w swoje ręce. Pot spływa, wypędzić ciemność, przywołać jasność.

Ostatni dreszcz przesywa ciało i jest po wszystkim.

Kiwa na Rose, która usłużnie podaje krzesło. Yusef siada na nim i zwiesza głowę, potem pije wodę, oddychając coraz spokojniej.

Viktor śpi, ale mocno się poci i wzdryga się od czasu do czasu.

– Udało się – mówi Yusef.

– Chcesz coś zjeść? – pyta Rosa, swoim zwyczajem myśląca o jedzeniu, że po takiej utracie energii powinien być głodny.

Yusef potrząsa głową.

Rosa wychodzi do Mirii, która niemal zasnęła na warcie. Siadają na ławce w korytarzu. Mirja kładzie głowę na kolanach Rosy.

– Nie moglibyśmy pojechać do Somalii, mamó?

– Pojedziemy, kiedy tata wróci do sił. Zajmie się kawiarnią, jak nas nie będzie.

Mirja potakuje i zasypia. Rosa kładzie rękę na jej głowie, myśli o pierwszej nocy po urodzeniu Mirii.

Lato dobiegało końca i noc była jedną z pierwszych naprawdę chłodnych. Okno zostawili lekko uchylone. Viktor spał w łóżku obok, kilka pokoi dalej jęczała jakaś kobieta. Mirja leżała w objęciach Rosy i mrużyła oczka. Mimo że Rosa urodziła już troje dzieci, nie mogła się nadziwić. Wszystko było takie małe i doskonałe. Rosa śmiała się i płakała, kiedy zobaczyła, jak różowe usteczka Mirii otwierają się do przeraźliwego krzyku. Viktor obudził się i usiadł rozespany. Rosa podała swoją olbrzymią pierś tym małym usteczkom i zapadła cisza. Viktor pogłaskał palcem pokrytą meszkiem główkę Mirii, pocałował Rosę i zapytał, czy czegoś potrzebuje, ale Rosa pokręciła głową, więc znowu położył się spać.

To była magiczna noc, która nigdy nie wróci, podobnie jak nigdy nie wróci dzisiejsza noc ani żadna inna.

Rosa zasypia pochylona nad Mirią i budzi się w tej samej pozycji tuż przed szóstą rano, kiedy Yusef kładzie rękę na jej ramieniu.

– Pójdę już – mówi.

Rosa potakuje i ostrożnie grzebie w kieszeniach, chcąc znaleźć portfel. Mirja jednak się budzi i wstaje, żeby poszukać najbliższej toalety.

Yusef widzi, co ona w sobie nosi, a Mirja widzi, że on widzi. Mirja potrząsa głową, oczy błagają i proszą. Yusef nic nie mówi, a ona znika w toalecie, żeby zwymiotować.

Yusef dostaje swoje pieniądze i odchodzi, na korytarzu mija dyżurującego lekarza i z lekkim triumfem myśli, że w pokoju 342 nie ma już czego leczyć.

Kupuje kawę z automatu, opuszcza szpital przez szerokie drzwi wejściowe i siada na ławce, gdzie odwraca twarz ku porannemu słońcu, zamyka oczy i wyobraża sobie, że jest w rodzinnej wiosce i niedługo wyruszy z ojcem i braćmi w busz.

– Wspaniale, wiedzieliśmy, że znowu będziecie razem, idealnie do siebie pasujecie, proszę, drobny upominek – mówią chórem przyjaciele, chociaż większość w głębi ducha odnosi się z pewnym sceptycyzmem do *Jack & Evelyn Together Again, Celebrating With A Small Party* (nikt nie ma pojęcia, dlaczego po angielsku, nawet sami Jack i Evelyn, tak po prostu wyszło, chcieli być bardziej światowi), jak widniało w e-mailowym zaproszeniu, które przed kilkoma dniami spłynęło do skrzynek w całym Sztokholmie.

Evelyn nienawidziła przecież Jacka za to, że ją zdradził, a potem zachowywał się jak cholerny psychol, prześladowając ją dniem i nocą.

Jack powtarzał przecież wiele razy „koniec z Evelyn” i sprowadzał sobie jedną dziewczynę po drugiej, w nadziei znalezienia Tej Właściwej, dzięki której zapomniałby o Evelyn.

Sceptycyzm odcina się więc na przyjęciu, przynajmniej na początku, dopóki średnia promili nie osiągnie takiego poziomu, że nikt już nie wnika, z jakiej okazji jest impreza, grunt, że jest.

– Wasze zdrowie, chłopaki! – mówi Jack, który jeszcze nie jest wystarczająco pijany, żeby w

pełni docenić swoich podchmielonych kumpli.

– Zdrowie, dziewczyny! – wrzeszczy Evelyn, która za chwilę będzie tańczyć na stole i zrywać lampę z sufitu, bo alkohol powoduje u niej Zmianę Osobowości.

Od wielu dni budzili się rano koło siebie. Jedli razem śniadanie. Kochali się. Jedli obiad. Obsypywali się zapewnieniami o miłości. Powiedzieli swoim rodzicom, że znowu są razem. Postanowili jesienią wziąć ślub, w te pędy sprawić sobie dwójkę dzieci i zapomnieć o tym, co wydarzyło się na konferencji i w ostatnim roku.

Evelyn zerwała z Patrikiem, którego właściwie nigdy nie uznawała za nic więcej jak tylko tymczasowy przerywnik. Wynajęła swoje mieszkanie koleżance. Zaczęła już z powrotem przenosić rzeczy do w s p ó I – n e g o mieszkania. W łazience piętrzą się szminki, toniki i tampony. W lodówce rzędem stoją produkty *light*. Szafy są zapchane, podobnie jak stojak na buty w przedpokoju. Zdjęła jedne zasłony i powiesiła inne. Przemeblowała sypialnię. Muszą kupić większe łóżko. Nadmiernie długo bierze prysznic i zawala kuchenny stół swoimi papierami. Jack jej nie kocha.

Opiera się o ścianę w pokoju i patrzy, jak ona rozmawia i śmieje się; od czasu do czasu rzuca mu spojrzenie i posyła pocałunek albo podchodzi do niego, przytula się i mówi:

– Kochanie, jestem taka szczęśliwa.

Śmierdzi alkoholem, ale to nie dlatego już jej nie kocha. Uświadomił to sobie od razu pierwszego ranka, kiedy ponownie obudzili się koło siebie.

Uświadomił sobie, że popełnił błąd.

Jeszcze jeden.

Wychodzi do kuchni, wypija szklankę wody, nagle kręci mu się w głowie, dygocze, jak wiele razy wcześniej. Upuszcza szklankę do zlewu, daleki brzęk, brzęczenie w głowie narasta; budzi się czasami w nocy, mając wrażenie, że to rój much.

Myśli o Bei.

Brakuje mu jej frywolności i wszystkiego, co powiedziała i czego nie powiedziała. Nagle chce wiedzieć, kim ona jest, czym się właściwie zajmuje, o czym marzy, za czym tęskni, co pragnie osiągnąć w życiu. Chce zobaczyć jej mieszkanie i poznać jej ojca.

Z nią mógłby robić to wszystko, na co Evelyn

której największym życiowym marzeniem jest zostanie zamożniejszym Svenssonem, takim, co to pnie się po szczeblach kariery, wychowuje dzieci, czasami organizuje alkoholowe imprezy, żeby pozbyć się swoich zahamowań, spędza Boże Narodzenie na przemian ze swoimi rodzicami i teściami i ma nadzieję, że w jesieni życia stać go będzie na własny jacht i może dom na Riwierze

nie zgodziłaby się nawet w swoich najdzikszych fantazjach, na przykład:

Objechać ziemię dookoła z jedną walizką, nie odgradzając się od rzeczywistości murem luksusowych hoteli.

Sprzedać wszystko, przeprowadzić się do domu pośrodku pustkowia i żyć z własnego gospodarstwa.

Kochać się w pociągu, licząc na przyłapanie.

Zbudować zamek.

Może sprawić sobie dwójkę dzieci, ale nie dlatego, że tak wypada, tylko dlatego, że tak wypadło.

Spać latem pod gwiazdami.

Huśtać się, kiedy zobaczą huśtawkę.

Bawić się, chociaż są dorośli.

Przeżywać, a nie tylko Obserwować & Analizować.

Tak, kocha Beę.

Parska śmiechem. Odrzucił tę, którą kocha, wziął z powrotem tę, której nie kocha, jest największym idiotą, jakiego ziemia nosiła.

– Z czego rechoczesz?

Kumpel, pijany jak bela.

– Z niczego.

– Masz odlot, nie? Przyznaj się. Sam sobie przepisujesz prochy, nie? Ja bym tak robił na twoim miejscu. Możesz mi coś dać, kochany doktorku? Będę wzorowym pacjentem, wzolowym, wzolowym...

Kumpel składa ręce, podsuwa mu je pod nos i prosi dziecięcym głosikiem. Żenujące, że w ogóle ma takich znajomych.

– Po tym będziesz miał odlot jak samolot.

Wkłada tabletkę od bólu głowy w szeroko otwarte usta kumpla.

– Rozgryź.

Kumpel rozgryza, robi grymasy i z miejsca ma odlot jak samolot.

– Kuuurwa, ale życie jest piękne! – drze się i widzi gwiazdy na suficie.

– Jasne, cudowne – mówi Jack i wychodzi z imprezy.

Ponieważ komórka została w mieszkaniu, zatrzymuje się przy budce telefonicznej i dzwoni do Bei. Ta odbiera po zaledwie jednym sygnale i Jack myśli, że pewnie czekała na jego telefon.

– To ja – mówi. – Tęsknię za tobą. Popęłniłem błąd, przepraszam, Kocham cię.

Bea milczy.

– Możemy się spotkać i porozmawiać?

Bea odkłada słuchawkę, nie jest wart, żeby poświęcać mu choć słowo. Jack próbuje ponownie się dodzwonić, ale Bea wyciągnęła wtyczkę. Próbuje raz po raz, bez rezultatu.

Odwiesza słuchawkę, gapi się przez chwilę na jej szyderczy uśmiech, potem wytacza się na ulicę.

Asfalt się kołysze, Jack uważa, że to zabawne, jak małe fale na błękitnym oceanie. Potem odkrywa, że kołyszą się również domy, grożąc zawaleniem i zgnieceniem go na puree, które

zostanie podane do grillowanej kiełbasy w budce na rogu. Jack rusza w stronę budki, żeby zakazać Arabowi, który ją prowadzi, sprzedania go pod postacią puree, w każdym razie nie bez stosownej zapłaty. Pięćset starczy? Tak, dziękuję. Nie, dziękuję. Dwieście? Hm. Sto. Nie, pięćdziesiąt. Okej, pięćdziesiąt. Wymienia z Arabem uścisk dłoni, miło, miło robić z tobą interesy, śpij dobrze.

Wciąż wzburzona wczorajszym dziwnym telefonem od Jacka Bea siada przy stoliku, który od pewnego czasu stał się stolikiem jej i Mansa, i stwierdza zdumiona, że Mans wcale przy nim nie czeka.

Spotkali się tutaj w kawiarni cztery razy, Mans albo szedł do remontowanego mieszkania, albo z niego wracał, miał zawsze przy sobie gitarę – ciągle jest w trakcie pisania nowej piosenki – i niezmiennie znajdował czas, żeby z nią porozmawiać, wsłuchać się w jej duszę.

Nie powiedziała mu, jaki zawód wykonuje. Nie odważyła się, ale z jakiegoś powodu wierzy, że nie potępiłby jej.

Wspomniała o swoich skomplikowanych relacjach z tatą. Powiedział, że musi się uwolnić i dorosnąć.

Opowiedziała o mamie, okazało się, że Mans wie, o kogo chodzi, ma nawet płytę z jej piosenkami.

Przemilczała czerń w środku, ale przypuszcza, że Mans i tak o niej wie; domyśla się, że on sam nosi w sobie coś podobnego.

O Jacku nie zająknęła się słowem. Sukinsyn, co on właściwie sobie wyobraża? Że najpierw może ją wyrzucić, a potem pozbierać, otrzepać i na nowo użytkować, aż znowu będzie miał dosyć i powie, że przykro mu, ale nie żywi do niej żadnych uczuć, lubi ją tylko pieprzyć.

Bea nienawidzi go, to jedyne uczucie, jakie jej zostało, kiedy o nim myśli.

Zaplanowała ostatni skok.

Splądrowanie jego mieszkania.

Dziś w nocy.

Jakie szczęście, że nie pozbyła się narzędzi.

Jack siedzi na ziemi, mruży oczy w słońcu i sika w spodnie. Nie wie, gdzie jest, ale gdyby zapytał kogoś, kto zechciałby odpowiedzieć, dowiedziałby się, że znajduje się koło Skanstull, kawałek od mostu, którym można dostać się na Gullmarsplan.

Skanstull? Jack nie ma już pojęcia, że to stacja metra, stracił kontakt z rzeczywistością, nie rozumie nawet, że zsiąkł się w spodnie, zauważa tylko, że przez chwilę ma ciepło i mokro, a potem zimno i mokro.

Jest szczęśliwy. Nie trapią go żadne troski, a słońeczko tak pięknie przygrzewa. Okradziono go ze wszystkiego, co miał w kieszeniach, ale ponieważ nie pamięta, żeby cokolwiek w nich miał, ta strata go nie martwi. Nie wie, jak się nazywa, ile ma lat ani skąd jest. Myśli tylko o

słońcu, ciepłe i odgłosach ruchu ulicznego, które odbiera jako błogą muzykę.

Mans na bolących nogach śpieszy się od stacji metra, rano zaspał, jest za piętnaście jedenasta, nie wybaczysz sobie, jak minie się z Bea.

Nie, siedzi przy stoliku. Szybko do niej podchodzi.

– Dzisiaj znowu się widzimy? – próbuje udawać szczerze zdziwionego.

– Właśnie się zastanawiałam, czy przyjdiesz – mówi Bea, patrząc, jak Mans wciska swoje krzywe nogi pod stół.

Spostrzegła to dopiero przy trzeciej rozmowie w kawiarni. Że ma coś z nogami. Nie wie, jak mogło jej to umknąć, przecież rzuca się w oczy, gdy tylko Mans musi pokonać najkrótszy odcinek.

Nie zadawała pytań na ten temat, Mans też nie próbował wyjaśniać. Nie jest to zresztą istotne, takie ma nogi, koniec, kropka.

Lubi go i jest zdziwiona, że tak łatwo się przed nim otwiera, nawet zaczyna uważać go za przyjaciela.

Mans zastanawia się, jak Bea by zareagowała, gdyby przyznał się, że dojeżdża każdego dnia ze Stureby tylko po to, żeby się z nią spotkać. Że przesiaduje większość dnia w kawiarni, czekając na nią. Że żyje dla tych chwil, które spędzają razem. Że napisał nie jedną, lecz wiele piosenek o niej. Że do tego stopnia boi się odmowy albo szyderczego śmiechu, że nie ma odwagi nawet zasugerować, co czuje.

Zamiast tego wciela się w rolę terapeuty. Słucha i wspiera, próbuje zrozumieć i pocieszyć, tak jak w przypadku wielu kobiet, zanim uświadomiły sobie, czego tak naprawdę oczekiwał, i wtedy odmawiały albo śmiały się szyderczo, znikwały na zawsze albo po prostu zachowywały się tak, jakby nie istniał i jakby nigdy ze sobą nie rozmawiali.

Nie chce jej stracić.

Woli być wiernym przyjacielem stojącym obok i patrzącym, jak inni mężczyźni się do niej zalecają, niż ją stracić.

Przemyślał wszelkie możliwe strategie na wszelkie możliwe sytuacje, wszystko po to, żeby zabezpieczyć się przed rozczarowaniem.

– Czego nie wiesz? – pyta Bea, kiedy porozmawiali przez chwilę o jej obecnym stanie ducha (posepny, głównie z powodu wyrzutów sumienia, że nie oddzwoniła jeszcze do taty po odwołanym obiedzie).

Mans się waha. To długa historia, choć można skrócić ją do kilku zdań, jeśli ktoś nie ma czasu na wysłuchanie.

Nie wiem, czy mam odwagę uwierzyć.

Nie wiem, czy mam odwagę zaufać.

– Komu? – pyta ciekawie Bea.

– Ludziom.

– Wszystkim?

– Nie.

Boi się na nią spojrzeć, wpatruje się w Arona z zajęczą wargą na ścianie.

– Jednej osobie?

– Tak.

– Jakiejś konkretnej?

– Jeszcze nie wiem.

– Ale co... ?

Mans wstaje, nagle rozeźlony. Dlaczego ona musi w nim grzebać, jakby był jakimś cholernym stanowiskiem archeologicznym? Może przecież posłuchać kasy, tam ma wszystkie odpowiedzi, cholerną mapę krainy Mans.

To oczywiście, że nie słuchała jej zbyt uważnie, jeśli w ogóle.

– Muszę iść – mówi kwaśno, biorąc gitarę. – Mam parę rzeczy do przećwiczenia.

Mans znika, zanim Bea zdąży powiedzieć „cześć”. Z początku nie rusza się z miejsca, zmrożona i zbita z tropu, potem przesiada się do swojego starego stolika, dolewa sobie kawy, kiwa głową Mirii (która czyta za bufetem poradnik *Rodzi się dziecko* osłonięty jakimś brukowcem) i uświadamia sobie, że nawet nie ma do niego telefonu ani nie wie, gdzie on mieszka. Ale oczywiście może to ustalić.

Wyciąga się po dzisiejszą gazetę, zastanawiając się, czy Mans wyszedł tak nagle dlatego, że coś powiedziała, i wczytuje się w ogłoszenia kupna, sprzedaży i towarzyskie, w poszukiwaniu interesujących rzeczy albo kogoś obiecującego.

Tak, odpowiadała już na ogłoszenia towarzyskie, ale nigdy nie poszła na umówione spotkanie. Kiedyś nawet sama zamieściła anons, ale wtedy też nie poszła.

Posługiwała się oczywiście skradzionymi komórkami i fałszywymi imionami.

Raz rozmawiała długo przez telefon z mężczyzną, który podał, że ma na imię Jórgen. Miał młody i ciepły głos. Wybrała się nawet do pubu, w którym umówili się na spotkanie, ale nie ujawniła się, tylko usiadła w bezpiecznej odległości od niego i udawała, że rozmawia przez komórkę.

Był przypuszczalnie trochę starszy, niż powiedział, i nie należał do najszczuplejszych, ale wyglądał sympatycznie i korciło ją, żeby do niego podejść i się przedstawić, ale powstrzymała ją myśl o tym, co ma w bagażu. Kto chciałby wiązać się ze złodziejką (skłamałaby oczywiście, ale kłamstwo zawsze w końcu wychodzi na jaw)? Do tego cierpiącą na depresję. Prześladowaną przez tiki i paranoje. Ze zmarłą mamą i tatą alkoholikiem. Bez jakichkolwiek przyjaciół i znajomych.

Wróciła do domu i zaspokoila się sama w znacznie prostszy sposób.

Jej wzrok pada na ogłoszenie w rubryce „Inne”:

Osobę, która ukradła obrączkę mojej żony („Mia, jestem twój na zawsze. David, 9. 05. 2001”), gdzieś między 10 a 22 lipca, bardzo proszę o jej zwrot! Pozostałe rzeczy mnie nie obchodzą. Mia zginęła w wypadku samochodowym.

– Już raz tutaj byłaś, nie? – mówi męska lesba, nadal w skórzanej kurtce i czarnych krótkich włosach. – Witamy ponownie.

Stempel na rękę i Sofia znowu wchodzi do klubu. Ubrana jest dyskretnie w długie spodnie i czarny T-shirt z krótkim rękawem, na piersi ma błyszczący napis *Madonna*, a na szyi świętą Madonnę na srebrnym łańcuszku.

Coraz częściej szuka Boga, wchodzi do kościołów, siada w ostatnich ławkach, składa ręce i modli się, czasami godzinami bez przerwy.

Czy wciąż jestem Twoim dzieckiem, Boże? Czy kochasz mnie niezależnie od tego, jak wyglądam? Skoro jesteś taki wielki i wszechpotężny, dlaczego nie możesz oddać mi mojej rodziny?

Tak się modliła, a potem siedziała pod wiekowymi sklepieniami i nasłuchiwała odpowiedzi, a kościelny, wchodzący wierni czy jakiś ksiądz posyłali jej długie spojrzenia, które w końcu skłaniały ją do wyjścia.

– Gin z tonikiem – mówi do pedzia za barem.

Ani nie chce się jej pić, ani nie ma ochoty na drinka, ale potrzebuje czegoś, czego będzie się mogła uczyć podczas chodzenia po klubie i prób dopasowania się.

– Jasne, darling – mówi pedzio, który wygląda jak tancerz baletowy z krótko obciętymi włosami ufarbowanymi na blond i czarnym kijałem wokół oczu.

Szybko miesza drinka i ozdabia go różową parasolką, bo zamawiająca jest taka smutna.

– Ale masz szalone włosy – komplementuje i z uśmiechem podaje drinka.

Sofia odwzajemnia uśmiech.

– Dziękuję – mówi i popija drinka, a pedzio wraca do swoich zajęć.

Sofia & Drink idą usiąść przy stoliku po drugiej stronie lokalu. Swędzi ją pod peruką, biust się przekrzywił, a wszystkie inne transy są dużo ładniejsze od niej. Poruszają się z wielką elegancją i taką oczywistą pewnością, że są u siebie, wśród swoich.

– Na początku zawsze jest trudno.

Skórzana lesba siada koło niej i zapala papierosa, potrzebuje pewnie przerwy w pracy jako bramkarka i stemplarka.

– Jestem Annika.

Imię, które gryzie się z wyglądem. Pasowałoby do niej coś twardszego, ostrzejszego, jak na przykład Kicki, Nettan albo Majsan.

– Sofia.

– Chcesz fajkę?

Sofia kręci głową, zastanawiając się, czego ta Annika chce.

– Przez całe życie czułam się facetem, ale nie planuję zmieniać płci – mówi Annika, kaszląc po zaciągnięciu się. – A ty?

– Co?

Sofia nie jest przyzwyczajona do takich rozmów bez owijania w bawełnę. Aluzje są tym językiem, którego się nauczyła. Krążenia wokół tematu. Dotykania i udawania, że się nie dotyka.

– A ty?

Sofia chce wrócić do domu.

– Ja tak, planuję zmienić.

Sofia wpatruje się w swojego drinka. Annika kładzie rękę na jej kolanie. Sofia wzdyga się i odsuwa, myśli, że prawdą jest, co się mówi o takich klubach. Że chodzi tylko o seks, jakby niehetero automatycznie cały czas myśleli o seksie.

Sofia chce, żeby ktoś ją przez chwilę objął, to jedyna rzecz, jakiej teraz pragnie.

– Przepraszam – mówi Annika. – Nie chciałam się narzucać. Ale uważam, że jesteś bardzo ładną kobietą.

Pochlebstwo, które nie przekonuje.

– Nie pasuję tutaj – mówi kwaśno Sofia. – Nie jestem taka jak ty.

– A jaka ja jestem? Jacy są wszyscy inni tutaj?

Ale na to pytanie Sofia nie potrafi odpowiedzieć i tylko dlatego nie wstaje i nie wychodzi.

– Mieszkam tu zaraz obok. – Annika zagasza papierosa. – Nie chciałabyś wstąpić na herbatę? Naprawdę mam na myśli tylko herbatę. Tutaj jest straszny tłok. Fajnie, ale tłok. Co ty na to?

Sofii to schlebia, od dawna nikt się do niej nie zalecał.

– No nie wiem...

Annika bierze ją za rękę, wyciąga z klubu, prowadzi przez Mariatorget, do kamienicy za placem, do windy, do mieszkania, do kuchni, w której podaje jej gorącą herbatę chai.

– Gdzieś powinnam mieć sucharki. – Annika zaczyna grzebać w szafce.

Przebrała się w dzinsy, spraną koszulę, pantofle, włożyła owalne okulary, przez co wygląda zupełnie inaczej niż w klubie.

Bardziej miękko, zwyczajnie, przyjaźniej. Jak Annika.

– Od jak dawna mieszkasz w Sztokholmie? – pyta, wykładając sucharki na talerzyk i wyjmując z lodówki marmoladę.

– Kilka miesięcy.

Sofia odpręża się.

– Musisz wytrzymać – mówi Annika. – Niedługo będzie łatwiej.

– Z czym?

– Ze wszystkim.

Uśmiechają się, piją herbatę, zagryzają sucharkami, a potem siedzą objęte, tylko objęte, na kanapie w pokoju przy zgaszonym świetle, aż w końcu Sofia mówi, że musi już iść.

– Spotkamy się znowu?

– Nie wiem.

– Dam ci swój numer.

– Okej.

Annika zapisuje swoje numery telefonów, a także adres i kod do bramy.

– Chyba nie jestem taka, jak oczekujesz – mówi Sofia.

– Przecież jesteś kobietą.

– Ale nie taką, jaką chcesz.

– Skąd wiesz, jaką chcę?

Sofia nic nie mówi. Annika głaszcze ją po policzku i przekonuje do wzięcia taksówki. W tym mieście jest zbyt wielu kretynów, którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak rzucać się na każdą spotkaną Niezwykłość.

Sofia wsiada do taksówki.

Kierowca obserwuje ją w lusterku wstecznym. Wiele już widział, ale trans to jednak coś wyjątkowego.

Sofia próbuje ignorować jego spojrzenia, myśli o Mirii.

– Jak mi obciążysz, nie musisz płacić – mówi taksjarski, kiedy dojeżdżają na miejsce.

Powinna dać mu w pysk, ale nie ma siły się awanturować, wręcza mu więc tylko setkę, mówiąc, że reszty nie trzeba.

Evelyn śpi wyczerpana całodniowym poszukiwaniem Jacka, poza tym wciąż odczuwa skutki przepicia, poprzedniej nocy było stanowczo za dużo alkoholu i posypały się pisemne skargi od sąsiadów. Na koniec mogła już tylko śmiać się z tych biadoleń, wypła szklanek mleka i na nowo obdzwoniła znajomych i przyjaciół, czy Jack się u nich nie pokazał, i po raz kolejny obeszła miasto, zaglądając do wszystkich jego ulubionych lokali i obawiając się najgorszego.

Że został pobity, ograbiony, zamordowany i utopiony w Melarze albo porzucony na jakimś wysypisku.

Nie powiadomiła jeszcze policji o jego zaginięciu, najchętniej by tego nie robiła, ale jeśli Jack do jutra się nie pokaże, będzie musiała.

Śpi tak głęboko, że nie słyszy odgłosu wkładanego do zamka i przekręcanego klucza.

Dwaj młodzi mężczyźni, dziewiętnaście i dwadzieścia lat, ale już zatwardziali przestępcy. Oskubanie psychola było spacerkiem, teraz pozostaje tylko mieć nadzieję, że mieszkanie jest puste i bez przeszkód będzie je można splądrować.

Wchodzą na palcach do przedpokoju, nie zapalają światła, kierują się w stronę pokoju, który powinien być sypialnią, uchylają drzwi i słyszą lekki oddech Evelyn.

Jeden zdejmuje chustkę, drugi ściąga pasek. Podchodzą do Evelyn, kiwają do siebie głowami i odliczają.

Raz, dwa, trzy, chustka do buzi, a paskiem wiążą ręce i mocują go do łóżka.

Evelyn, wyrwana ze snu i zszokowana, ledwie ma czas pojąć, co się dzieje, kiedy uderzona mocno w twarz traci przytomność.

Zawijają jej oczy i zaciągają pasek też na nogach.

– Niezła laska, zabawimy się z nią trochę, jak skończymy.

Śmieją się obłeśnie. Przeszli niejedną ośrodek dla trudnej młodzieży, nauczyli się pogardy dla społeczeństwa i dla siebie samych, nauczyli się gwałcić i być gwałconym, maltretować i być maltretowanym, jak dać sobie w żyłę i jak ustawiać słabeuszy.

Zapalają kilka lamp i zaczynają pakować rzeczy do toreb. Na dole czeka nowiutki mere, także kradziony, w bagażniku znajduje się dziesięć różnych tablic rejestracyjnych, zapasowy kanister i trochę narkotyków.

Po jakimś czasie Evelyn dochodzi do siebie. Otwiera oczy, ale nic nie widzi. Próbuje krzyczeć, ale usta ma zakneblowane. Próbuje się poruszyć, ale też bez rezultatu.

Słyszy, jak tamci chodzą i czasami coś do siebie mówią, jest przerażona, nagle dociera do niej, co się dzieje i co może się zdarzyć.

Zaczyna gwałtownie oddychać. Chwilami nie może złapać powietrza i myśli, że umrze. Chwilami jest całkowicie spokojna, myśli, że to tylko sen, że nadal śpi, Jack leży koło niej, a miniona doba nigdy nie nastąpiła.

Wchodzą do sypialni.

– Mokra jesteś, mała?

– Czekalaś na to, nie?

Evelyn próbuje się odsunąć, ale oni podchodzą do niej, szarpią na niej ubranie, nazywają ją dziwką, mówią, co z nią zrobią.

Jej organizm pompuje adrenalinę, serce gwałtownie bije, Evelyn rzuca się na łóżku jak węgorz elektryczny, próbuje wywinąć się z uchwytu, próbuje krzyczeć.

Biją ją, śmieją się, kiedy się szarpie, zdzierają z niej ubranie, łapią ją za piersi i poluzowują pasek na kostkach, żeby móc rozłożyć jej nogi.

Dźwięk. Za nimi.

. Bea z żelaznym łomem w rękach, gotowa zrobić z niego użytek.

– Zjeżdżajcie, albo rozwalę wam łby.

Jest wściekła, ale się nie boi, dwóch mężczyzn przeciwko związanej kobiecie to niesprawiedliwe, zabije ich, jeśli będzie musiała.

– Kurwa, to przecież tylko słaba dziewczyna – mówi jeden z nich przestraszonym głosem.

Bea zamachuje się łomem, trafia go w nogę, chłopak wrzeszczy z bólu, pada na podłogę. Kumpel łapie go i wyciąga z pokoju, cofając się przed Beą i łomem.

W następnej chwili są już za drzwiami, bez swoich wypełnionych po brzegi toreb.

Bea zamyka drzwi na klucz i blokuje klamkę krzesłem, na wypadek gdyby odważyli się wrócić. Idzie do Evelyn, zdejmuje jej opaskę z oczu, wyciąga chustkę z ust, uwalnia od pasków, otulają koldrą i bierze w ramiona, mówiąc, że jest sąsiadką, że przypadkiem przechodziła i że jest

już po wszystkim.

Kiedy trochę uspokoiła Evelyn, dzwoni na policję. Pięć minut później w mieszkaniu roi się od mundurów. Evelyn wpada w histerię i zostaje odwieziona do szpitala na ostry dyżur psychiatryczny. Bea musi odpowiedzieć na pytania. Podaje szczegółowy rysopis rabusiów, przypomina sobie nawet, że na ulicy stał czarny mercedes, przypuszczalnie skradziony.

– Jak to się stało, że przechodziła pani właśnie o tej porze?

– Pracuję na nocną zmianę w gazecie, a mieszkam w tym domu na mansardzie.

W tym domu na mansardzie nie ma żadnych mieszkań.

– Od razu się zorientowałam, że jest włamanie, a ponieważ sama padłam ofiarą złodziei, wkurzyłam się i poszłam po łom.

– Skąd go pani wzięła?

– Z piwnicy, widziałam go tam już wcześniej.

Włamała się do mieszkania, odkryła, że ktoś ją uprzedził, pomyślała, że może Jack został pobity, i chociaż go nienawidzi, chciała go bronić, zeszła więc z powrotem na dół, otworzyła wytrychem piwniczne drzwi i przez chwilę krążyła w poszukiwaniu łomu, który zwykle znajduje się w każdej dobrze zaopatrzonej piwnicy.

– Czy może podać nam pani swoje dane, na wypadek gdybyśmy musieli się z panią skontaktować?

– Oczywiście.

Bea zapisuje na kartce wszelkie dane Emmy Fries, dziennikarki, w czarnej peruce, z wypalonymi liniami papilarnymi i zestawem profesjonalnych wytrychów w kieszeniach, po czym opuszcza mieszkanie i zamiast pójść na górę, wychodzi na nocny Södermalm.

Wymiotuje w uliczce i taksówką wraca do siebie.

Bierze prysznic, szoruje się, wślizguje do łóżka, uspokaja dwoma sobrilami i dopiero wtedy uświadamia sobie, że Jacka nie było w domu.

Jack chodzi po mieście, rozmawia z latarniami i brukiem, z pijakami i afiszami filmowymi, ze słońcem i księżycem oraz fruującymi ustami, które się pojawiają i pytają, co słyhać. Usta należą do kobiety, ubranej w mundur czy raczej szkolny mundurek.

Jack darzy te usta sympatią, więc całuje je i nagle sobie coś przypomina, co znika, kiedy usta się odsuwają.

W następnej chwili – a może dwa lata później – leży w białym łóżku i rozmawia z aniołem ze zmarszczką na czole i dziwnym, ale znajomo wyglądającym, naszyjnikiem. To stetoskop, jednak Jack nie pamięta tego słowa, nie potrafi go wymówić. Uśmiecha się do anioła, który odwzajemnia uśmiech i próbuje mu wytłumaczyć, że zapadł na psychozę.

Rzeczy Do Zrobienia W Ciągu Dnia:

1. Zwrócić obrączkę i pieniądze D. Nyströmowi.

2. Złożyć wypowiedzenie T. Broo.
3. Przekazać listy tacie.

Stosunkowo krótka lista, ale każdy punkt oznacza koniec jej dotychczasowego życia, wejście w nowe.

Pierwszy punkt jest łatwy. Znajduje kopertę bąbelkową A3, wkłada do niej banknoty tysiackoronowe, których w ogóle nie ruszyła, leżały w szufladzie biurka, czekając, aż ogarnie ją szal zakupów, potem wrzuca obrączkę do mniejszej koperty i umieszcza ją między banknotami.

Wkłada adidas i wciąga rękawiczki, nakłada blond perukę, okulary przeciwsłoneczne i beżowy stary płaszcz, który wyprała wczoraj późnym wieczorem. Kopertę chowa do torebki przewieszanej przez ramię.

Przez chwilę przygląda się sobie w lustrze. Widzi profesjonalistkę, która w wieku trzydziestu dwóch lat przechodzi na emeryturę, choć bez udziału państwa. Prawdę powiedziawszy, trochę jej smutno.

Z pewnością będzie ją ciągnęło z powrotem, może nawet czasami ulegnie pokusie, ale to naprawdę koniec, nie ma żadnych wątpliwości.

Opuszcza mieszkanie, dociera na Upplandsgatan 4, tam po krótkiej obserwacji otwiera wytrychem bramę i przez otwór w drzwiach wrzuca kopertę do mieszkania na parterze.

Wychodząc, zderza się w bramie z mężczyzną w średnim wieku, który wraca właśnie z biegania. Ich oczy spotykają się na moment i Bea wie, że to on.

– Przepraszam.

Znika za rogiem, szybko jak chart, skręca w kolejną ulicę, zrywa perukę, ściąga okulary i płaszcz, wpycha wszystko do reklamówki, którą miała w kieszeni płaszcza, przechodzi na inną ulicę, wyrzuca reklamówkę do śmietnika i wsiada do pierwszego lepszego autobusu, z którego wysiada dwa przystanki dalej.

Idzie prędkim krokiem w stronę dworca centralnego, tam znika w podziemiach i bierze kolejkę do Sumpan, żeby załatwić Punkt nr 2.

– Wypowiedzenie?

W kryminalnym świecie nie ma czegoś takiego jak stałe zatrudnienie, a tym bardziej podatków, świadczeń socjalnych, okresów ochronnych i tym podobnych, ale Bea mimo to chce złożyć właśnie wypowiedzenie.

Kiwa głową.

– Mogę zapytać dlaczego?

– Życiowy kryzys.

– Słucham?

– Czy raczej jego kulminacja. Chcę po prostu zacząć od nowa.

Przyglądają się sobie, siedząc po przeciwnych stronach biurka. Jego opalenizna z solarium,

choć wydawało się to niemożliwe, jest jeszcze intensywniejsza i Bea mimowolnie zastanawia się dlaczego, skoro za oknem świeci słońce.

Może on się boi rzeczywistości. Niewiele do tego trzeba, kiedy człowiek rok za rokiem chowa się w bunkrze, do którego zagląдают wyłącznie społeczne męty.

– I czym się będziesz teraz zajmować?

Bea wzrusza ramionami i uśmiecha się.

– Zrobię sobie wolne. Może gdzieś wyjadę i po prostu odpocznę. Jestem bardzo zmęczona.

Wypalona złodziejka, pragnąca przez nieokreślony czas popływać wśród raf koralowych bez myślenia o przeszłości i przyszłości.

– A konto?

Zagraniczne konto, które jej załatwił, nieprzeznaczone dla praworządnych obywateli.

– Już zamknęłam.

Przelała pieniądze na anonimowy, tymczasowy rachunek, następnie przeniosła całą sumę na dziesięć różnych czeków, które rozdzieliła na swoich pięciu rachunkach w trzech różnych bankach.

– Przyjemnie było robić z tobą interesy, Gabriella.

Wstają, podają sobie ręce.

– Nawzajem, T.

Nadal nie znają swoich prawdziwych imion, ale znają swoje charaktery.

Bea głaszcząc go przelotnie po ramieniu z gadzim tatuażem. T. Broo spogląda na nią zdziwiony, a w jego wzroku pojawia się coś zbląkanego. Bea znika za drzwiami.

T. Broo tym razem nie stoi w oknie i nie śledzi jej zza żaluzji.

* * *

Wyjątkowo nie ma ze sobą żadnych zakupów, kiedy wsiada do kolejki do Alvsjo, żeby przeprowadzić Punkt nr 3.

Nie uprzedziła go o swoim przyjeździe, co normalnie zawsze robi, nie chce, żeby był przygotowany, bo wtedy nałoży maskę i wszystko będzie dużo trudniejsze.

W torebce leżą listy, które napisała przez lata, ale których nigdy nie odważyła się mu wręczyć ani wysłać. Są napisane w formie dziennika, ale skierowane do niego. Jest ich ponad siedemdziesiąt. Zajmie trochę czasu.

Kasper leży na kanapie, pije, cuchnie i uzala się nad sobą, kiedy nagle słyszy Beę nadchodzącą żwirową ścieżką.

Nie ma wyostzonego słuchu, ale mimo to ją słyszy, bo właśnie na ten dźwięk ciągle czeka, za nim tęskni.

Teraz jednak czuje przerażenie, Bea nie może go zobaczyć w takim stanie, nie może

zobaczyć tego, o czym oboje wiedzą, ale pomijają milczeniem, kiedy się spotykają.

Całymi latami się krył, chował się w toalecie, żeby pić, a nawet w szafie, kiedy nie zdążył schować się gdzie indziej, a Bea biegła po domu, wołając go.

Noce oczekiwania, żeby zasnęła.

Noce chodzenia na palcach do licznych kryjówek z promilami.

Noce bezgłośnych łyków i bezgłośnego płaczu.

Kiedy wyprowadziła się z domu, piekło stanęło przed nim otworem.

Kiedy skończył pięćdziesiąt dwa lata, nie był już w stanie dłużej wykonywać swojej pracy jako konstruktor wind. Załatwił sobie wcześniejszą emeryturę na dogodnych warunkach. „Z powodu bólów kręgosłupa”, jak mówił rodzinie i przyjaciołom, a także Bei (która oczywiście nie uwierzyła, ale nadal lojalnie powtarza to uzasadnienie, jeśli ktoś pyta). Niezbyt szczęśliwie dobrane kłamstwo, bo Kasper jest silny jak byk i potrafi unieść na wyprostowanych rękach ciężar własnego ciała. Musi pilnować się na rzadkich rodzinnych przyjęciach, kiedy trzeba przenieść coś dużego i ciężkiego – nie, nie, mówi, łapiąc się za plecy, z moimi dolegliwościami nie dam rady.

Nie jest z siebie dumny, ale przecież ma tak ciężko, musi się napić.

Bea dzwoni do drzwi, Kasper nie ma odwagi otworzyć, zwleka się z kanapy, łapie butelkę Absolutu, zataczając się, wchodzi po schodach, do sypialni, do szafy, gdzie odkręca butelkę i wlewa w siebie resztę wódki, mając nadzieję, że uczyni go niewidzialnym.

Bea przedziera się przez śmieci, puste puszki, puste butelki, widzi stos brudnych naczyń w kuchni, na podłodze, czuje, jak pory pochłaniają słodko-kwaśny odór alkoholu, unoszący się w powietrzu po ulotnieniu się z puszek, butelek, kieliszków i licznych mokrych plam na podłodze.

Kasper o tym nie wie, ale zetknęła się z tym widokiem już wiele razy. Pojawiała się tu w niezliczone noce i chodziła po domu, kiedy on spał. Stawała przy jego łóżku i przyglądała mu się. Kładła się na podłodze, zamykała oczy i udawała, że to on nad nią czuwa.

Wchodzi po schodach do jego sypialni i siada na brzegu łóżka.

– Wyjdź, tato.

Chwila oczekiwania, potem Kasper uchyla drzwi szafy i wygląda na zewnątrz. Oczy ma błyszczące, śmierdzi, włosy przykleiły się do czaszki, jest w samych majtkach i skarpetkach.

Bea podaje mu rękę, pomaga przejść do łazienki, gdzie go rozbiera i wsadza do wanny. Kapie go i myje mu włosy. Wyciera ręcznikiem, pomaga włożyć piżamę. Kładzie do łóżka i patrzy, jak zasypia. Dotyka jego ramienia, płacze. Potem sprząta, zmywa naczynia i robi pranie. Zamawia pizzę, bo w lodówce są tylko konserwy i piwo.

Kiedy Kasper schodzi na dół po wielu godzinach snu, Bea siedzi na tarasie otulona kocem. Kasper siada na krześle obok, nadal w piżamie, z włosami sterczącymi na wszystkie strony.

Spoglądają na siebie przelotnie. Więc teraz ma to nastąpić?

Bea idzie do kuchni, nastawia wodę na herbatę i podgrzewa pizzę w piekarniku. Jedzą w milczeniu, potem Bea daje mu listy.

Opowiada o nienawiści, jaką do niego czuła, jak nawet życzyła mu śmierci, żeby mogła skończyć z mężą kochania go.

Opowiada o wszystkich samotnych dniach i nocach, o wszystkich kłamstwach, jakimi go karmiła, wiedząc, że on nie daje się na nie nabierać, podobnie jak ona nie nabierała się na jego kłamstwa.

Co za dziwaczny taniec wykonujemy, tato? W jakiego chowanego gramy?

Opowiada o swoim zawodzie i o całym złu, jakie wyrządziła. Opowiada o złości, która w ten sposób znajdowała ujście.

Opowiada o zawiści do wszystkich, którzy sprawiają wrażenie szczęśliwych, i że niezwykle rzadko czuje się starsza niż dziesięciolatka.

Jestem dzieckiem w ciele ciężkim ze zmęczenia jak ołów. Chcę się ukryć przed światem i życiem, ukryć się tak, żebym nie trafiła już do wyjścia.

Kasper wyciera nos, szlocha, śmieje się, kiedy Bea przywołuje pewne – nawet jeśli niezbyt ważne – wspomnienie.

Pamiętasz, jak budowaliśmy kryjówkę na strychu i mama przestraszyła się duchów? Musieliśmy ubezpieczać ją z przodu i z tyłu, aż doszliśmy po desce do klapy i mogliśmy zejść na dół.

Przeczytanie listów zajmuje mu cały wieczór i całą noc. Przez długą chwilę nic nie mówi, tylko płacze. Potem wyciąga do niej rękę. Bea ją przyjmuje.

Viktor stoi okrakiem na drabince i naprawia wentylator, jest chudy i łysy, ma mdłości po ostatniej turze leczenia, ale chce żyć i prędzej to go uratuje niż chemia i naświetlania.

Rosa, tłustsza niż kiedykolwiek, ale niezmiernie szczęśliwa, że ma z powrotem swojego faceta, stoi okrakiem na takiej samej drabince po drugiej stronie szyby i mocuje brakujące neonowo niebieskie litery na właściwych miejscach w „Kawiarni Na Marginesie”.

Specjalnie wykonane i nieprzyzwoicie drogie, ale lepsze to niż dalej „Na Mar sie”.

Od czasu do czasu ich spojrzenia spotykają się przez szybę i oboje wiedzą, co zaraz nastąpi.

Przyjmuje ją trio, składające się z Tiny, agentki, z którą rozmawiała przez telefon, Jonny'ego, fotografa z kilkudniowym zarostem i skośną grzywką, oraz Sonii, starszej kobiety o stalowosiwych włosach obciętych na pazia, która wydaje się mieć decydujący głos i która patrzy na Mirię jak na piękny obraz w muzeum, mogący jednak okazać się falsyfikatem.

– Ładne zdjęcia, zdecydowanie masz potencjał – mówi Jonny.

– Czy jesteś całkowicie pewna, że właśnie tego chcesz? – pyta Sonja.

– Zawód modelki jest trudny, wymaga przekonania i siły – ostrzega Tina.

Mirja kiwa głową, od czasu do czasu mówi coś, co, jak ma nadzieję, spodziewają się usłyszeć. Chce tylko, żeby ją przyjęli, a jednocześnie jest przerażona, że ją przejrzą, zobaczą, co w sobie nosi, powiedzą, że w tej sytuacji to niestety niemożliwe, oni prowadzą agencję modelek, a nie stowarzyszenie dla młodych matek.

- Zamierzasz ukończyć naukę w liceum?
- Kiedy kończysz osiemnaście lat?
- Wzrost, waga?
- Jak się zapatrujesz na to, żeby schudnąć parę kilo?

Mirja kiwa głową, tak, chyba da się zrobić.

- Co myślą o tym twoi rodzice?
- Masz chłopaka?
- Lubisz podróżować?
- Czy możesz zaprezentować nam, jak chodzisz? Tak, przejdź po prostu tam i z powrotem.

Mirja przechodzi przed nimi. Sonja zapisuje sobie coś w notesie, Jonny uśmiecha się i zarzuca grzywką, Tina próbuje zapaść żurawia do notatek Sonii, żeby wiedzieć, jakie ma mieć zdanie.

- Swobodny styl. Dobrze.
- Ale będziemy musieli trochę z tobą poćwiczyć.
- Twarz masz wyjątkową.

Szepczą między sobą i dochodzą do wniosku, że chcą zainwestować w próbne zdjęcia, co jest pierwszym krokiem do zawarcia kontraktu.

- W przyszłym tygodniu – mówi Sonja.
- Jak nazywa się fotograf, który zrobił ci zdjęcia? – pyta Tina.
- A właśnie – podchwytuje Sonja. – Są znakomite.

Jonny ma kwaśną minę.

- Sofia – mówi Mirja. – Sofia Kinnman.
- Możesz nam dać jej numer?

Jonny zmywa się, nie trawi myśli o konkurencji.

- Oczywiście.

Mirja zapisuje numer telefonu Sofii na kartce i żegna się z Sonią i Tiną, które spoglądają na siebie, a kiedy Mirja znajdzie się poza zasięgiem słuchu, mówią: „Dziewczyna na okładkę”.

Dziewczyna na okładkę krąży po mieście i wie, że dłużej nie może tego odwlekać. Teraz musi się zdecydować. Nie jutro, nawet nie dziś wieczorem, tylko teraz.

Wchodzi do Lavy, gdzie wcześniej dość często przesiadywała z koleżankami. Nie miała siły utrzymywać z nimi kontaktu w wakacje ze względu na chorobę taty, dziecko, Filipa, Sofię, ten cały zamęt w głowie.

Kupuje sobie colę light i siada przy wolnym stoliku. Przygląda się osobom wokół.

Dziewczyny w jej wieku wydające się nie mieć zmartwień.

Podczas gdy ona stoi na rozstaju dróg i zastanawia się, czy ma zabić swoje dziecko czy marzenia.

Patrzy przed siebie pustym wzrokiem, pije colę i pragnie tylko być wolna, nagle rozumie tatę, który nie chciał żyć, kilka razy słyszała, jak mówił, że woli śmierć od bólu.

Gdyby poszukała sobie jakiegoś mostu i skoczyła, nie musiałaby podejmować decyzji.

Tylko że strasznie zasmuciłaby mamę i tatę, a bycie nieżywym wydaje się takie nieciekawe.

Gazeta. Oddziera dwa kawałki u dołu, na jednym pisze „Dziecko”, na drugim „Marzenie”. Składa losy, miesza je w rękach, zamyka oczy i wyciąga:

Marzenie

Zaczyna szlochać, co powoduje, że jej rówieśniczki przy stoliku kawałek dalej odwracają głowy i patrzą na nią.

Mirja uśmiecha się do nich, otrzymuje uśmiech w odpowiedzi i dzwoni do ginekologa, żeby zarejestrować się na skrobankę.

– Już jutro? Tak, pasuje mi. Tak, jestem zdecydowana.

Potem dzwoni do Filipa i mówi, że musi się z nim spotkać wieczorem, musi mu o czymś powiedzieć.

Potem próbuje dodzwonić się do Sofii, ale Sofia wyszła na spacer, gdyby nie wyszła, odbyłyby rozmowę i wszystko skończyłoby się inaczej.

Mirja nie zostawia wiadomości, wiadomość zostawia za to Sonja z agencji modelek „Mika”, przedstawia się i pyta, czy mogłyby zjeść razem lunch i omówić kwestię ewentualnej współpracy. Sofia wykasuje ją od razu, jak tylko usłyszy, że nie jest od Mirii.

W końcu Mirja dzwoni do rodziców, żeby opowiedzieć, że zakwalifikowała się na próbne zdjęcia, ale oni również nie odbierają, ani telefonu w mieszkaniu i w kawiarni, ani komórek.

– No to nie – mówi zawiedziona i postanawia wybrać się na zakupy, teraz, kiedy nie utyje, może sobie kupić trochę rzeczy.

Telefon dzwoni, ale nie odbierają, są całkowicie pochłonięci uprawianiem namiętności, tym razem nie na ladzie, lecz na podłodze, tym razem nie gwałtownie, lecz ostrożnie, bo tylko na to Viktor ma siłę. Ale i tak jest wspaniale, za co – Viktor nie ma żadnych wątpliwości – powinni podziękować Yusefowi Farahowi.

Całują się i śmieją. Rosa otacza jego białe zapadłe pośladki swoimi przelewającymi się czarnymi udami i ściska.

Zamierza trzymać go w uścisku, dopóki śmierć ich nie rozłączy, ale to za wiele lat.

O Boże, jest za piętnaście jedenasta!

Odrywiają się od siebie, ubierają, trochę chichoczą, pędzą do drzwi i odwracają tabliczkę, tak

że „Zamknięte” zmienia się w „Otwarte”.

Pierwsi klienci czekają już na zewnątrz.

Mans i Bea.

Zadzwoniła do niego poprzedniego wieczoru z pytaniem, czy ma ochotę się spotkać i czy powiedziała coś ostatnim razem, że tak nagle uciekł.

Mans ucieszył się, bo dostrzegł, że musiała zadać sobie trud, żeby ustalić jego numer telefonu, zapewnił, że absolutnie nie, to tylko skutek stresu, w ostatnim czasie tyle się zebrało, ale oczywiście miał ochotę się spotkać, nawet następnego przedpołudnia.

– Kawę – mówi do rozplóconej Rosy za bufetem.

– Kawę i trójkę – mówi Bea, która całe wieki nie jadła trójki.

– Nadal bez musztardy? – uśmiecha się Rosa.

– Zgadza się. – Bea odwzajemnia uśmiech, co tylko potwierdza to, czego Rosa dowiedziała się z chwilą wyzdrowienia Viktora.

Że cuda zdarzają się także w naszych czasach.

Kiedy Bea wstaje, żeby się pożegnać, Mans słyszy samego siebie, jak pyta mimo ryzyka odmowy albo szyderczego śmiechu:

– Mogę z tobą pójść?

W pierwszej chwili Bea nie rozumie, bo dotąd traktowała Mansa nie jako mężczyznę, tylko jako kulejącego wybawiciela, który z niewiadomych przyczyn znalazł się na jej drodze.

Ze zrozumieniem przychodzi konsternacja.

– Nie wiem – mówi, żeby zyskać na czasie.

Milczenie, on jest zdenerwowany, ona nie potrafi określić swojego stanu, nieprawda, potrafi, jest spokojna.

W środku całkowicie wyciszona.

Mans nie pyta po raz drugi, tylko wstaje, podaje jej rękę i idzie z nią do jej mieszkania, do sypialni, gdzie rozbierają się przed sobą, nie mówiąc słowa.

Mans patrzy na jej ciało, drobne i wymizerowane, o płaskich piersiach, z włosami na nogach i pod pachami.

Bea patrzy na jego ciało, chude i wykrzywione, z żyłastymi rękami i zapadniętą klatką piersiową, jakby przez całe życie wstrzymywał oddech.

Podchodzi do niego i kładzie mu rękę na brzuchu, widzi, że jest bledsza niż on. Mans wciąga zapach jej włosów i dotyka wystających łopatek, myśli, że jest taka miękka. Bea wzdycha, kiedy czuje jego gorący członek na swoim brzuchu. Mans jest zawstydzony, nie ma odwagi spojrzeć w dół, nie wie, co ma robić.

Kładą się na łóżku i kochają.

Bea spostrzega, że Mans nie ma doświadczenia, ujmuje go za rękę i prowadzi. Nadal żadne z nich nic nie mówi.

Kiedy jest po wszystkim, leżą zwróceniu ku sobie, uśmiechnięci.

– Zobaczmy się znowu? – pyta Mans przed wyjściem.

– Tak jak teraz?

Mans kiwa głową.

– Może.

Nie bierze tego ani za odmowę, ani za obietnicę I wychodzi od niej z uczuciem, że jest niesamowicie bogaty.

Kiedy Mans wychodzi na ulicę, Bea wygląda przez żaluzje, a gdy traci go z oczu, dzwoni do taty z informacją, że wybiera się w podróż.

Sofia podnosi słuchawkę i z powrotem ją odkłada, podnosi i odkłada, i tak ciągle, aż w końcu zmęczona własnym niezdecydowaniem wybiera numer, przeczekuje sygnały.

– Ingrid Kinnman.

– To ja.

Milczenie matki, odcięcie się i tęsknota.

– Czego chcesz? – pyta w końcu.

– Tylko zapytać, jak się macie.

– Wszystko w porządku.

W pracy pytają, co u Stefana, i chichoczą, kiedy myślą, że ona nie słyszy.

W zborze nadal modlą się za niego, żeby pozbył się złych duchów, jest jej wstyd, jeszcze trochę i powiedzą, że za słabo wierzy i dlatego Stefan zwrócił się ku Szatanowi.

Henning, jej mąż, jest przybity, ma otarcia na kolanach od ciągłych modłów, ledwie mówi, jeszcze trochę i całkowicie oniemieje.

Simon złości się i traci humor, jak tylko wspomną o Stefanie, tęskni za swoim bratem, nienawidzi swojego brata, kocha swojego brata.

– Byliście na urlopie?

Nie pojechali nawet na camping na Olandię, nie mieli siły stawić czoła znajomym i odpowiadać na pytania o Stefana, które musiały się pojawić.

Byliśmy.

– Wróciłaś do pracy?

– Przestań!

Milczą obie, kabel telefoniczny między nimi jest pepowiną, która boli i krwawi i której nigdy nie da się odciąć.

– Mamo, ja...

– Nie mam siły, Stefan, nie mam siły.

– Mam na imię Sofia.

– Nie!

– Do cholery, mamo, przecież jestem Sofią...

Płaczą przez chwilę.

– Nie, ciebie nie ma – mówi w końcu matka i odkłada słuchawkę.

Sofia przez kilka sekund siedzi ze słuchawką przyciśniętą do ucha. Potem podejmuje decyzję, wysuwa prawą szufladę i wyciąga papier listowy, koperty i długopis.

Przez chwilę zbiera myśli i zaczyna pisać.

Pierwszy list jest do matki. Drugi do ojca. Trzeci do brata. Czwarty do Mirii.

Pisze, że ich kocha, ale akurat teraz nie potrafi im wybaczyć.

Pisze, że wierzy w życie pozagrobowe i kiedy się w tamtym życiu spotkają, wszystko będzie przebaczone, nie zapomniane, ale przebaczone.

Pisze, że mimo wszystko jest wdzięczna za życie, które dostała, i chce, żeby na nagrobku napisali „Sofia”, to jej ostatnia wola.

Składa kartki, chowa je do kopert, na kopertach pisze imiona adresatów.

Zrobiwszy to, wybiera swoje najlepsze ubranie, pończochy i buty. Czesze długą blond perukę, starannie się maluje, robi krok w tył i przegląda się w lustrze.

Ładna.

Ostatni posiłek, ma ochotę zarówno na słone, jak i na słodkie, otwiera więc zamrażarkę i wyciąga bratwurst i lody waniliowe.

Podgrzewa kiełbasę w mikrofalówce, smaruje musztardą i powoli zjada, podczas gdy lody robią się odpowiednio miękkie.

Każdy kęs jest rozkoszą.

Ozdabia lody kręgami polewy czekoladowej, teraz też je powoli, całe pół litra lodów, ale już nie musi uważać na linię.

Każda łyżeczka jest rozkoszą.

Żeby w pełni zaznać życia, człowiek powinien umierać każdego dnia.

Nie sprząta naczyń, gasi lampkę, zapala świecę, którą stawia na podłodze, osuwa się na kolana przed płomieniem i składa ręce.

Modli się za swoich bliskich i kochanych, a potem za siebie.

Nie zamyka drzwi na klucz.

Matka po długim wahaniu oddzwania do Stefana, ale odbiera automatyczna sekretarka.

– Hej, połączyliście się z Sofią Kinnman, niestety nie mogę w tej chwili odebrać, ale...

Ingrid odkłada słuchawkę, znowu ją podnosi i znowu próbuje, ciągle na nowo, z takim samym rezultatem.

Dopada ją złe przeczucie, wybiega z domu, nawet nie zamyka drzwi, choć Henning nie wrócił jeszcze z pracy, wsiada do samochodu i wyjeżdża w kierunku Sztokholmu.

* * *

Mirja i Filip siedzą w milczeniu koło siebie na łóżku w jego pokoju w akademiku, 19 metrów, wliczając w toabinę prysznicową, szafkokuchnię i frustrację.

Mirja zerwała z nim i Filip jest zdruzgotany. W tej chwili ona jest jedynym dobrem w jego życiu, wszystko inne to czerń i zło, nienawiść i jeszcze raz nienawiść.

Powróciły wspomnienia, których chciałby się wyprzeć, ale które budzą go każdej nocy.

Nie powiedział o tym nikomu, ale myślał, że będzie mógł powiedzieć Mirii, ona by wysłuchała, objęła go, zapewniła, że to nie jego wina, był tylko małym dzieckiem, ale teraz już nikt go nie skrzywdzi.

– Dlaczego?

Ma sucho w gardle, chce ją wziąć za rękę, ale nie zdobywa się na odwagę.

– Przerażasz mnie.

On sam siebie przeraża.

– Ty pierdolona dziwko, to przecież, kurwa, twoja wina!

Prawy prosty, Mirja upada na podłogę, krzyczy. Filip kopie ją w brzuch, w nogi, w żebra, kopie i kopie, chce ją zabić, rozwalić, rozwalić cały ten pierdolony świat.

Mirja kuli się, próbuje osłonić rękami głowę, co tylko jeszcze bardziej go rozwściecza.

– Nie zerwiesz ze mną, słyszysz, nie zerwiesz ze mną, potrzebuję cię, nie kapujesz, że cię potrzebuję!?

Chwyta ją za włosy i ciągnie po podłodze. W ręku zostaje mu garść ciemnych włosów wyrwanych z korzeniami.

Ona jest tak cholernie śliczna.

Podnosi ją i próbuje pocałować. Mirii udaje się kopnąć go poniżej łydki. Filip widzi, że Mirja płacze.

Jaki ona ma powód do płaczu, co, miała przecież, kurwa, szczęśliwe dzieciństwo!

Odpycha ją od siebie, osuwa się na podłogę i ukrywa twarz w dłoniach. Chce ją zabić i sam też chce się zabić, chce ją mieć u siebie na zawsze i chce zostać sam.

Mirja leży na brzuchu i wie, że Filip ją zabije. Leci jej krew z nosa, śluz, rusza się jeden ząb.

Czołga się w przód, centymetr po centymetrze, widząc tylko jeden cel, butelkę wina, którym chciał ją poczęstować, kiedy przyszła, ale odmówiła, nie mają czego świętować.

Filip czołga się za nią, Mirja chwyta za butelkę i wie, że musi poderwać się na nogi, zanim on to zrobi.

Udaje się jej, dwa szybkie kroki i uderza go butelką w głowę. Mocno. Najmocniej jak potrafi.

Filip nawet nie wydaje z siebie krzyku, osuwa się tylko niżej, cichnie i nieruchomieje. Mirja wpatruje się w niego, nie wie, czy on oddycha, nie ma odwagi tego sprawdzić, odrzuca butelkę i ucieka.

Biegnie przez korytarz, potrąca kogoś, słyszy za sobą wołanie, ale nie odwraca się, zbiega po schodach, wypada na ulicę, byle stamtąd uciec, biegnie w ciemności, woła Sofię, ciągle biegnie, czuje, jak dziecko wypływa z niej krwistą mazią, i płacze, bo teraz, kiedy je straciła, chce je

zatrzymać, pada na ziemię, podnosi się, zataczając się, biegnie dalej i przez cały czas woła Sofię.

Balustrada mostu jest biała, niemal jak srebro, Sofia zaciska na niej ręce, czerwone paznokcie zdzierają farbę, boi się. Za nią dudni ruch uliczny, samochody osobowe i ciężarowe, taksówki, motocykle, czasem jakiś podrasowany motorower. Ten i ów może rzuci na nią okiem, pomyśli, że powinien się zatrzymać, zapytać, czy wszystko w porządku, ale jedzie dalej, ma dość swoich własnych problemów.

Boi się tak, że omal nie posika się po nogach.

Ręce się jej trzęsą, paznokcie drapią o poręcz, skrzypiąc, jak kreda o tablicę, ten dźwięk zawsze ostro ją przenikał, musiała zasłaniać uszy, chłopacy z klasy się naśmiewali – cholera, Stefan, ale z ciebie baba!

Tak, wiem.

Spogląda w dół, widzi czarną, błyszczącą wodę, hangar klubu kajakowego, pirsy, pomarańczowe boje i cumujące jachty. Skoczy tak, żeby wylądować w wodzie, nie chce być miazgą na pirsie albo na czyimś jachcie, nie chce nikogo obryzgać, przyprawić o wymioty. Poza tym lubi wodę, ciało staje się lekkie, a ona może udawać, że jest syreną, że to między nogami jest tylko źle umiejscowioną płetwą albo macką.

Zdejmuje szpilki i ustawia je pieczołowicie koło balustrady, może komuś się przydadzą. Potem wspina się na poręcz.

Rozpościera ramiona, anioł bez skrzydeł, robi krok w przód.

Ostatnia myśl: masz rację, mam. Nie ma mnie. Byłam.